

Tom CLXXXVI.

Zeszyt 558.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

ROK CZTERDZIESTY SZÓSTY.

CZERWIEC.

1887.

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: NOWY-ŚWIAT Nr. 41.

TREŚĆ.

	stron.
I. Wrażenia z wycieczki na Wschód. Zebrał Józef Rogosz. U Złotego Rogu. — Z pokładu do hotelu. — Nasza niańka. — Na ulicy i na moście Walidy. — Mężczyźni, kobiety i dzieci. — Nasze towarzystwo przy obiedzie	343
II. Choroby naszego wieku. Napisał Władysław dr. Chodecki	369
III. Aleksander hr. Przędziecki. (Ur. 1814 † 1871 r.). (Dok.). Przez Karola Łepkowskiego.	387
IV. Z dziejów teatru hiszpańskiego. Studium literackie. (Dok.). Przez Juliana Adolfa Świącickiego	404
IV. Na szerokim świecie. Powieść. (C. d.). Napisał Sewer.	437
V. Ś. p. Mikołaj dr. Zyblikiewicz (Ur. 1823 r. † 16 maja 1887 r.). Wspomnienie pośmiertne.	454
VI. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.	
„Altpolnische Sprachdenkmäler. Systematische Uebersicht, Würdigung und Texte. Ein Beitrag zur slavischen Philologie von prof. dr. Nehring. Berlin, Weidmannsche Buchhandlung, 1887. Przez Romana Zawilińskiego.	459
Logika przez Ludwika Liarda, rektora akademii w Caen. Warszawa. Nakładem Redakcyi „Prawdy.“ 1886 r., str. 224 in 8-vo.	469
W. Stanley Jevons. Logika, objaśniona figurami i pytaniami. Przetłóżył podług najnowszego wydania angielskiego Henryk Wernic. Warszawa, nakładem księgarni Teodora Paprockiego i S-ki. 1886 rok, str. 158 in 8-vo. Przez J. K. Dworzaczka.	—
VII. Kronika miesięczna. — Rzut oka na stosunki ogólnieuropejskie. — Nowy środek germanizacyi W-go Ks. Poznańskiego i Prus Zachodnich przez zwiększenie liczby naczelników powiatowych. — Testament ś. p. J. I. Kraszewskiego. — Ruch na polu życia umysłowego i artystycznego; Sprawozdanie z prelekcyi z nauk przyrodzonych na dochód kasy imienia Mianowskiego (ciąg dalszy), mianych w Muzeum, prel. pp. Znatowicza, Bujwida. — Akademia umiejętności: Posiedzenie komisji historii sztuki 21-go kwietnia i 6-go maja 1887 r.; — doroczne walne posiedzenie Akademii umiejętności dnia 21-go maja. — Towarzystwo biblioteki Akademii Wiedniu. — Zapowiedziany zjazd prawników w Krakowie dnia 9 i 10 września 1887 r. — Konkurs imienia F. Kochmana. — Projekt ś. p. Tadeusza Roszkowskiego „Nagrody	



De. II. 1.

WRAŻENIA Z WYCIĘCZKI NA WSCHÓD.

ZEBRAŁ

Józef Rogoź *).

II.

U Złotego Rogu. — Z pokładu do hotelu. — Nasza niańka, — Na ulicy i na moście sułtanka Walidy. — Mezczyźni, kobiety i dzieci. — Nasze towarzystwo przy obiedzie.

„Car” stanął.

Przedemną wznosi się wyżyna łagodaa, oblana z jednej strony modremi wodami morza Marmora, z drugiej — wartkimi nurtami Bosforu, z trzeciej — falą kryształową Złotego Rogu. Od góry do dołu osłaniają ją ciemno-zielone cyprysy i jaśniejsze od nich platany, których korony tysiącletnie hardo pną się ku niebu. W ich cieniu drzemią pałace sułtańskie. Między gałęzmi widać szare kopuły bizantyńskie, kioski opuszczone, fontanny wyschnięte, kolumny potrzaskane, gdzie niegdzie wychylają się szczątki muru poszczerbionego, na których bluszcze i powoje dokonywają dzieła zniszczenia. Podnóże wzgórza opasuje budynek długi, o kształtach nader prostych, obok którego widać bramę żelazną. Rdza czerwona, okrywająca potężne zawiasy, wskazuje, że jej dawno nie otwierano. Jest to ta sama brama, którą niegdyś, gdy stary seraj był jeszcze siedzibą sułtanów i jego ulubie-

*) Ciąg dalszy — patrz zeszyt za m. styczeń r. b.

nic, wynoszono zwłoki straconych skazańców i wrzucano je do Bosforu. Fala porywała ciało w zimne ramiona, niosła daleko, ku brzegom azyatyckim lub w nurty Helespontu. Lecz to było niegdyś, w epoce potęgi i sławy państwa Osmanów! Dziś padyszach przeniosł się do dzielnicy europejskiej, ponieważ między giaurami czuje się bezpieczniejszym, niż wśród wiernych wyznawców Proroka, lubiących rewolucje pałacowe i gwałtowne zmiany tronu; skazanych na śmierć, dla okazania, że Turcja jest państwem cywilizowanym, grzebią jak innych śmiertelników; stary zaś Seraj, będący zakończeniem miasta czysto tureckiego, Istambułu, żyje tylko wspomnieniami o dawnej wielkości, która nigdy nie wróci. Teraz znajdują się w nim muzea, szkoły, skarbiec sułtański, strzeżony przez żołnierzy i eunuchów — ale nie ma tego, który był słońcem i duchem tej miejscowości cudownej, nie ma na padyszacha!... Dziwny jakiś urok wieje od tych smutnych cyprysów i majestatycznych platanów, a im dłużej wpatrujesz się w owe ogrody tajemnicze, zwieszające się nad morzem, tém bardziej czujesz się pociągniętym do tego miejsca. I chociaż później, wszystko, na co patrzysz, wydaje ci się wielkiem i wspaniałem, oko jednak twoje wracać będzie ciągle do starego Seraju, bo tylko w nim jednym czujesz poezją Wschodu, namiętną jak uścisk huryski, głęboką jak werset Koranu, dziką jak gniew padyszacha, senną i tajemniczą jak spojrzenie niewolnicy, gdy spieszy ułatwić swojej pani schadzkię z ukochanym...

Za Serajem, na pochyłości pasma wzgórz, ciągnących się w kierunku zachodnio-północnym, leży Stambuł, zasiany minaretami, co jak iglice z kości słoniowej ku niebu strzelają, pełen moszei, fontan i grobowców. Oko twoje pada najpierw na olbrzymią kopułę ołowianą, nakrywającą moszce Św. Zoñi, od niej biegnie do drugiej sułtana Achmeda, stojącej między sześcioma minaretami i będącej z tego powodu unikatem na całym Wschodzie; chwilę zatrzymuje się na Solimanie Wielkim, mającym dziesięć kopuł, na Suttance Walidzie, przeglądającej się w zwierciadle żywej wody, na moszei Mahometa II-go i wielu innych; dalej ślizga się po gmachach rządowych, pośród których stoi niebotyczna wieża seraskieratu (ministerstwa wojny), najwyższa w Stambule; przebiega tysiące domków, gubiących się wśród ogrodów wiecznie zielonych i zatrzymuje się dopiero na samym końcu widnokregu, opasanym olbrzymiemi murami, za któremi biejele na wzgórzu wielkie pole śmierci, smutne, opuszczone, bez cyprysów, całe zasiane szczątkami nagrobków marmurowych, co się w kurzu walają.

Naprzeciw Stambułu, po prawym brzegu Złotego Rogu, w terasach pnących się coraz wyżej, widzisz krocie domów o dachach na pół płaskich, pomieszanych chaotycznie, barwy żółtawej lub różowej, rozsypanych na kilkunastu wzgórzach, które razem powiązane tworzą jedną wyżynę, zakończoną ogrodami łączącemi dwa pałace sułtańskie, Iłdysz-kiosk i Cziragan. Wśród tych domów po większej części małych, wyróżniają się pałace ambasadorów i wille bogatych paszów,

które uciekły aż na szczyt wzgórza w pobliżu Iłdysz-kiosku, gdzie sułtan terazniejszy stale mieszka! Cała ta wyżyna podzielona na dwie części, z których handlowa, Galata, rozsiadła się w dole nad morzem, a więć arystokratyczna, Pera, na górze, jest miastem prawie na wskroś chrześcijańskim i nazywa się Konstantynopolem. Gdy patrzysz na to niezmierne morze domów, monotonne i smutne, brak tu bowiem tój zieleni cudownej, która w starym Seraju oko rozwesela a duszę rozkosznie nastraja, znużony wzrok twój zatrzymuje się tylko na dwóch przedmiotach: na olbrzymiej wieży okrągłej, wznoszącej się wśród przedmieścia Galaty i według niego nazwanej, którą przed wiekami zbudowali tu genueńczycy i na jakimś gmachu niezmiernie wielkim, czworobocznym, podobnym do skały, rzuconej rękami cyklopów, który stoi powyżej pałacu Dolma Bageze i zda się nad całym Konstantynopolem panować. Kontury jego są surowe, zimne, nawet straszne; okna w nim zawsze pozamykane: dokoła murów cicho, żałobnie; z każdego załomu wyziera siła brutalna, a orły z pochylonemi głowami, co siedzą u jego szczytu, wyteżając wzrok drapieżny, zdają się tylko czychać na zdobycz. To pałac ambasady niemieckiej. Postawił go tu niedawno sam Bismarck i zdaje się zeń wołać: „Drżycie.”

Gdyby kto chciał jeszcze wątpić o tój prawdzie niezbitój, że budownictwo każdego narodu jest wyrazem jego potrzeb, smaku, nauki, w ogole całej jego cywilizacji, tego chyba widok tój ponurój ambasady, przypominającej groźne koszary, najlepiej oświeci. Jak grek dla swoich bogów-ludzi, wesołych, przyjemnych, mających kierunki hultajskie, stawiał świątynie jasne, pełne powietrza, blasku i piękna, gdyż w innych byłoby im zbyt smutno i niezdrowo; jak rzymianin, spędzający dzień cały na Forum, budował sobie domek wygodny, lecz malutki, by miał tylko gdzie przenocować, posilić się i odpocząć pod długim politykowaniu; jak nieszcześliwy europejczyk wieków średnich, jęczący pod straszliwym uciskiem fizyczno-moralnym i chłostany niezliczonemi klęskami, wznosił świątynie wielkie, lecz ponure i smutne, których ostre iglice zdawały się niebo prośbą przebijać, a w których ciemne sklepienia i okna różnobarwne nastrajały ducha do modlitwy cichój, skupionój i łzami przesiąktój; jak tyrani pięknych miast włoskich, lubiący życie rozbujale, poezją i sztuki piękne, stawiali pałace z olbrzymiemi salami, w którychby się mogły pomieścić tłumy gości, lutnistów, sowizdrzałów, linoskoków i nagromadzone dzieła sztuki; tak i Niemcy dzisiejsze, a właściwie ich najwybitniejsi przedstawiciele i opiekunowie, prusacy, zawsze, wszędzie i we wszystkim uwidoczniają główny dogmat swojej wiary politycznej: siłę brutalną. Zasadzie tój hołduje tak dobrze ich pierwszy statysta Bismarck, jak pierwszy ich filozof Hartmann; tak dobrze ich pierwszy lepszy grenadier pomorski, w którego przekonaniu ostrze bagnetu jest najlepszym prawem, jak i pierwszy ich cesarz, dla którego balet jest sztuką najwspanialszą, mustra żołnierzy mądrością najwyższą, a koszary najwspanialszym dziełem architektonicznym. Naprózno byście tego u nich

szukali, co serce rozwesela a ducha podnosi i wzmacnia. Jakimi są u siebie w Berlinie, takimi przedstawili się nawet nad Bosforem, choć tu cudowna natura nuci hymn pochwalny na cześć nie siły brutalnej, lecz piękna nieśmiertelnego!...

Przez zatokę Rogu Złotego, wdzierającą się od Bosforu w brzeg europejski, na kształt wstęgi zakrzywionej i ztąd „rogiem” nazwaną, są rzucone dwa olbrzymie mosty pontonowe, długie na 420 metrów, które łączą Stambuł z Konstantynopolem. Naprzeciw tego drugiego miasta po lewej stronie Bosforu, a więc już na brzegu azyatyckim, widzą się znów tysiące domów, kiosków, pałaców, moszei. To Skutari, przepasane olbrzymią wstęgą gaju cyprysowego, w którym spoczywają snem wiecznym prawowierni wyznawcy proroka. Za Skutari, jak daleko wzrok sięga, widać liczne miasteczka i wioski, biegnące wzdłuż brzegu morskiego, a zakończone białą latarnią, która stoi tam sama jedna jak żołnierz na straży.

Znaleźliśmy się tedy w pośrodku trzech przylądków wyniosłych, które zostały rozerwane wodami Bosforu i Rogu Złotego, na nich widzimy trzy miasta z ludnością milionową, której dotąd nikt nie zliczył—tam zaś, gdzie Bosfor wpada do morza Marmora, roztacza się szeroka toń kryształowa, zasiana nagimi skałami i w mgłę majaczącymi wyspami, a jeszcze dalej, na końcu widnokregu, wznosi się olbrzym Małej Azji, Olimp bytyński.

„Car“ zatrzymał się niedaleko mostu Walidy. Dokoła widać istny las masztów i kominów; na okrętach, między którymi są małe jachty i olbrzymie potwory morskie, powiewają bandery wszystkich państw europejskich i kilku amerykańskich. Między pierwszemi widać najwięcej francuzkich, austryackich i włoskich, które oddawna współzawodniczą z sobą na wodach tureckich; między drugimi prym widnieją bandery Stanów Zjednoczonych. Te stoją cicho na kotwicy, na tamtych słychać głośnie nawoływania kapitana, na innych hucają już maszyny i czarny dym z kominów bucha, znak to niewątpliwy że wkrótce w drogę wyruszą. Od Złotego Rogu nadpływa okręt niewielki, ale chędogi i dobrze zbudowany z banderą sultańską. Na jego pokładzie ścisł niestychany. Od przodu widać mężczyzn w strojach różnobarwnych, w fezach i zawojach, w kaftanach turkusowych i surdutach europejskich — w tyle za szarą kotarą, która pokład przedzieliła, siedzą same kobiety z twarzami zasłoniętymi. Jest to jeden z licznych statków, pełniących od rana do nocy służbę na Bosforze; zatrzymuje on się co kilkaset metrów i jednych pasażerów na ląd wysadza, drugich z sobą zabiera. Tysiące ludzi, których bądź interesa bądź obowiązki zawodowo pędzą do Konstantynopola, albo do Stambułu, mieszka nad Bosforem, wielu także w Skutari, i ci to każdego ranka śpieszą do swych zajęć, w godzinach zaś popołudniowych do domu wracają. Prócz tych okrętów, krąży także dużo łodzi żaglowych, przepelnionych węglem, owocami i towarami w wielkich worach pło-

ciennych, a między niemi chyżo jak jaskółki lecą kaiki wąskie, ostre, w których prócz ogorzonego przewoźnika, znajduje się zwykle tylko jedna osoba. Ledwie przewoźnik wioślami ruszy, kaik chyżo jak strzała mknie po wód kryształe, zwinnie jak łasica wymija większe łodzie i częstokroć prędzej niż okręt parowy przybija do miejsca przeznaczenia.

„Car“ nie spuścił jeszcze kotwicy, a już od mostu ruszyło kilka set łodzi i wśród głośnych okrzyków radości wszystkie ku nam się puściły. Będzie zarobek, będzie!—mówią sobie w duchu przewoźnicy, agenci hotelowi i tragarze, każdy siły wyteża, każdy uporeczywie w nasz pokład się wpatruje i każdy pragnie być pierwszy. Za chwilę istne mrowisko ludzi w strojach najrozmaitszych otoczyło nasz okręt, i wszczął się gwar wielojęzyczny, nie gorszy od tego, którym ongi wstawiła się wieża Babel. Ten woła po grecku, tamten krzyczy po ormiańsku, ów ostrzega po turecku, inny klnie po włosku, a tych, co dopiero dopływają, nie mogą nawet usłyszeć. Każdy chce pierwszy dostać się do schodków, które z okrętu właśnie do morza spuszczo, lecz jak zawsze, tak i teraz los tylko do swoich wybrańców lubi się uśmiechać, a do tych—ci należą, którzy z jego faworów umieją korzystać. Podczas gdy dwie łodzie walczyły z sobą o pierwszeństwo i przewoźnicy odpychali się wzajemnie, nadpłynęła trzecia, od nich większa, mająca kilku mężczyzn na pokładzie i ta zapaśników odtrąciwszy, pierwsza u celu stanęła. Za chwilę owi mężczyźni wbiegli na pokład. Byli to dragomani hotelu Angielskiego, a że mieliśmy w nim właśnie zamieszkać, przeto jeden z nich, p. Jacob, wziął nas zaraz w swoje opiekę i umieściwszy nasze tłumoki w łodzi, puścił się z nami do brzegu. W drodze daliśmy mu nasze paszporty.

— Macie państwo co do opłaty?—zapytał.

— Zdaje się, że nie—któs z nas odpowiedział—lecz trudno nam to osądzić. Niech zobaczą.

— Ktoby tam na takie rzeczy drogi czas tracił!—p. Jacob zawołał. Cudzoziemcy nie po to do Konstantynopola przyjeżdżają, żeby się z celnikami ujadać. Damy bakszysz i basta.

Bakszysz, słowo magiczne, roztwierające niby róższką czarodziejską wszystkie drzwi, serca, ręce i rozumy Wschodu! Bez niego nie tu nie wskórasz, a sławny Fuad pasza niedawno upewniał, że choćby kto do Bosforu przysłał cały okręt złotem napełniony i chciał go Wysokiej Porcie darować, niktby go tam nie przyjął bez bakszyszu. Lecz czy należy się temu dziwić? Wszak podarunek jest jedną z głównych oznak owiej gościnności, którą ludy wschodnie słyną, bakszysz więc nie jest łapówką, w znaczeniu europejskiem, braną za czyn niedozwolony, ale prezentem uprzejmym. Im zaś ludzie bardziej się poważają i kochają, tém częściej powinni się obdarowywać różnemi rzeczami. Gdzieś na prowincyi, robią więc sobie prezenta z owoców, lub baranów, ale tu, dla wygody i przez wzgląd na cywili-

zacyą, którą frankowie przynieśli, używa się do tego monety srebrnej albo złotej. Zresztą należy wziąć i to na uwagę, że na Wschodzie, stworzonym do tyranii i niewoli, niema pono ani jednej monarchii porządnie administrowanej. Czy to w Turcyi, czy w Afganistanie, czy w Birmie—ci co na czele stoją, opływają w zbytki i rozkosze, wszyscy zaś inni żyją z łaski sułtańskiej. A jeżeli ta łaska przez dłuższy czas nie daje najślabszego nawet znaku życia i jeżeli jak np. w Turcyi, urzędnicy nie otrzymują po dziesięć miesięcy z rządu należącej im się pensyi, skutkiem czego wraz z rodzinami mżą z głodu, to czyż można im się dziwić, że rękę po bakszysz wyciągają? Co kraj, to obyczaj... Miasto więc piorunować na stosunki do naszych niepodobne, lepiej zastosować się do zwyczajów miejscowych i pójść śladem wszystkich europejczyków, którzy Wschód zwiedzają. P. Jacob wsunął tedy bakszysz brodatemu celnikowi, poczem rzeczy nasze znalazły się natychmiast na plecach tragarzy i pochodowi do hotelu nic więcej nie stało na przeszkodzie.

Nie szliśmy jednak długo. Dowcipni francuzi, przebili przez środek wzgórza, oddzielającego Galatę od Pery, tunel pod domami i pałacami, i w nim urządzili kolej łańcuchową, której wagony są w ruchu bezustannym. Jednym bokiem pociąg odchodzi, drugim przychodzi. Powtarza się to regularnie co pięć minut przez cały dzień, a wagony są zawsze pełne. Każdy woli dać kilka centymów niż wśród kanikuły na stromą górę się drapać. Ledwie więc opuściliśmy urząd cłowy, wsiedliśmy zaraz do wagonów, a za kilka minut wyładowaliśmy na głównej ulicy Pera, z kądem tylko kilkaset kroków mieliśmy do hotelu Angielskiego.

Stoi on w zakątku, wygląd ma skromny, niepokąźny, biedny, a mimo to zażywa w Konstantynopolu sławy najlepszej, tak dalece, że nawet członkowie rodzin panujących, jeśli im sułtan nie przeznaczy na mieszkanie którego ze swych licznych pałaców, tylko w nim stają. Utrzymanieienne (pension) bez wina kosztuje wprawdzie od osoby 25 franków, lecz jak na Wschód, gdzie wygody europejskie niesłychanie drogo kosztują, jest to jeszcze cena niezbyt wygórowana. Za to mieszkasz dobrze, na wyzysk nie jesteś narażony a przy obiedzie masz towarzystwo dystyngowane.

Gdym się przechodził i po wschodach wstępował na górę, zdało mi się, że znajduję się w starym hotelu włoskim, gdzieś w Bolonii, lub w Ferrarze. Na posadzce kamiennej leżą maty słomiane, na nich dywany tureckie, po kątach stoją meble starożytne: tu krzesło inkrustowane macią perłową, tam stolik z mozaiką marmurową, obok zegar, który od stu lat przestał iść, w rogu widać szafkę z bogatemi ozdobami z brązu, na ścianach od góry do dołu wiszą obrazy olejne, prawie same włoskie. Niema między nimi żadnego arcydzieła, lecz niema i bohomazu.

P. Spasowicz i ja otrzymaliśmy pokój wspólny na drugim piętrze, niezbyt duży, zato wygodny, o dwóch oknach ze wspaniałym wi-

dokiem na Bosfor, Skutari, stary Seraj, morze Marmora i wyspy Książęce. Mieliliśmy więc u nóg całą glorię stolicy Padyszacha.

Nimeśmy wyszli do miasta, czcigodny mój towarzysz odbył w pierw walną naradę z naszą niańką. Tak p. Spasowicz od pierwszej chwili nazwał p. Jacoba i takim został on dla nas aż do naszego odjazdu. Jeśli gdzie to tu, żaden europejczyk nie obejdzie się bez niańki. W kraju, gdzie wszyscy mówią obcemi ci językami, gdzie kurs mają wszystkie pieniądze świata, gdzie chytry grek czyha na twoją nieopatrzność, a przebiegły ormianin wyyskuje twoją łatwowierność, tam od rana do wieczora musisz mieć przy boku człowieka uczciwego, któryby ci wszystko pokazywał, ułatwiał i strzegł od wyysku. Dziesięć franków, które taki człowiek dziennie pobiera prócz kosztów podróży i utrzymania, jeśli z tobą za miasto wyjeżdża, nie jest wcale wygórowanem honorarium w stosunku do usług, jakie ci oddaje. Im zaś porządniejszy hôtél, tém porządniejszych ma dragomanów.

Już od pierwszego wejrzenia byliśmy pewni, że p. Jacob należał do tych ludzi, którzy sumiennie pełnią swoje obowiązki. Jest to mężczyzna wzrostu słusznego, trzyma się prosto jak żołnierz, choć nim nigdy nie był, patrzy w oczy śmiało, mówi jasno a krótko. Wcale dobrze włada dziewięciu językami: francuzkim, niemieckim, angielskim, włoskim, hiszpańskim, greckim, ormiańskim, tureckim i arabskim. Gdy usłyszał, jakeśmy między sobą rozmawiali, uśmiechnął się nieznacznie. To mnie zaintrygowało.

— Umiesz pan po polsku?—zapytałem.

— Coś sobie jeszcze przypominam.

— Więc umiałeś kiedyś?

— Ja pochodzę z Tarnowa w Galicyi, gdzie mój ojciec stale mieszkął. Ale ojcu źle się tam wiodło, zabrał mnie więc gdym miał siedm lat i tu przywiózł. Niedługo potem ojciec umarł i jam się znalazł na Pera sam jeden jak palec. Wychowałem się jednak i dziś uczciwie na chleb pracuję. Ale przez ciąg trzydziestu kilku lat musiałem zapomnieć mowę, której dzieckiem z Galicyi wyjeżdżając dobrze jeszcze nie umiałem. Mimo to niektóre wyrazy brzmią dotąd w mojej duszy i ledwim panów rozmawiających usłyszał zarazem poznał, żeście polacy.

— Jest tu jeszcze kto z Galicyi?

— W świecie handlowym znalazłby ich dosyć, lecz to sami żydzi, między dragomanami jest tylko jeden, ale i ten żyd.

Fizyognomia p. Jakóba wskazuje w nim pochodzenie prędzej germańskie niż słowiańskie. Wszelako on sam nie przyznaje się do żadnej narodowości. Wychowany na Pera, gdzie obok siebie mieszkają ludzie najrozmaitszych rysów, języków, wierzeń i przekonań, został prawdziwym kosmopolitą Wschodu, którego nic nie obchodzi spory międzynarodowe. Sułtana lubi bardzo, bo na jego ziemi znalazł kawałek chleba; ale mimo to nie będzie on nigdy bronił całości państwa

Osmanów; jako chrześcjanin życzy dobrze bułgarom, a jednak nie pójdzie dla nich zdobywać Macedonii. Ale chociaż zobojeźniał, a właściwie nie nauczył się kochać wielkich idei, wstrząsających nerwowym organizmem narodów europejskich, mimo to w głębi swego serca wychował bóstwo, któremu wciąż hołdy składa, a któremu na imię u czciwość. Dla tego, choć jest chrześcjaninem, woli słynnych z prawości Turków, niż znanych z przewrotności Greków. Ma on także swoją ambycję, o której często i chętnie wspomina. Jest ona zawarta w książce niewielkiej, starannie utrzymanej, a składa się z całej setki świadectw, wpisanych tam przez podróżnych na dowód, że z obowiązków swoich wywiązywał się sumiennie i ku ich zadowoleniu. Między nazwiskami Anglików, Francuzów, Hiszpanów i innych, znalazłem tylko jedno polskie, p. Brodzkiego. Za świadectwa, któreśmy mu na odjeździe wpisali, bardziej był wdzięczny niż za najhojniejszy bakszysz.

Po ułożeniu planu kampanii, udaliśmy się na śniadanie, które w naszym hotelu podawano między 10 a 12 rano. Bez pokrzepienia sił, niech żaden turysta nie puszcza się na mozolną podróż po ulicach wielkiej metropolii Wschodu.

* * *

Gwar, krzyk, nawoływania, tłok, ale turkotu wcale nie słychać. Oto co Europejczyka, gdy z domu wyjdzie, najpierw tu uderza. Na Pera można częściej spotkać powóz dwukonny, nawet karetę elegancką, wiozącą turystę, bankiera lub ambasadora, ale po lewej stronie Złotego Rogu, w tureckim Istambule, ekwipaż jest taką rzadkością, że każdy z przechodniów staje i nań patrzy, jak na zjawisko niezwykłe. Tam gdy turek usłyszy głośny turkot kół, skaczących po bruku nierównym, wie, że jedzie albo minister do swojego biura, albo sam wielki wezyr do W. Porty, albo „frankowie“, jak powszechnie zowią tu cudzoziemców. Tramwaj, choć wszystkie łączy przedmieścia i wspina się na wzgórze najwyższe, nie sprawia żadnego turkotu; jego brudne wagony rzadko też są pełne. Muzułmanin lubi chodzić pieszo, a gdy wyjeżdża, to najchętniej konno.

Główna ulica Pera, długa na kilka kilometrów, dość równa i prosta, lecz wązka, zwłaszcza w pierwszej połowie, ma po obu bokach wąziutkie chodniki i magazyny europejskie z napisami we wszystkich językach; grecki jest jednak wszędzie górą, a zaraz po nim ormiański. Od rana do nocy jest ona ludźmi zabita, którzy płyną jak fala wezbrana. Bryk z towarami wcale tu nie widać. Grzbiet ludzki zastępuje tu wóz na kołach, a tylko większe ciężary, jak kamień, cegłę i drzewo, dźwigają objuczone muły, osły lub konie. Handel odbywa się także po większej części pod gołym niebem. Tu turek sędziwy, z brodą siwą i policzkami zapadniętymi, mając olbrzymi kosz na plecach, pod którego ciężarem do pół ciała się zgina, i trzymając prócz tego w rękach wagę z pigwami, z których każda jest duża jak

głowa dziecka, błaga przechodniów by jego towar kupowali. Bo jest to owoc wyśmienity, smaczny, zdrowy a taki tani, że mu równego nie znaleźć nad brzegami Bosforu. O krok za nim krzyczy drugi, że jego winogrona są niezmiernie soczyste i najlepsze na kuli ziemskiej; trzeci głosem fistułowym zachwala lemoniadę, którą ma w kilku naczyniach miedzianych, ważących razem centnar, jeżeli nie więcej; czwarty dźwigający dwie konwie żelazne, skórą obszyte, zwraca uwagę przechodniów na znajdującą się w nich wodę; piąty sprzedaje wschodnie słodycze, ślicznie wyglądające na oko, lecz niesmaczne dla europejczyka; inni korale, płótna, kołdry, suknie, fezy, kapelusze, słowem wszystko, czego człowiek potrzebuje. Ale choć wrzeszczą, że o mało bębenki w uszach ci nie popękają, mimo to żaden z nich nie jest natrętnym. Tu nikt cię za rękaw nie ciągnie i do kupna nie zmusza, a każdy jeno wołaniem, niebo rozdzierającym, usiłuje przemówić do twojego uczucia i sumienia.

Uszliśmy ledwie kilkadziesiąt kroków, gdy nagle słyszymy przed sobą wołania przeciągłe, monotonne, jakby ostrzegające; trzeba było zejść na bok, zbliżał się bowiem liczny zastęp tragarzy, dźwigających najrozmaitsze przedmioty. Litość bierze patrzeć na tych ludzi. Każdy z nich ma na plecach rodzaj siodła skórzanego, na którym kładzie swój ciężar, potem tak nisko się schyla, że twarz jego prawie się równa z kolanami i tak w pót złamany, idzie krokiem równym, a wytrwale, póki u celu nie stanie. Między tymi, co ku nam się zbliżali, jedni nieśli blachy stalowe a tak wielkie, że zajmowały prawie połowę szerokości ulicy, drudzy dźwigali po kilka kufrów, z których tworzyły się nad nimi istne piramidy, inni całe belki przeznaczone do budowy. A jak niegdyś greczynka, wracająca z wodą do domu, niosła pełną stągiew na głowie i tak zręcznie równowagę utrzymywała, że nie było wypadku, by jęj ta kiedy spadła, tak i ci biedni tragarze z nieporównaną wprawą dźwigają olbrzymie ciężary, i choć pot krwawy z czoła im się leje, zawsze z nim tam dochodzą, gdzie powinni.

Od głównej arteryi Pera, biegną w prawo i w lewo uliczki wąskie, spadziste, na złamanie karku, przypominające rzymskie i genueńskie zaułki. Na jednej z nich dostrzegłem napis „Rue de Pologne.“ Malutką tę uliczkę dla tego tak nazwano, że przy schyłku ubiegłego wieku, stał tu dom polskiej ambasady. Ostatnim jęj dragomanem, był ormianin Serpos, który za wierną i gorliwą służbę otrzymał polskie szlachectwo. Jego potomkowie, jak to nam opowiadał p. Groppler, rodak nasz, mieszkający nad Bosforem od lat przeszło trzydziestu, żyją w Konstantynopolu do dnia dzisiejszego i z herbu swego są bardzo dumni. Jaka jednak szkoda, że smutnej pamięci nasza polityka, nie umiała po sobie większych śladów na Wschodzie zostawić!

W dzielnicę tureckiej inny jest charakter ulic niż w chrześcijańskiej. Przekupniów, chodzących i krzyczących, w Stambule brak zupełny. Za to wszystkie domy u dołu, zwłaszcza te, co stoją w pobliżu morza, tworzą tam jeden wielki sklep, podzielony na tysiące ma-

łych oddziałów. Pochodzi to ztąd, że ścian frontowych, składających się z desek i okien, prawie nigdzie niema, te bowiem bywają na dzień wyjmowane; zostają więc tylko ściany poprzeczne, oddzielające jeden sklep od drugiego. Najwięcej między nimi sklepów z owocami i rozmaitemi jarzynami. Obszerne izby są w koło zastawione koszami pełnemi winogron; obok na stołach leżą stopy pigw, jabłek granatowych, brzoskwiń; w górze, na półkach, widać w szeregach kawony i melony; u pułapu wiszą wieńce jabłuszek rajskich, czosnku, cebuli i pieprzu tureckiego. Owoce są tu za bezcen, a potrzeby tak małe, że jeden melon lub kawon wystarcza niekiedy na pożywienie dla całej rodziny. A mimo to ludzie są zdrowi, silni i dobrze wyglądają. Zastęga to klimatu.

Za sklepem z owocami, widzisz drugi, wyższy i jaśniejszy, w którym rzeźnik mięso sprzedaje. Próznobys tu jednak szukał wołowiny lub dziczyzny. Jedynem mięsem, które turek je i lubi jest baranina. Wszystkie też ich sklepy rzeźnicze są przepelnione tym artykułem. U pułapu i przy ścianach wiszą okrągłe barany, białutkim tłuszczem oblane, aie bez głów. Te bądź surowe, bądź już upieczone, leżą w szeregu na wystawie sklepowej, a każda dla dodania przechodniom apetytu, trzyma w zębach odrobinę zielonej sałaty. W głębi sklepu znajduje się mała kuchenka, starannie utrzymana, przy której stoi rzeźnik w turbanie. Chłop to rosty, barczysty, o wejrzeniu poczciwem. Jedną rękę wetknął za pas wzorzysty, w drugiej trzyma spory widelec, którym obraca piekącą się baraninę. Mięso piszczy, syczy, skwirczy, a zapach aromatyczny rozchodzi się w koło i dostaje się na ulicę. Poczłł tu jakiś turek w zielonym turbanie, zatrzymał się, podniósł głowę i ręką skinął. Na to rzeźnik podał mu na misecze upieczoną baraninę, obok której położył łyżkę ryżu ugotowanego w sosie pomidorowym. Turek, stojąc dalej na ulicy, zajada śniadanie à la fourchette, (prócz własnych palców nie ma on innego widelca), a gdy „piław“ skończył, zapłacił, przyłożył rękę do czoła na znak pożegnania, uszedł trzy kroki i kupił w najbliższym sklepie funt winogron. Ledwie te spożył, podszedł do marmurowej fontanny, stojącej na przeciwko, umył sobie ręce, i zrobiwszy znów kilka kroków, stanął przed małą kawiarenką. Jak tylko właściciel go zobaczył, podał mu na ulicę filiżaneczkę z kawą już osłodzoną, mającą smak zupełnie inny niż ta, którą nam zachwalają nasze panie europejskie. Wprawdzie pół filiżanki od spodu wypełniają same męty, ale zato górna połowa jest prawdziwym nektarem, którego mogliby turkom pozadrościć sami bogowie Olimpu. Gość, wypiwszy kawę, usiadł przed kawiarnią na kamieniach, wziął nogi pod siebie, a ledwie to uczynił, wnet zjawił się przed nim chłopczyk z nargillą. Poważny Ali bierze cybuch, ciągnie, woda we flasce zaczyna mruczeć i kipieć, wreszcie z jego ust wiecznie milczących, ukazuje się dym niebieski a wonny. Ciągnie coraz mocniej, przy- myka oczy, na tych, co obok niego siedzą uwagi nie zwraca, po spokojnem obliczu rozlewa się błogość bez granic, i oto zaczyna się „kief“

ów słodki wypoczynek dla ciała i ducha, który na ziemi jest przedsmakiem rozkoszy, jakie go kiedyś po śmierci czekają.

Prócz sklepów najróżnorodniejszych, znajdują się tak samo na dole, odsłonięte od ulicy, pracownie wszystkich rzemieślników i drobnych przemysłowców. Tu szewcy szyją buty, trzewiki, pantofle; tam złotnicy wyrabiają misterne kolce i pierścienie, za nimi widać krawców, dalej blacharzy, kowali, rymarzy, kołodziejów, stolarzy i wielu, wielu innych. Na przeciw nich widać składy mąki, owsa, jęczmienia i czosnku. Ostatni ten artykuł pojawia się niekiedy w takiej ilości, że na sam jego widok Europejczykowi słabo się robi. Na końcu ulicy znajdują się sklepy z pieczywem. Nie są to jednak zwykłe sklepy; lecz formalne piekarnie. W głębi izby widać w ścianie kilkoro drzwi-czek żelaznych, zamykających tyleż pieców. Gdy chleb jest już gotów, piekarz wyjmuje go i układa na stole od ulicy.

Wśród tej masy sklepów i warsztatów, stosunkowo najwięcej znajduje się z obuwiem. Gdym zapytał naszą niańkę, jakaby tego była przyczyna, otrzymałem taką odpowiedź:

— Rzecz to całkiem prosta, bo u nas największy wstyd, prawie grzech, chodzić boso. Spójrzysz pan na tę olbrzymią masę ludzi, ciągnącą do mostu. Są między nimi zamożni, lecz znajdują się także nędzarze łachmanami okryci, a tak jedni jak drudzy mają obuwie na nogach, większość między nimi ma nawet po dwie pary, ponieważ Prorok nie pozwala wchodzić do meczetu w tym samym obuwiu, które się ma na ulicy, aby kurz i błoto nie pokalały miejsca świętego. Kto więc nie chce zdejmować butów i wchodzić do moszei w pończochach, ten po wierzchu nosi rodzaj skórzanych kaloszy i tylko te zrzuca.

Rzeczywiście tak było. Wszyscy ci ludzie, których setki płynęły ku mostowi, mężczyźni, kobiety i dzieci, młodzi i starzy, bogaci i nędzarze — wszyscy byli obuci. Stosunkowo byli także wszyscy czysto ubrani. Począwszy od marynarzy sułtańskich, którzy tam w łodzi płyną, ustrojonych w białe jak śnieg kaftany, także pantalonów i pasy purpurowe, a skończywszy na owym żebraku, wyciągającym rękę na moście, wszyscy są chędogo odziani, nawet łachmany czysto wyglądają. Jakaż różnica między tymi wyznawcami Proroka, a czcicielami Jehowy! Nawet cywilizowani włosi w miastach portowych, są bez porównania brudniejsi od mieszkańców tureckiego Wschodu.

*

Każdy turysta, pragnący bliżej poznać stolicę padyszacha, spieszy najpierw do mostu sułtanki Walidy, tam bowiem ruch jest największy. Od wschodu do zachodu słońca krocie ludzi ciągną z Konstantynopola do Stambułu, ale mimo to, jak de Amicis słusznie zauważył, potrzeba całego lat dziesiątka, żeby jedna myśl europejska dostała się na brzeg muzułmański. Ruch na moście jest tak wielki, że strażnicy odbierający zapłatę ledwie mogą podołać ciężkiemu zadaniu.

Kto chce więc poznać tę olbrzymią metropolią, z jej strony najbardziej rozmaitej i ożywionej, ten niech na kilka godzin usiądzie bądź przy moście, bądź w pobliskiej kawiarni i patrzy spokojnie.

W ulicach Galaty zadudniało i za naszymi plecami ruch zaraz większy się zrobił. Nie trwało długo, a ukazały się dwie karety. Konie przy nich arabskie, ogniste; na kozłach siedzą albańczycy w strojach narodowych; przy pierwszej, po dwóch z każdej strony, w feczach czerwonych a w czarnych i pod szyję zapiętych surdutach, jedzie konno czterech eunuchów. Głowy ich kędzierzawe, oczy świecące, zęby białe, skóra jak heban, wargi grube, wywrócone. Niebo nubijskie ich spaliło, a przemoc skazała na życie bezcelowe. Gniewném okiem mierzą przechodniów, bacznie przestrzegając, by z nich który do karety nie przystąpił i przez okna otwarte do wnętrza nie zajrzał. W drugiej karecie siedzą: pasza w uniformie złocistym, z orderami na piersiach, a na przodzie dwóch wyrostków do niego podobnych. Musi to więc być cała rodzina, spiesząca na nabożeństwo do moszei św. Zofii.

Druga kareta na most jeszcze nie wjechała, gdy na koniach zjawiono się kilku oficerów; za nimi postępował oddział piechoty z muzyką na czele. Oficerowie w ciemno-granatowych surdutach i czerwonych pantalonach wyglądają wcale dobrze, miny mają marsowe, i gdyby nie to, że dla zbytńego gorąca porozpinali uniformy na piersiach, tak, że widać koszule, możnaby ich wziąć za europejczyków. Nizamy maszerują krokiem równym, prawie każdy z fantazją fez na tył głowy nasunął, lecz mimo to ich ruchy wyraźnie wskazują, że im niewygodnie w butach z twardymi cholewami i w sukiennych kubrakach, od których stojące kołnierze niemiłosiernie brody im guiotą. O ileż przyjemniej i wygodniej byłoby im w lekkim obuwiu i szerokim stroju narodowym, po którym świeży wietrzyk, ciągnący od morza, hulałby swobodnie!... Banda zaczęła grać, a ja przerażony w tył odskoczyłem. Bębny, trąby, piszczałki, talerze mosiężne, słowem prawdziwa muzyka turecka, zrobiła taką wrzawę dysharmonijną, że trzeba było nie tylko odskoczyć, lecz i uszy sobie zatkać. Na moje szczęście wojsko weszło na most, kierując się ku staremu serajowi, w którego za-
utkach zniknęło razem z muzyką.

Mimo że wojsko z bandą przechodziło, co w miastach europejskich jest prawdziwą przyjemnością dla ulicy, nikt z przechodzących nie zatrzymał się, nie stanął, nikt nie podziwiał dorodnych nizamów, a obok bandy nie było także widać pauprów krzyczących. Jak przedtem tak i teraz każdy szedł swoją drogą, we własnych myślach zatopiony. O gawiedzi, jak naszej, swobodnej, wesołej, hałaśliwej, Wschód nie ma nawet wyobrażenia. Tu wszystko spokojne i poważne. Ci ludzie nie są ciekawi, niczemu się nie dziwią i nigdy się nie gapią. Jestże to filozofia, czy tylko apatya? Może później będę mógł na to odpowiedzieć.

Ponieważ na moście zrobiło się teraz przestronniej, przed chwilą bowiem odplłynął ostatni statek, utrzymujący służbę na Bosforze,

przeto łatwiej i lepiej można tym się przypatrzeć, którzy bądź spieszą do Stambułu, bądź ztamtąd wracają.

Oto krokiem wolnym, majestatycznym, idzie dwóch turków. Jeden ma turban biały, kaftan turkusowy, białe szarawary a buty żółte; drugi—turban niebieski, zupan perłowy, kociem futrem podbity. Temu mimo trzydziestu stopni Celcyusza nie musi być gorąco, skoro twarz jego naturalna, a z czoła pot mu nie spływa. Każdy z nich trzyma w rękę *tespih*, rodzaj różańca i jego ziarna, których jest 99, zwolna w palcach przesuwają. Modlą się. Za nimi w stroju europejskim, a tylko w fezie na głowie, idzie dość szybko, niski, krępy, w plecach szeroki ormianin. Ten ma twarz ciemną, brunatną, oczy wypukłe, brwi nad niemi gęste i ostro zarysowane, usta grube, nos jak miecz zakrzywiony. Obok niego przesuwają się grek z Archipelagu w stroju narodowym, wyszywanym jedwabiem, srebrem i złotem, na którym tyle guzików świeci, co gwiazd na niebie; za nim postępuje czerkies słuszny, smukły, ogorzały, istny bandyta, w czapce wysokiej, futrzanej, w czarnym kaftanie, z ładownicą na piersiach a z pistoletami za srebrnym pasem. O kilka kroków dalej widać kobiety tureckie, w sukniach jedwabnych, barwy rozmaitej: różowej, liliowej, niebieskiej, fioletowej, jedna jest także w pasy podłużne o dwóch żywych kolorach. Suknie tak są zrobione, że część dolna tworzy spódnicę, górna, od pasa począwszy rodzaj płaszcza, który kobiety na głowę zarzucają. Dwie z nich mają zastony muślinowe jak śnieg białe, a jak pajęczyna przejrzyste, które im okrywają nos, usta i brodę. Tak schowana piękność wydaje się jeszcze powabniejszą, niż jest może w rzeczywistości, zwłaszcza, że od białego muślinu cudownie odbijają palące nad nim oczy. Trzecia kobieta ma zastonę o wiele gęściejszą, tej uroda pewnie już odkwitła, dwie zaś ostatnie mają na twarzy woalki w kwiaty złote i czerwone. Tych rysów nie dojrzysz, ale też i nie radzę o to się kusić, bo zobaczywszy pewniebyś się przestraszył. Córka Ewy wszędzie jest jednakowa i każda z nich wie, jak się ubrać, żeby się podobać. Śladem niewiast, choć zapewne myślami innemi zajęty, kroczy derwisz w czapce filcowej, wysokiej jak głowa cukru, ale ściętej u góry; obok niego, ocierając mu się o ramię, idzie jezuita, dalej biegnie greczynka w czapeczce czerwonej, z warkoczami na ramiona spuszczone i okiem czarnym strzela ciekawie na wszystkie strony, szukając tego, czego nie zgubiła, lecz coby znaleźć pragnęła. Za nią idzie żyd, nasz kochany żyd, nawet w tej ciżbie poznasz go po ryżych kędziarach i tém ukośném wejrzeniu, którym radby zaglądnąć do twojej kieszeni; za jego plecami ukazuje się tatar z grubemi kośćmi policzkowemi, ukośnemi oczami, z nosem spłaszczonym na twarzy zwierzęcej, w kożuchu futrem na wierzch wywróconém; nieco dalej biegnie syryjczyk, w pysznym stroju oliwkowym i sam oliwkowy; albańczyk w czerwonym kaftanie a białej spódnicy; kilku persów w czapkach astrachańskich; kałmuk z wąsami ku ziemi spuszczone; kirgiz o chytrém wejrzeniu i brudniejszej niż całe jego otoczenie; iman rosty

jak topola, w białym płaszczu i takimże turbanie, piękny, młody, zamysłony, a tak łagodnie i melancholijnie w koło spoglądający, że te jego oczy muszą chyba do duszy przemówić. Za nim w kapeluszach z szerokimi kresami postępuje kilku OO. Franciszkanów; siostra miłosierdzia, prowadząca sierotkę za rękę; dwie murzynki w szalach różnobarwnych, okryte z wszystkich stron starannie, lecz za to z pewną dumą odsłaniające to, co w nich jest najbrzydsze, nawet wstrętne, wyrzucone wargi i nosy rozdęte. Tragarze niosą w lektyce jakąś żydówkę bogatą, która dla wieku podeszłego iść nie może; za nimi widać turkmenów w butach z szerokimi cholewami, bułgarów w kozuchach, czarnogórcę w kołpaku, z ręką na krzywój szabli, w malowniczym kaftanie, w krótkiej spódniczce i w skórzanych kamaszach na nogach, a patrzy on tak dumnie i śmiało, jakby świat cały do niego należał; na końcu widać kilku pielgrzymów z talizmanami, które sobie w Mece na szyi zawiesili. Na moście znów zadudniało. Od Stambułu nadjeżdża arab. Koń pod nim jak malowany, ogień z nozdrzy mu bucha, rzed na nim srebrem nabijany, a jeździec cały ostłonięty białym jak śnieg kaszmirem, z pośród którego wychyla się tylko jego czarna broda, blada twarz i oczy iskrzące, niby dwa brylanty w heban oprawione, wygląda jak sennie widziadło. Arab przejechał... Ale choć się spieszył i hardo z góry patrzył, musiał głębokie wywrzeć wrażenie, skoro wszystkie damy europejskie, znajdujące się teraz na moście, obróciły się za nim jak kwiaty za słońcem. Była między niemi paryżanka, malutka, zgrabniutka, fertyczna, ubrana według ostatniej mody, którą prowadził pod ramię poważny jegomość w cylindrze i w okularach, i jakaś miss wielce melancholijna a sucha, żółta i niezmiernie nudna, obok której krokiem wolnym szedł młodzieniec, tak do niej podobny, jak większa kropla wody do mniejszej.

W pośrodku mostu, tam, gdzie statki się zatrzymują, dało się słyszeć dzwonienie. Ostatni okręt wrócił z Bosforu. Za chwilę tłum różnobarwny i wielojęzyczny wysypuje się na most, kilka minut panuje tłok niesłychany, każdy się spieszy, wreszcie jedna część odchodzi do Stambułu, druga przelewa się w ulice Galaty. Most, podobny przez krótki czas do mrowiska, do którego psotnik nalał ukropu, przybiera dawną fizygnomię. Znów w dwóch rzędach poruszają się ludzie, jak dwie rzeki płynące od stworzenia świata temi samemi korytami. I znów widzisz wszystkie rasy i stroje trzech sąsiadujących z sobą kontynentów, wszystkie możliwe kolory, od najbledszych do najjaskrawszych, w oczach ci się mienia, tu spotykasz bogactwo, tam nędzę—tu pokorę, tam zuchwałość—tu piękno, tam brzydotę—ludzie mijają się, potracają, ale nikt nikogo nie przeprasza, nikt się nie zatrzymuje, jeden drugiego nie wita, każdy idzie, gdzie mu potrzeba, nie troszcząc się o bliźniego.

Środkiem mostu pędzi teraz ekwipaż ambasadora, wracającego z W. Porty lub z seraskieratu, z niezbędnym kawasem na koźle, za nim czarne bawoły ciągną wóz skrzypiący, dalej kołyszają się dwa wiel-

błądy i okiem smętném patrzą na ten świat różnobarwny, co ich otacza, bo takiego na swoich pustyniach jeszcze nie widziały; na końcu ukazują się objuczone konie, muły i osły. Ilekroć nadejdzie jaki europejczyk, wnet przypadają doń żebraczki, cyganki lub greczyнки, suche, straszne, z piersiami obnażonemi, istne furje piekielne i ręce wyciągając wrzeszczą w niebogłoty: Musie! Madam! Wraz z niemi ćwiczy się w tém rzemiośle dziewczynka może z dziesięcioletnia, o ile się zdaje egipcjanka, z warstwy felahów. Ta jest bardziej natrętna niż jój starsze towarzyszki i póty nie odstąpi, póki jałmużny nie dostanie. Za to, gdy pieniędzy na jój dłoń upadnie, uśmiecha się, przy czém odstaną zęby białe a zdrowe jak z kości słońiowej, skręca się na miejscu jak wrzeciono, dostrzega nowego „franka” znów przybiera miłą rozpaczliwą, biegnie doń i rękę wyciągnąwszy woła: Musie! Madam!

W porcie zagrzmiał strzał działowy, znak to, że słońce zaszło. Turcy stają, wyjmują zegarki i zaczynają je regulować. Ważna to chwila w życiu tutejszego mieszkańca, ponieważ czas liczy się od zachodu słońca. Gdy jednak znaczna część ludności trzyma się europejskiego podziału godzin, łatwo więc sobie można wyobrazić, jak wielkie z tego powodu powstają czasem nieporozumienia. Trudno jest niedogodnościom raz na zawsze zapobiedz przez dokładne oznaczenie, która godzina europejska odpowiada tureckiej, słońce bowiem, jak wiadomo, codzień kiedy indziej zachodzi, skutkiem czego i czas turecki codzień inaczej się liczy. Krótkie zestawienie najlepiej to wykaże. Gdy np. dn. 8-go stycznia zegar turecki wskazuje 2-gą godzinę, na europejskim jest 6-ta minut 48, a gdy 8-go lipca u turków będzie ta sama 2-ga, u europejczyków okaże się już 9-ta minut 33. Różnica zatém w ciągu pół roku wynosi prawie trzy godziny.

Nim jeszcze w porcie strzał działowy zapowiedział zachód słońca, już przed mostem ukazali się chłopcy pochodzenia greckiego, z dziennikami świeżo wydanemi. Ten krzyczy: „Stamboul!” drugi „La Turquie!” trzeci „Levant-Herald!” czwarty „Phar du Bosphor!” a inni wywołują tytuły pism tureckich, greckich, ormiańskich, nie przystępnych dla europejczyków. Każdy cudzoziemiec chwytą chciwie pierwszy lepszy dziennik francuzki, pragnąc się dowiedzieć, co się w Europie stało, ale za chwilę rzuca go na ulicę, bo nic w nim nie znalazł. Prócz kilku depech wątpliwój wartości i drobnych wiadomości o zaręczynach, ślubach, pogrzebach, przyjęciach oficjalnych i tym podobnych, które tylko stałego mieszkańca Konstantynopola mogą obchodzić, nie ma w nich nic więcej. Zasluga to cenzury tureckiej, która okiem argusowém wszystko śledzi i wyrzuca, co może być niemiłe dla skrzypiącej maszyny rządu padyszacha. Sprawiedliwość każe jednak wyznać, że nie sama tylko cenzura robi tutejsze dzienniki jałowemi. Przyczyny tego należy jeszcze gdzieindziej szukać. Na wschodzie żaden europejczyk nie osiedla się dla polityki, tylko dla robienia majątku, który najprędzej może znaleźć w handlu; że zaś cała ta ga-

łąż pracy ludzkiej znajduje się w rękach najbardziej niemoralnych, bo greckich, ormiańskich i żydowskich, więc opiera się ona głównie na wyzysku, a często gęsto także na prostém oszustwie. Prasa widzi to i sama ztąd zyski ciągnie. Pewna osoba, dobrze obznajmiona ze stosunkami nad Bosforem, upewniała mnie, że nieraz w drukarni jest już złożony długi i bardzo interesujący artykuł, przeznaczony do wieczornego numeru dziennika, który jednak w ostatniej chwili bywa niszczoney, ponieważ redaktor za jego wycofanie otrzymał porządny „bakszysz.“ To, co w prasie nazywa się „szantażem,“ a często zjednały sobie smutny rozgłos przedewszystkiém dzienniki wiedeńskie, redagowane i wydawane przez żydów, kwitnie może jeszcze bardziej nad Złotym Rogiem niż nad modrym Dunajem. Wracam jeszcze do cenzury. Mimo że jest ona tu bardzo surowa, zdarzają jęj się jednak czasem takie zabawne rzeczy, jak np. zakazanie dzieł autora, który przed kilkudziesięciu laty umarł. Za naszego pobytu w Konstantynopolu cenzura nagle spostrzegła, że Historia Schlossera powinna być wyrzucona z państwa Osmanów i umieściła ją dopiero teraz na indeksie. Jak tak dalej pójdzie, gotowa jeszcze kiedyś zakazać oba nasze Testamenty, ponieważ Koran nie we wszystkiém z niemi się zgadza...

Wracając do hotelu, mieniamy po drodze pieniądze. Z wszystkich nieprzyjemności, na jakie cudzoziemiec jest narażony na wschodzie w życiu codzienném, największą jest wymiana pieniędzy. Rząd, z powodów, których nie umiał mi nikt wytłómaczyć, a których sam nie chcę się domyślać, nie wybił dotąd tyle monety zdawkowej, ile jęj niezbędnie potrzeba, żeby przez to interesy nie cierpiały. Tymczasem ani rząd sam, ani towarzystwa publiczne, jak: tramwaj, statki parowe, kolej łańcuchowa i t. p., z zasady nie mieniąją większych pieniędzy i każdy z interesantów jest obowiązany mieć przy sobie „drobne.“ Powyższe instytucje, zebrawszy monetę zdawkową, sprzedają ją następnie drobnym kantorzystom, tak zwanym sarafom, którzy ją dają publiczności, biorąc przy zamianie 5 od sta. Ale pięć bierze tylko saraf znany z uczciwości, takich zaś nie wielu jest nad Bosforem; przeciwnie inni drą cudzoziemca jak mogą, a ilekroć tenże nie ma przy sobie „niańki,“ zapłaci pewnie 15 procent. Zresztą i z niańką daje się blisko 10%, bo oto jak zamiana wygląda: jeżeli mieniasz np. jedną med żydę, mającą 20 piastrow, to otrzymasz 3 sztuki każda po 5 piastrow i 4 piastry drobnemi, razem 19 piastrow, a jeżeli potrzebujesz więcej monety zdawkowej i mieniasz pozostałe trzy pięćpiastrowki, to stracisz na każdej 10 para. Razem wyniesie to 8.75%, a więc prawie 9 procent od całej kwoty. I nie koniec na tém. Franki francuzkie mają kurs dobry i każdy je chętnie bierze, ale greckich, włoskich, a szczególnie dawnych papiezkich nikt nie chce przyjmować, ci zaś, co je biorą, odliczają od nich porządne ażio. Gdy pieniądze mieniasz, musisz tedy mieć się na baczności, żeby saraf nie ubrał cię we franki greckie, których tu jest pełno, bo znówbyś stracił na zamianie. Wekslarstwo musi tu wielkie zyski przynosić, skoro prawie

w każdych drzwiach na głównej ulicy Pera stoi z pieniędzmi mała szafka oszklona, a obok nięj w fezie i z turecka przykrojony siedzi żyd. Już to handel pieniędzmi podoba się naszym najserdeczniejszym i czy to nad Wisłą, czy nad Bosforem, wołają oni ten chleb leciutki niż ciężką pracę w pocie czoła. W czasie mego pobytu w Konstantynopolu, czytałem w jednym z miejscowych dzienników obszerny i wyczerpujący artykuł, którego autor cyframi wykazał, ile milionów piastrow traci publiczność każdego roku wskutek braku monety zdawkowej. Artykuł został jednak głosem wołającego na puszczy, tam bowiem, gdzie się nikt nie spieszy, gdzie nikt nie jest ciekawy i gdzie wszyscy muszą słuchać woli jednego, tam idea, choćby najbardziej zdrowa i praktyczna, nie przyjmie się nawet w ciągu całego ćwierćwieku.

W chwili, gdy po zmianie pieniędzy, odstępowaaliśmy od szafki sara fa. za memi plecami zaskowyczał pies przeraźliwie. Obejrzałem się; wraz ze mną oglądnęli się także turcy, znajdujący się w pobliżu. Na ich wiecznie obojętnych twarzach dostrzegłem teraz coś takiego, co do współczucia wielkie miało podobieństwo. Pies leżał na chodniku, a ja, nie widząc go za sobą, przydeptałem mu nogę. Myślałem, że będzie uciekał i zacznie kąsać, tymczasem wziął ogon pod siebie i uszedłszy kilka kroków, położył się znów na trotuarze. Przy pominaniu sobie, że już w pierwszej podróży po Wschodzie, którą w dziecięcych latach czytałem, uderzył mnie rozdział poświęcony psom stambulskim. W dziełach, z którymi się później spotykałem, psy zajmowały zawsze miejsce ważne, niekiedy nawet naczelne, osoby zaś, które z Konstantynopola przyjeżdżały, zaczynały od psów swoje opowiadanie. Nawet owa piękna fczancuzeczka, która w Odesie brata gorącemi łzami żegnała, na nasze zapytanie, czy piękny jest Konstantynopol żywo odpowiedziała:

— Nieznośny! Trotuary złe, oświetlenie niedostateczne, drożyna wielka, zabaw żadnych, a psów bez liku.

Biedne psiska! Jak ci ludzie was obmawiają i czego oni właściwie chcą od was? Czyż nie jesteście naturalną częścią życia wschodniego, a w stolicy padyszacha nader pożyteczną instytucją? Co do mnie, nie mogę o was nic złego powiedzieć. Wprawdzie nad Bosforem psów jest tysiące—na każdej ulicy naliczysz ich kilkadziesiąt, na dłuższej, jak np. ulica Pera, może ich kilkaset, ale biedaki żyją własnym przemysłem, nikomu nie zawadzają i tylko wtedy szczekają, gdy je kto złośliwie podrażni lub wprost zaatakuje. Przez cały czas mego pobytu nad Złotym Rogiem jeden tylko raz zdarzyło mi się słyszeć psy szczekające. Było to wtedy, gdy jakiś przejeżdżający albańczyk uderzył psa batogiem. Pies zaskowyczał, inne przybiegły mu na pomoc i zaczęło się ujadanie, w którym wzięło udział najmniej sto głosów. Ale niepocziwy albańczyk odjechał i psy znów się uspokoiły. Gdy na nie patrzył dnia onego, szczególna myśl przyszła mi do głowy. Te psy, acz ucywilizowane trochę przez zetknięcie się z ludźmi, żyją jednak dziko, bo rodzą się, wychowują, giną na ulicy i do ni-

kogo nie należą. Mimo to są spokojne, łagodne i nie szczekają. Weź jednak z nich którego i oddaj na własność człowiekowi. Wprawdzie za pół roku będzie lepij wyglądał, wytadzi się i sierść zrobi się na nim szkląca, ale za to—jakięj złości nabierze, z jaką furją będzie drugich ludzi atakował i z jaką zazdrością będzie dawnych towarzyszy od progu swego pana odpędzał! Co go złym robi — byt lepszy, czy téż ciągle obcowanie z człowiekiem?... Psy tutejsze są wszystkie małe, równego wzrostu, szczupłe, maści szaro-żółtawej. Ich pradziadowie, znani pod nazwą szakalów, uwijają się dotąd po lewym brzegu Bosforu i zachodzą nieraz aż na przedmieścia Skutari.

Tam, w poprzek trotuaru leży jeden pies rozkosznie wyciągnięty, a że chodnik jest wązki, przeto koniec ogona ma tuż przy murze, nos zaś nad rynsztokiem. Czy jednak komu zawadza? Bynajmniej. Turcy, grecy, ormianie, nawet cywilizowani frankowie, w ogóle wszyscy z ręcznie go przeskakują, przy czém pod nogi nie patrzą, a pies oddaje się dalej słodkiemu far niente. Że ludzie są dla niego tak wyrozumiali, dobra ich w tém wola, on ich przecie do tego nie zmusza, a że żyje w mieście tureckim, więc czemu nie ma zaznać owęj rozkoszy, którą tu kief nazywają?... O kilka kroków za nim, na drodze koło rynsztoku, leży pięcioro małych szczeniąt w kłębuszek skróconych, a obok nich siedzi matka szczęśliwa i dumna, że ma tak liczne i dorodne potomstwo. Lecz co będzie, gdy zerwie się jedna z tych burz gwałtownych, które niekiedy te strony nawiedzają? Wtedy jej ból będzie bez granic, bo strumienie wody, pędzące w dół ulicami, porwą jej potomstwo i do morza zaniosą. Rok rocznie ginie w ten sposób psów tysiące i temu zjawisku zawdzięczają ludzie jaką taką równowagę, utrzymującą się między niemi. Po drugiej stronie ulicy, przed sklepem rzeźnika, stoi ośm psów w szeregu jak żołnierze. Położyły uszy po sobie, oczy im się śmieją, a ogonami wachlują. Rzeźnik zebrał w fartuch kości z odpadkami mięsiva i zostawiwszy sklep na łaskę opatrznosci, wyszedł sam na ulicę. Psy zaskomliły radośnie, w miarę jak się do nich zbliża, coraz głośniej skowyczą, wciąż jednak stoją na dawném miejscu, dopiero gdy rzeźnik z fartucha wszystko przed niemi wysypał, rzuciły się żarłocznie na swoje przysmaki i w jedném mgnieniu oka nic nie zostało. Między odpadkami znajdowała się spora kość, którą chwycił jeden z mniejszych piesków. Widzi to większy, a że i on hołduje bismarkowskiej zasadzie „siła przed prawem,” przyskakuje więc do małego towarzysza i groźnie warcząc chce mu ją odebrać; psiak jednak umyka z wszystkich sił i chowa się pod stołek pucobuta, który pochylony nad swoją skrzyneckką, obitą blachą mosięzną, tęskném wzrokiem śledzi wszystkie nogi, szukając między niemi butów nieczystych. Psy tutejsze uważają człowieka za swego przyjaciela, i dlatego każdy z nich, w razie grożącego mu niebezpieczeństwa, z całym zaufaniem chroni się między ludzi. Żeby psy stambulskie były chude, wynędzniałe, to bajka! Nie są one zbyt tłuste, lecz wyglądają dobrze, mniej więcęj jak u nas ogary i z głodu ni-

gdy nie giną, ponieważ litościwy turek o nich nie zapomina. A jeżeli się zważy, jak wielką usługę ludziom oddają, oczyszczając tak w dzień, jak w nocy, miasto milionowe, w którym inaczej gnijące odpadki powietrzeby zatruwały, to zaiste nie pojmuję tych wszystkich, którzy im wyrzucają ich marną egzystencją. Dopóki Wschód nie otrzyma rad sanitarnych, zamiataczów ulic, gałganiarzów, wywozicieli śmiecia i tym podobnych cywilizatorów, dopóty instytucja psia, istniejąca nie w samym tylko Konstantynopolu, lecz we wszystkich miastach wschodnich, będzie dlań niezbędną. W Brussie naprzykład, leżącej w Małej Azji, widziałem dnia jednego, jak turcy wywlekli i porzucili zdechłego osła. Stało się to prawie w śródmieściu pod murem ogrodu. Coby było nastąpiło, gdyby osieł musiał być powoli wracać do tej nicości, z której powstał? Poczciwe psy rychło się jednak o nim dowiedziały, a gdy w kilka godzin wracałem tą samą drogą, z całego osła został już tylko suchy szkielet, który prędko wysechł i pobielał pod działaniem palących słońca promieni.

Pies stambulski nie należy specjalnie do nikogo, chociaż do człowieka, który o nim pamięta, łatwo i chętnie się przywiązuje. Przekonał mnie o tém ów czarny, malutki, księgarz berliński, którego poznałem na pokładzie „Cara.“ Zamieszkał on w hotelu „Peszteńskim,“ koło którego wypadało mi przechodzić po kilka razy dziennie. Zawsze wieczorem widywałem go z pełnym talerzem karmiącego psy na ulicy. Za tyle serca przywiązały się one do niego nadzwyczajnie, ilekroć wychodził skowyczały radośnie i ręce mu liżąc odprowadzały go do rogu ulicy, z kądem jednak wracały na dawne stanowisko, gdyż psy stambulskie trzymają się wiernie swojej miejscowości i cudzych granic nigdy nie naruszają. Poczciwy prusak! — nie jeden powie. — Istotnie, bardzo poczciwy, jota w jotę taki sam jak turek. Pan Złotego Rogu jedną ręką karmi psy, a drugą, gdyby jeno mógł, uciąłby głowę każdemu gjaurowi; pan z nad Sprei prawą ręką podpisuje dekrety banicyjne, a lewą karmi pieski i kotki. Poczciwy prusak! Gdyby mi kto zrobił uwagę, że za czyny Bismarcka nie można każdego w Prusiech robić odpowiedzialnym, ośmieliłbym się stanowczo twierdzić, nawet udowodnić, że jak Bismarek jest żywym wcieleniem całego geniuszu Prus, tak znów każdy prusak ma w sobie coś z Bismarcka. Pojedynczy człowiek, wzięty osobno, jest tam prawy, dobry, gemüthlich, jak sam o sobie chętnie mawia, lecz w zbiorowisku staje się łakomym, drapieżnym, dzikim. Polityka Bismarcka musi więc być taka nie inna, on sam bowiem jest tylko wcieleniem ogółu i ztąd płynie jego siła. Jeśliby mi chciał kto zarzucić przesadę, zapytam, czy jest taka zbrodnia, którejby der gemüthliche Deutsche w zbiorowisku nie sankcyonował?..

Na twarzy każdego człowieka, maluje się wyraz jakowyś, będący mniej lub więcej wiernem odbiciem jego strony duchowej; ztąd też po-

chodzi, że niekoniecznie potrzebujemy kogoś znać bliżej, by poznać jego charakter. Często zdarza się, że odgadujemy człowieka już od pierwszego wejrzenia, gdyż nie darmo mówi przysłowie „że oko jest zwierciadłem duszy.” Istotnie, oko jest zwierciadłem, ale nie u turka. Nad Bosforem wszyscy stale mieszkający mężczyźni, bez względu na swoją narodowość i religią noszą fezy, a mimo to w pierwszym już dniu twojego pobytu w Konstantynopolu, odróżniesz turka od innych, chociaż rasy wschodnie, osiadłe w tych stronach są do siebie bardzo podobne. Po czem jednak poznasz turka? Po wyrazie twarzy, lub raczej po zupełnym braku jakiegokolwiek wyrazu. Każdy turek, młody czy stary, piękny czy brzydki, ma oczy do pół przymknięte, górna bowiem powieka wciąż mu w dół opada, twarz przerażająco spokojna, powiedziałbym nawet smutna, a w załomie jego ust widać rys niby bolesny, niby apatyczny, coś czego dokładnie nie można scharakteryzować. Gdybyś w posągi marmurowe tchnął życie i kazał im się poruszać, wyglądałyby inaczej niż turcy. Ta straszliwa monotoność, robiąca ich podobnymi jak jedna kropla wody do drugiej, sprawia, że z wejrzenia o żadnym z nich nie powiesz, czy jest dobry czy zły, mądry czy głupi, odważny czy bojaźliwy, a w ciągu rozmowy także tego nie docieczesz. Turek zawsze i wszędzie pamięta, że mowa jest tylko srebrem, milczenie zaś złotem, milczy tedy najchętniej, a mówi jedynie wtedy, gdy musi. Ale choć usta otworzy cedzi słowo po słowie z wielką ostrożnością, nigdy się nie wywnętrza i przy pierwszej sposobności ucina. Dzięki tej taktyce, są oni na świecie najlepszymi dyplomatami. Na całej kuli ziemskiej niema drugiego narodu, w którymby było tyle, co w nich chłodu i powagi. A jest takim nie tylko każdy wzięty osobno, lecz także w wielkich zbiorowiskach. Na ulicach mówią cicho, nie krzyczą, nie kłócą się, żeby się zaś kiedy dwaj turcy pobili, jest to rzecz tak niezwykła, że się o niej nie słyszy. Są oni z natury serca dobrego, głęboko religijni, skłonni do tolerancji, jeśli fanatyzm nie jest w nich pobudzony, gościnni, przyzwoiici i mają rzadkie poczucie sprawiedliwości. Turek nie użyje nigdy wyrażenia sprosnego, i nie będzie się zachwycał nawet geniuszem, jeśli ten według jego przekonania działa nieuczciwie. Ktoby jednak pod każdym względem jedynie z powierzchowności o nich sądził, zaszedłby na manowce. Zagadkowość ich oblicza wzięłaby za głębokie zamyslenie, ostrożność w mowie, za rozum, powagę okazywaną w ruchach, za poczucie własnej godności. Tymczasem są to po większej części ludzie lekkomyślni; dla których kie f jest rozkoszą najwyższą, do tego stopnia ograniczeni, że nie mają w sobie nawet prostej ciekawości i niesłychanie pyszni. Wszystkie te wady wypływają w części z ich krwi, a w części są logicznym następstwem religii fatalistycznej, którą wyznają. Człowiek głęboko wierzący, że poza Koranem niema ani zbawienia ani prawdy, nie potrzebuje głowy sobie mozolić, uczyć się i badać, ponieważ prorok już dawno w tém go wyręczył. Zresztą na coby mu się praca umysłowa przydała, i czegoby docieknął, skoro wszyst-

ko dzieje się za nieograniczonem zrządzeniem Allaha, w którego rękę człowiek jest ślepem narzędziem. Kogo raz taki fatalizm ogarnie i kto przytém jest z natury skłony do lenistwa i gnuśności, ten pod względem umysłowym nie będzie się rozwijał. Że nie sama tu religia zawiniła, ale w znacznej mierze i krew, widać to najlepiej na persach i arabach, którzy mimo religii mahometańskiej stanęli wysoko w naukach i sztukach, gdyż ci z natury byli ruchliwsi i ciekawsi. Turek zajmuje się jedynie tém, co go najbliżej obchodzi, a że potrzeby jego są małe, które bogata natura łatwo zaspakaja, więc nie troszczy się o jutro i z dnia na dzień żyje szczęśliwy. Wspomniałem, że turek jest pyszny. Istotnie jest on takim, ponieważ prorok zrobił go panem świata. Czyż mu nie powiedział, że mahometanin jest stworzony tylko do wojny i panowania i że wszystkie narody służyć mu będą? Powiedział to także Jehowa wybranemu narodowi i nie z mniejszym powodzeniem. Turek zdobywał świat orężem, żyd sprytem... Wyznawcy Koranu podbili znaczną część Azji, północne brzegi afrykańskie, rozleli się po Indyach, wtargnęli do Europy, zdobyli Hiszpanią, Bizacyum, poszli za Dunaj, dotarli pod Wiedeń. Wprawdzie tam noga im się powinęła, i odtąd zmniejsza się ich olbrzymia niegdyś potęga w Europie, lecz dzieje się to dla tego, że Allah nie dał im przez dłuższy czas wielkiego sułtana. Ale gdy ten się znów zjawi i chorągiew proroka rozwinie, giacy zobaczą do czego muzulmanin jest jeszcze zdolny. W to turek ciągle jeszcze wierzy i tego się spodziewa. I jak niema być pysznym, skoro Bizacyum i św. Zofia do dziś dnia znajduje się w jego rękę, a Europa mimo wojsk milionowych i bogactw niezliczonych odebrać ich nie może. I prawda musi być co mówi przysłowie: „Piękność należy do czerkiesa, handel i bogactwo do greków i ormian, umiejętność do europejczyka, a wielkość majestatyczna do Osmanów.” Takimi turcy są i długo jeszcze zostaną, póki ich wiara całkiem się nie przeżyje i oni nie ulegną przeistoczeniu, rozplywając się w organizmach dziś może jeszcze nieznanym, które dopiero kiedyś na widownię świata wystąpią. Kto zaś myśli, że można im zostawić krew i wiarę, a mimo to ich ucywilizować, ten łudzi się tak samo jak ów Murad bej, który mnie upewniał na pokładzie „Cara,” że Turcja już wkrótce będzie inaczej wyglądała. Turek cywilizowany wprawdzie przywdziewa frak europejski, rękawiczki i buciki lakierowane (iluż w ten sposób ubranych widziałem nad Bosforem!); kłania się jak my, mówi dobrze po francuzku, a nawet, idąc w ślady najbardziej zepsutego paryżanina, potrafi całe noce trawić na wyrafinowanej rozpuście, i zgrywać się przy zielonym stoliku, w gruncie atoli zostanie on zawsze dawnym turkiem, na pozór zimnym, w głębi namiętnym, powierzchownie dobrym, w naturze swój dzikim, niby pracowitym a jednak gnuśnym. Cywilizacja nie o wiele lepiej nań działa niż na indyanina z posiadłości angielskich. Zabiera mu jego dobre przymioty, obdarza go zaś tém, co sama ma najgorszego: zachęca go do jawnej rozpusty, gry i pijaństwa, a nie uczy go pracować, myśleć i czuć po chrześcijańsku.

Kto nad Bosforem mężczyznom się przypatrzy, dla tego kobieta tamtejsza przestanie być zagadką, a tém mniej nie będzie jój poczytywać za istotę całkiem nieszczęśliwą. Mężczyzna urabia kobietę, mąż żonę. On jest jój opiekunem, on ją kształci, on przez świat ją prowadzi. Wypływa to z jego przewagi równie fizycznej jak intelektualnej. Kto więc chce płakać nad kobietą wschodnią, ten niech zapłaczę w pierw nad wschodnim mężczyzną. Wolny szwajcar niech desperuje nad losem turka, nie mającego pojęcia o samorządzie kantonalnym; adwokat paryzki niech biada nad swoim kolegą stambulskim, że tenże nie może popisywać się pięknymi mówkami w parlamencie, malarz europejski niech rozdziera szaty na myśl, że artyście wschodniemu Koran nie pozwala malować ani zwierząt ani ludzi—słowem płaczmy nad wszystkim, co jest w Turcyi i żałujmy, że nie jest ona pod każdym względem państwem europejskiem. Rozumiałbym jeszcze taki żal ogólny, choć i w nim mieściłoby się wiele samolubstwa i śmieszności, trudno bowiem żądać, by świat cały robił się koniecznie do nas podobnym; ale czego nie pojmuję, to tój jednostronnej humanitarności, która o mężczyźnie na Wschodzie zapomina, a bierze tamże w opiekę tylko samą kobietę. Dla czego nad nią mamy biadać, skoro życie z takim jak turek mężczyzną, nie mogło zrobić jój inną niż jest, skoro oboje dopełniają się i bardzo im z tém dobrze! On próżnuje, ona także: on zażywa haszysz lub opium pali, i ona pasyami to lubi; on zapada w słodki kief, ona nie mniej od niego wzdycha do tój rozkoszy. Nie rozstrząsam poligamii, jest to bowiem obyczaj czysto wschodni, potępiony przez ludzi, żyjących w klimacie umiarkowanym, chociaż w zamierzchłej przeszłości istniał nawet w spokojnej słowiańszczyźnie, sądzę jednak, że musi on być na Wschodzie w naturze ludzkiej ugruntowany, skoro chrystyanizm nie mógł tam jedynie dla tego zwalczyć mahometanizmu, iż głosił jednożeństwo, którego gorące ludy nie chciały. Mężczyźni nad Bosforem pragną więc poligamii, a co do kobiet, to i one godzą się z nią, jak ze złem koniecznem, tém się pocieszając, że w Turcyi niema przynajmniej nudnych starych kawalerów i śmiesznych starych panien. Zresztą są i takie, które znając życie na Zachodzie, wręcz mówią, że lepiiej, gdy mąż ma kilka żon w domu, a za domem żadnej, niż gdy w domu ma tylko jedną i tój nie kocha, a za domem dwie lub trzy i na nie majątek traci. Ale i poligamia nie jest już na Wschodzie tak powszechnem złem, jak nam się w Europie wydaje. Biedny muzulmanin nieważ zawsze tylko jedną żonę, kilka bowiem nie miałby z czego utrzymać, a że biednych jest wszędzie więcej niż bogatych, przeto i między turkami jednożeństwo ma już licznych wyznawców. Co do sfery zamożnej, w tój znów zdarza się bardzo często, że dziewczica mężczyzną poślubiając, stawia mu za warunek *sine qua non*, żeby za jój życia nie brał do domu drugiej kobiety. Jeśli jój to przyrzecze, prawie się nie zdarza, żeby kiedy słowo złamał. Rozwód jest u turków tak samo łatwy jak u żydów, ale czy o rozwody nie walczą dziś kraje wysoko ucywilizowane?

W Europie mówi się wiele o zamykaniu i niewoli kobiet tureckich; zaiste nie kłamlivszego nad to twierdzenie. Może są prawdziwemi niewolnicami gdzie indziej, wszelako nad Złotym Rogiem i na wybrzeżach Małej Azji, gdzie na nie patrzył, nie mogę o nich tego powiedzieć. Ich istotna niewola jedynie na tém polega, że noszą zasłony, że nie chodzą razem z mężczyznami i z nimi na ulicach nie rozmawiają, nakoniec, że okna w ich mieszkaniach są drewnianą siatką przysłonięte, przez którą wprawdzie wszystko widzą, lecz same nie mogą być widziane. Zasłony jak już wspomniałem, są właściwie dla ich dobra wymyślone, bo często przyczyniają się do podniesienia ich wdzięków, a niekiedy służą do ukrycia ich wieku i brzydoty. Co zaś do unikania kobiety przez mężczyznę na ulicy, to zdaje mi się, że i to wychodzi na jej korzyść, mąż bowiem ani nie podpatruje żony, ani jej nie śledzi; wreszcie zasłony w oknach nie są o wiele gorsze od markiz i żaluzji, używanych dla zbytniego gorąca we wszystkich krajach południowych. Nigdzie nie spotkacie tyle kobiet snujących się beczynnym po mieście, co w Stambule. Chodzą po dwie, trzy, niekiedy z dziećmi, często także same. Bogatym towarzyszą niewolnice lub eunuchy, pełniący funkcje nie tyle stróżów, co lokajów, mieć bowiem eunucha należy do tonu dobrego, biedne zaś chodzą bez niczyjjej opieki. Spotkasz je w sklepach i bazarach, na statkach parowych i tramwajach, w moszeach i na cmentarzach. Kupują stroje i klejnoty, odwiedzają przyjaciółki, mieszkające nad Bosforem, chodzą do łaźni: gdy się ich kilka zejdzie mówią bez końca i plotki robią, tout comme chez nous. Kobieta turecka może być cały dzień w mieście, byle wieczorem wróciła do domu. Od tej chwili zaczyna się jej prawdziwa niewola i na nocne wycieczki nikt jej nie pozwoli, ale takim samym niewolnikiem jest wtedy i mężczyzna, ponieważ wieczorem siedzą oni wszyscy w domu, lokale publiczne są pozamykane, hulanki nocnych niema, w mieście panuje cisza, przerywana chyba głosami wałęsających się cudzoziemców. Kto chce kobiet tureckich widzieć na setki, ten niech pojedzie do „słodkich wód“ azyatyckich lub europejskich. Tam, pod cienistemi gałęzmi platanów, orzechów i drzew wawrzynowych, ujrzy najpierwsze damy Stambułu, w płaszczach jedwabnych, pod któremi kryją się suknie najdroższe, otoczone dziećmi dróbnymi, co w koło matek skacząc, bawią się wesoło. Ich swobody nikt tam nie krępuje. Rozmawiają, jedzą słodczyce, służba zaś przy ekwipażach stojąca, każdy ich rozkaz spełnia. Wprawdzie ich rozmowy są banalne, wciąż bowiem krążą dokoła strojów i drobiazgów życia codziennego, lecz mężowie czy mówią o czém rozumniejszym? Ci całkiem milczą. Dajcie jednak wykształcenie tak jednym jak drugim, a monotonna dziś konwersacya zmieni się na ożywioną i dowcipną.

Czy kobiety wschodnie dochowują wiary małżeńskiej swoim mężom i panom? O ile mi mówiono, nie mniej i nie więcej, niż kobiety w innych krajach europejskich. Która chce być cnotliwą, łatwiej może nią być tu, niż gdziekolwiek indziej, gdyż z mężczyzną-kusicie-

lem nie styka się na każdym kroku; wszelako te, dla których kaprys jest wszystkim, idą tak samo na rozdroża, jak wesoła paryżanka lub niemka sentymentalna. Usłużne niewolnice i kupcy sprzedający klejnoty w bazarach, umieją tak zręcznie ułatwiać schadzki miłosne, że rzadko kiedy mężowie o nich się dowiadują. I niech nikt nie sądzi, że dzisiejszy turek, usłyszawszy o wiarołomstwie żony, bądź ją przebija zaraz jataganem, bądź w skórzany wór zaszywszy do Bosforu ją wrzuca. Bynajmniej! Takie rzeczy działy się dawniej. Dziś pan mąż rozwodzi się prozaicznie i w ten sposób kończy się historia romantyczna. Pod tym względem europejczycy wyprzedzili już Turków; ho przecie sławny okrzyk Dumasa: *Tue la!* zyskał oklask powszechny, a sądy paryżkie za dni naszych systematycznie tych uwalniają, co z zadości popełniają zbrodnie przeróżne, między którymi oblewanie wiotryolem należy ponoć do ująłagodniejszych...

Czy ładne są kobiety tureckie? Jak nie mają być ładne, skoro cały Wschód, a głównie Kaukaz, ta prawdziwa kolebka piękności, dostarcza im niewiast najbardziej uroczych. Widziałem ich bez zaston bez liku i wiele między nimi było prześlizgniętych. W głównej przedsiębioralni jedwabiu w Brussie, a jest to jedyne miejsce na Wschodzie, gdzie kobiety tureckie mogą z odstępionymi twarzami pracować, spotkałem ich razem najmniej sto, lecz te, z wyjątkiem jednej, były wszystkie brzydkie, jakby umyślnie wybierane, za to w innych miejscowościach, najwięcej zaś podczas Bajramu, w ślicznym lesie, położonym na brzegu europejskim, w którym znajdują się olbrzymie zbiorowiska wody słodkiej, widziałem piękności niezrównane, o szlachetnym profilu gruzyjskim, mogące łatwo ułomnemu śmiertelnikowi głowę zawieiruszyć. A chociaż obyczaj nie pozwala im pokazywać się mężczyźnie bez zastony, mimo to ilekroć z boku zaszedłszy usiłowałem im się lepiej przypatrzeć, wcale się za to nie gniewały, owszem, nawet zębki szczerzyły, i jeden tylko raz mi się zdarzyło, a było to w gaju dębowym między Mudanią a Brussą, że piękność schwycona na gorącym uczynku, gdy melona jadła, rzuciła mi gniewne spojrzenie, i natychmiast zaciągnęła na głowę koniec swego płaszcza. W samym Stambule jechaliśmy dnia pewnego do Ildysz-Kiosku, aby sułtana zobaczyć. Ponieważ od Dolma-Bageze począwszy, droga wspina się stromo w górę, przeto aby koniom ulżyć i ruchu użyć, wysiadłem z powozu i czas jakiś szedłem pieszo. W tém widzę przejeżdżającą obok krok za krokiem wspaniałą karetę z ennuchami. Nie mogąc powściągnąć ciekawości europejskiej, wetknąłem głowę w jej okno otwarte, i kogoś w niej ujrzałem. Trzy tureczki, wszystkie młodzieńki, jak kwiatki rozwinięte, a piękne jak senne marzenie. Na twarzach miały tak przejrzyste woalki z białego muślinu, że każdy rys można było dojrzeć i osądzić. Zdaje mi się, że musiały to być siostry, córki jakiegoś haszy bogatego, gdyż nie przypuszczam, by jeden śmiertelnik mógł mieć za żony aż trzy takie klejnociki. A mimo żeż zuchwale wetknął głowę do ich karety, ani się rozgniewały, owszem uśmiechnęły się równo-

cześnie, przy czém minki miały niezmiernie figlarne. Eunuhy nic nie widzieli. Już to o ile mi się zdaje, ci rzadko kiedy co widzą...

Kobiety tureckie mają brzydki zwyczaj bielenia sobie równie twarzy, jak szyi, a prócz tego, aby oczy większe się wydawały, podmalowują je tuszem chińskim; z niższych warstw nacierają sobie także dłoń i paznokcie jakąś farbą czerwoną, której zmyć nie można. Gdyśmy raz w Brussie, w pobliżu sławnej moszei Zielonej czekali na muezzi-na, który wkrótce miał się na minarecie pojawić, przybiegło do fontanny, obok której stałem, kilka dziewczątek. Najstarszą z nich, która zaślaniała już sobie twarz do połowy, wziętem za rękę, by się przypatrzeć, jak była pomalowana. Nie broniała, i choć to było w prawowiernej Azji podała mi rękę z zaufaniem i śmiała się swobodnie. Zaczęła nawet szczebiotać po turecku, lecz niestety nie mogliśmy się porozumieć...

O kobietach tureckich, tak samo jak o mężczyznach, mógłbym łątwo cały tom napisać, ponieważ ich życie haremowe, odkąd zaczęto do nich wprowadzać damy europejskie i lekarzy-chrześcian, przestało być dla nas tajemnicą. Trzebaby więc tylko przejrzeć dzieła różnych turystów i porobić z nich ciekawe wyciągi, a złożyłaby się całość barwna i zajmująca. Takiego jednak zamiaru nigdy nie miałem. Ja notuję tylko wrażenia, zebrane podczas wycieczki przelotnej, podróżni zaś tacy, którzy długie lata na Wschodzie spędzili, niech szczegółowo opisują kraj i mieszkających w nim ludzi.

W haremie żadnym nie byłem, bom ani turek, ani lekarz, ale była w nim pani Hasfort, gdy lat temu kilka bawiła z bratem w Tunisie. Chcąc kobietom wschodnim zbliżać się przypatrzeć, udała się ona z prośbą do następcy tronu, aby jęj pozwolił zwiedzić swój harem. Pośredniczką i tłumaczką była włoszka, praczka haremowa. Syn beja tunetańskiego siedział właśnie nad Koranem zatopiony, gdy dama z dalekiej północy do niego się zgłosiła. Przyjął ją zimno, po mużulmańsku, a gdy usłyszał, co ją do niego sprowadziło, odrzekł, że nic nie ma przeciw temu, lecz równocześnie zrobił minę, jakby chciał powiedzieć: „Na co tobie tego, ciekawa istoto?” Pani H. była tedy w haremie, lecz nie widziała w nim nic nadzwyczajnego. W jednym pokoju roito się od małych dzieci, które śmiejąc się i krzycząc koźły wywracały, w drugim siedziała żona Nr. 1 w gronie kilka innych, cała okryta jedwabiem i obsypana brylantami. Ujrawszy wchodzącą damę europejską, pospieszyła do drzwi na jęj spotkanie, potem zaprowadziła ją zaraz tam, gdzie były złożone jęj suknie i klejnoty. Temi przed obcą kobietą trzeba się było najpierw pochwalić. A w Europie czy inaczej się dzieje? Czy damy nasze ubierają się dla nas, czy tęż jedna dla drugięj?... Po ukazaniu bogactw haremowych, zaczęło się szczegółowe oglądanie stroju pani H. i wypytywanie ją o rzeczy najrozmaitsze. Przez ten czas podawano kawę i sorbety. Praczka, jako dragomanka, siedziała także na miejscu honorowém i w gościnném przyjęciu brała udział. A potem? Potem pani Hasfort pożegnała

sułtanke i jej otoczenie, a wyszedłszy z haremu powiedziała sobie, że właściwie nie było tam nic ciekawego. Bo i jakąż wartość może mieć dla nas świat bezmyślny, w którym strój, kąpiel i kief całe życie wypełniają!...

Turcy są przystojni, tureczynki piękne, ale ich dzieci prześliczne. Drobiazgu tak zdrowego, rumianego i swobodnego nigdzie dotąd nie widziałem. Gdym o tém wspomniał jednemu ze znajomych, rzekł mi na to, że turcy postępują jak ongi spartanie i kalek zawczasu się pozbywają. Czy istotnie tak jest, nie wiem, ale to mogę poświadczyć, że dzieci, które się na ulicy widuje, są skończonemi arcydziełami. A jak są dobrze ubrane! Chłopaczki mają sukienne kurtki, także majtki, pończoszki i trzewiki; dziewczątka prawie zawsze sukienki jedwabne, koloru jasnego, najczęściej niebieskie, różowe lub białe, sięgające im do kostek z kilkoma falbankami u dołu. Dzieci biegają swobodnie po ulicy i zaiste widok to rozczulający, gdy przed kawiarniami widzi się brodaczków słuszných, ogorzałych, trzymających malutkie dziewczątka na rękach, a one obejmują ich za szyję i z zaufaniem tulą się do ich piersi, bo ci straszni brodacze, których twarze przerażały niegdyś całą Europę, to ich ojcowie najdrożsi!

(C. d. n.).

CHOROBY NASZEGO WIEKU.

NAPISAŁ

Władysław dr. Chodecki.

Nie milknące głosy prasy codziennej wszystkich krajów, donożące o coraz częstszych a nagłych wypadkach chorób umysłowych, pobudzić powinny nietylko sfery naukowe, ale i całe zastępy ludzi inteligentniejszych do głębszego zastanowienia się nad przyczynami, które zjawisko to — straszne już dziś a przerażające swoją groźbą na przyszłość — wywoływać mogą.

Nie ulega wątpliwości, iż nietylko choroby nerwowe i umysłowe szerzą się w naszym wieku w sposób zastraszający, ale że i wypadki samobójstw jeśli ich nie wyprzedzają, to w każdym razie równego dotrzymują im kroku. Jakkolwiek nie posiadamy dotychczas dokładnej statystyki obłąkanych w kraju, możemy jednak twierdzić, iż liczba obłąkanych zwiększyła się równie u nas, jak i za granicą ¹⁾. Jedną szczególnie formą chorób umysłowych, stojącą na granicy chorób nerwowych i psychicznych, szerzy się obecnie nadzwyczajnie: jest to paraliż postępowy czyli otępienie umysłowe z paraliżem (*paralisis progressiva*) ²⁾.

Na ostatnim zjeździe psychiatrów rosyjskich w Moskwie, prof. Mierzejewski zaakcentował także nadmierne szerzenie się chorób nerwowych i umysłowych i przedmiotowi temu poświęcił równie gruntowny ak pełen ducha i wyższej inteligencji wykład; tą też kwestyą i my chcemy zająć łaskawego Czytelnika.

¹⁾ Dr. A. Rothe: „Psychiatria.” 1886. Str. 67, 68.

²⁾ Dr. E. Hecker: Die Ursachen und Anfangssymptome der psychischen Krankheiten Sammlung klinischer Vortragen von. Volkmann. Str. 9.

Jasną jest rzeczą, iż obecne nadzwyczaj trudne warunki bytu i ogromna konkurencya we wszystkich gałęziach ludzkiej działalności muszą prowadzić do nadmiernego wyczerpania mózgu w „walce o byt,” gdyż inaczej łatwo bardzo narazić się na przegrane. Nadto przy panującej epidemicznie gorączce złota („febris aurea”), nikt nie zadawał sobie umiarkowanym zyskiem; być bogatym, używać lub nie egzystować oto dzisiejsza dewiza, podkopująca fizyczny i moralny organizm.

Jesteśmy w zgodzie z wszystkimi głębiej myślącymi lekarzami, twierdząc, iż żądza prędkiego rozgłosu, sławy i bogactwa, głód coraz nowych wrażeń, ogarniająca wszystkich coraz bardziej gorączka używania i co za tē m idzie, nadmierne od wczesnego dzieciństwa wyczerpanie mózgu, by wywalczyć sobie stanowisko, jest w znacznej części źródłem nerwowej słabości naszego pokolenia. Nadto nie zapominajmy o tym ważnym fakcie, iż przeciążanie pracą umysłową, bez względu na zdolności i wytrwałość organizmu danego osobnika, zaczyna się od najwcześniejszego dzieciństwa; dzisiejsza młodzież opuszcza ławki szkolne z osłabionym do najwyższego stopnia systemem nerwowym, z krótkowzrocznością i bezkrwistością (anaemia) w wysokim stopniu. Nic więc dziwnego, iż słabsze organizacje z małą odpornością mózgu na wrażenia zewnętrzne, ulegają nakoniec w walce o byt i podpadają różnym chorobom nerwowym i umysłowym. Rodzice, nie uwzględniając zupełnie stopnia zdolności swych dzieci, rujną się materyalnie, by im dać jak najwyższe wykształcenie; rezultatem tych dążeń jest słabość zdrowia młodego pokolenia, niezadowolone i gorzki pesymizm w życiu.

Najważniejszą przyczynę w szerzeniu się chorób nerwowych i umysłowych przypisał prof. Mierzejewski usposobieniu dziedzicznemu; według spostrzeżeń najznakomitszych badaczy, dziedziczność w przyczynowości tych chorób dominującą gra rolę. Zachowując juste milieu, twierdzić można, iż dziedziczność w 50% stanowi główną przyczynę obłąkania ¹⁾. U dzieci pojawiają się albo te same formy chorobowe, jakie istniały u rodziców, lub też inne; jedna tylko forma zboczenia umysłowego z wielką jednostajnością przenosi się z rodziców na potomstwo: jest nią chorobliwa skłonność do samobójstwa. Już Voltaire zwrócił uwagę na dziedziczne do niego usposobienie; i nie rzadko zaiste obserwować możemy wypadki, w których całe pokolenia giną przez samobójstwo. Znakomity psychiatra francuzki Falret cytuje jednego ojca, który skończył samobójstwem i czterech synów, którego również targnęło się na własne życie. Pijaństwo okresowe (dipsomania) należy również do chorób umysłowych z wielką jednostajnością przenoszących się z rodziców na potomstwo ²⁾.

1) Von Kraft-Ebing: Die Erbllichkeit der Seelenstörungen und ihre Bedeutung in der forensen Praxis. 1868, pag. 188.

2) Dr. Adolf Rothe: „Otrucie wyskokowo czyli alkoholizm.” Odbitka z „Gazety lekarskiej.” Warszawa 1862.

Czy wpływ ojca czy matki donioslejszym jest na potomstwo, nie jest dotąd ściśle rozstrzygniętym; zdaje się jednak, że dzieci umysłowo chorą matki pręcej popadają w chorobę umysłową niż chorego umysłowo ojca. Najczęściej choroba nerwowa lub umysłowa matki udziela się córce; (Jolly, Nothnagel, Esquirol, Baillarger) tak np. matka może cierpieć na rozdrażnienie nerwowe, migrenę, córka zaś może uleść histeryi, epilepsyi. W ogóle drzewem, z którego niby gałęzie rozechodzą się różne formy chorób nerwowych i umysłowych, jest rozdrażnienie nerwowe czyli „neurasthenia” (Bouchut, Beard). Co do chorób umysłowych specjalnie, to nietylko rozwinięte ich formy u rodziców, ale w ogóle zaburzenia w systemie nerwowym i usposobieniu psychicznym, jak nadmierna uczuciowość, głupkowatość i wielka choroba (epilepsya), mogą stać się u potomstwa przyczyną ciężkich chorób umysłowych. Również często możemy obserwować, że jedno dziecko może chorować na umyśle, drugie samobójstwem zakończyć życie, trzecie dostać wielkiej choroby (epilepsyi), czwarte nakoniec odznaczać się ekscentrycznością usposobienia lub przestępnymi skłonnościami. Zastępuje również na uwagę fakt skonstatowany od niedawna przez wielu znakomitych badaczy, że z rodzin, w których panują choroby nerwowe i umysłowe, łatwo wyjść mogą i przestępcy. Z drugiej strony nie możemy zaprzeczyć tej obserwacyi, że z takich „dziedzicznie obciążonych” rodzin pochodzą często i ludzie genialni; słowa niemieckiego wieszczka: „dem Wahnsinn ist der grosse Geist verwandt und beide trennt nur eine dünne Wand“ w świetle nowych badań nie są zaiste tak dalekimi od prawdy. Przypomnimy tutaj o tym obserwowanym fakcie, że znakomici ludzie cierpią często na wyraźną nerwowość, że odznaczają się ekscentrycznością usposobienia i podpadają niekiedy chorobom umysłowym (Tasso, Lenau, Donizetti, Schumann). Teorią pokrewności geniuszu i obłąkania sformułował niedawno włoski uczonej Lombroso.

Także niektóre skazy krwi u rodziców usposabiają potomstwo do chorób nerwowych i umysłowych; dr. Mendel berliński psychiatra i docent uniwersytetu podniósł ważny bardzo fakt, że przymiot (syphilis) odziedziczony po rodzicach usposabia w wysokim stopniu do rozmaitych chorób nerwowych i umysłowych ¹⁾.

Również dzieci pochodzące z małżeństw zawieranych w blizkiem pokrewieństwie odznaczają się skłonnością do chorób nerwowych i umysłowych; ponieważ obecnie mała tylko liczba rodzin jest wolną od chorobliwego stanu układu nerwowego, nie ulega więc wątpliwości, że połączenie członków tej samej familii pociągnie za sobą u potomstwa zwyrodnienie umysłowe (degeneratio psychica). Historia potwierdza do pewnego stopnia słuszność tych wywodów. Arystokratyczne rodziny, których członkowie zawierają związki małżeńskie po większej czę-

¹⁾ Dr. Mendel: „Ueber hereditäre Syphilis in ihrer Einwirkung auf Entwicklung von Geisteskrankheiten.“ Archiw für Psychiatrie, pag. 308.

ści tylko dla konwenansu lub dla widoków finansowych z blizkimi krewnymi, giną często według Niebuhr'a z tego powodu, przechodząc stopnie umysłowego zwyrodnienia od choroby umysłowej aż do zupełnego ośpienia umysłowego (idiotismus). Głuchoniemota zdaje się mieć również często tę samą przyczynę, a prof. Nothnagel w artykule „O epilepsyi“ wydrukowanym w podręczniku patologii Ziemssen'a twierdzi, że u dzieci pochodzących z małżeństw zawieranych w blizkiem pokrewieństwie, rozwija się często epilepsya.

Osoby odznaczające się dziedziczną skłonnością do chorób nerwowych i umysłowych zwracają niekiedy uwagę na siebie niesymetrycznością czaszki, niekształtnością uszów, nie rzadko możemy obserwować u nich zézowanie (strabismus), niedokładne rozwinięcie części płciowych a nawet i całego ciała. W dzieciństwie indywidua tego rodzaju cierpią często na konwulsye (drgawki epileptoidalne, eklampsya); odznaczają się w ogóle skłonnością do kurczów i wrażliwością zmysłów na wpływy zewnętrzne; u dzieci, pochodzących z rodziców, cierpiących na choroby nerwowe i umysłowe, obserwowałem często bezsenność i to w najwcześniejszem dzieciństwie. W późniejszym wieku a mianowicie w wieku dojrzewania płciowego rozwija się u nich często taniec Ś-go Wita (chorea) z zaburzeniami psychicznymi, omamami zmysłów; nierzadkim również jest somnambulizm. Ich usposobienie umysłowe odznacza się niejednostajnością, częstą zmianą humoru, drażliwością obok braku panowania nad samym sobą i przecenianiem własnego talentu i zdolności. Charakterystyczną cechą tego rodzaju indywiduów jest, iż nie znoszą wcale napojów alkoholycznych; już małe dawki alkoholu wywołują u nich napady furji i szaleństwa; najlepiej to nam dowodzi ich małej odporności i nadmiernej wrażliwości mózgu. Charakter takich osób odznacza się często okrucieństwem, uporem i brakiem serdeczności ¹⁾.

Z innych przyczyn, tak zwanéj „konstytucyi nerwowej“ (constitutio neuropathica) trzeba przypisać wybitną rolę w powstawaniu chorób umysłowych. „Konstytucya nerwowa“ polega na nadmiernej drażliwości układu nerwowego na działanie zewnętrznych bodźców, skutkiem czego wszelkie pobudzenie nerwowe wywołuje nader głębokie wrażenie. Objawia się to w powiększonej pobudliwości odruchowej, niestałością charakteru i kapryсами.

Co do wieku, to według wykazów Quetelet'a i Dagonet'a najrzadziej zapadają na choroby umysłowe dzieci i młodzieńcy niżej lat 20; najczęstsze wypadki chorób umysłowych zdarzają się w epoce najcięższej walki życiowej, t. j. między 30 a 50-tym rokiem życia. Po 60 latach następuje metamorfoza wsteczna całego organizmu: odżywianie w skutek osłabionego przyswajania (assimilatio) podupada, naczynia

¹⁾ Legrand du Saulles: „Ueber erbliche Geistesstörung.“ Niemiecki przekład Starka. 1875 str. 20.

ulegają atermatycznemu zwyrodnieniu, a mózg nie będąc dostatecznie odżywianym z powodu wadliwego krążenia krwi, ulega zanikowi (atrophia cerebri). Ten stan zmienia charakter i istotę umysłową człowieka: pamięć słabnie, zdolność prędkiego orientowania się w przedmiotach ginie i następuje zupełne otępienie umysłowe (dementia senilis).

Zbyt wczesna lub nieumiarkowana praca umysłowa może się stać źródłem choroby nerwowej albo umysłowej. Ze względu na prawa rozwoju mózgowia i całego organizmu, jesteśmy za zacyzowaniem nauki książkowej dopiero po skończonych latach siedmiu; higieniczny ten postulat opieramy na znanym prawie fizyologicznym, iż używanie jakiegos nierozwiniętego jeszcze organu, wywołuje w końcu jego zmarnienie i zanik. Przedwczesne przeciążenie nauką wywołuje drażliwą słabość mózgu i systemu nerwowego; wrażliwy mózg dziecięcia skłonny jest do przekrwień, a każda dłużej trwająca praca umysłowa wywołać musi przekrwienie mózgowia. Przeciążenie nauką w szkole powoduje kongestyę do głowy, nerwowość, potęgującą się często aż do zбочenia umysłowego. Obserwowałem często u uczniów przed egzaminami kliniczny obraz ostrego przekrwienia mózgowia (hyperaemia cerebri acuta); że obserwacye nasze oderwanemi nie są, dość jest rozejrzeć się w doniesieniach prasy codziennęj. W „Kuryerze Warszawskim“ z dnia 30 marca r. b. spotykamy się z ważną wiadomością, iż uczeń klasy piątęj Mińskiego gimnazyum, Mieczysław Zaleski, skutkiem zbytniego natężenia władz umysłowych zmarł nagle z przyczyny „ataku mózgowego“ (zapewne wynaczynienie krwi w substancję mózgową w skutek ostrego przekrwienia). Wypadki tego rodzaju nie są zaiste rzadkimi i sprawiają przygnębiające wrażenie! Przedwczesne starzenie się umysłowe i fizyczne naszego społeczeństwa bylibyśmy skłonni przypisać wyczerpaniu mózgowia w latach szkolnych.

Według zdania prof. Finkelburga wypadki chorób umysłowych przed dojrzałym wiekiem należy w większėj liczbie razy przypisać szkodliwym wpływom szkoły. W ostatnich czasach a mianowicie w r. 1880 znakomity neuropatolog niemiecki Hasse w wyczerpującym wykładzie zajął się szczegółowo tą kwestyą i jasno wykrył związek między powstawaniem chorób umysłowych i przeciążeniem w szkole. Pod wpływem nadmiernego wyteżania mózgu nierzadko rozwijają się u uczniów hallucynacye i wyobrażenia prześladowcze ze skłonnością do samobójstwa, które w ostatnich czasach zaczęło być między uczniami nader częstém.

Prawie zawsze przyczyną tego rozpaczliwego kroku bywa surowa kara, niedostanie promocyi, a ztąd rozgoryczenie, rozpacz i stan chorobliwy systemu nerwowego prowadzący do samobójstwa. Chcielibyśmy na tém miejscu zrobić uwagę, że jak człowiek żyje nie z tego co zjé, ale z tego co strawi, tak i mózg bęgąc przeładowany pracą, nie jest w stanie przyswoić (zaassimilować) wszystkich wiadomości i zamiast ciągłego rozwoju umysłowego dzisiejsi pedagodzy szkolni otrzy-

mują w rezultacie przytępienie umysłowe i niechęć do nauk! Szczególniej, zadawanie nad miarę lekcyj do domu, zmuszanie do kilkogodzinnego siedzenia przy książce, a nawet i do ślęczenia nad nią w nocy, odbiera nieszczęśliwemu uczniowi ostatnią chwilę czasu, którą mógłby spożytkować na ruch na świeżem powietrzu i musi przyczyniać się do powstrzymania rozwoju organizmu.

Przy wszystkich zboczeniach umysłowych musimy doniosłą rolę przypisać wychowaniu przeciwnemu prawidłom natury. Człowiek nie jest dzieckiem przyrody, lecz wychowania; mówi w swym znakomitym wykładzie prof. Schaffhausen ¹⁾. I słusznie. Zwierzę dojrzewa wśród przyrody, człowiek niekazemnieje w niej, jeśli mu zbywa na wychowaniu. Nietrafne wychowanie jest źródłem nerwowości, pijaństwa, a u kobiet histeryi. Zarówno rozpieszczenie, zbytnie rozbudzanie uczucia, nadmiarę uległość dla dziecka, jak i przesadzona surowość i zupełne zaniedbanie zgubne wydają owoce. Zbytnie pobudzenie fantazyi przez skierowanie jej z pola rzeczywistości w dziedzinę pojęć nadzmysłowych, zawczesne zniszczenie właściwości dziecinnego umysłu przez dopuszczanie przedwczesne do towarzystwa dorosłych, rozwijanie w dziecku próżności przez kosztowne toalety, zamiłowania błyskotek, oto ważne czynniki sprzyjające następnie powstawaniu chorób umysłowych. Zwróciłbym tu również uwagę na szkodliwość brania dzieci ze starszymi do teatru, na bale, koncerty i t. d., wszystkie te bowiem zabawy rozwijają w nich mogą uczucia i namiętności ich wiekowi szkodliwe. Współczesne wychowanie kobiet mimo widocznego zwrotu do trzeźwości i realizmu, wykazuje jeszcze pewne kierunki i poglądy fałszywe, oddziaływające szkodliwie na ich wyobrażenia i stan psychiczny. Wyznajmy prawdę, że dzisiejsze wychowanie kobiety, ma zamiast gruntownego przygotowania do rzeczywistego życia z jego trudami i mozolami, starają się przeważnie tylko o nadanie jej możliwie świetnego pozoru. Ogromna liczba nabywanych z wielkim trudem wiadomości nie przynosi żadnego pożytku ani gospodyni domu i wychowawczyni dzieci, ani kobiecie zmuszonej ciężką pracą wywalczać sobie chleb codzienny. Literatura piękna, muzyka uprawiana przez osoby nie mające do niej najmniejszego talentu, nie mogą dać trwałej podstawy wyobrażeniom i przekonaniom. Szczególniej zwróciłbym uwagę na szkodliwość czytania romansów, denerwujących w wysokim stopniu przez nadmierne pobudzenie fantazyi młodych czytelniczek; ile to nocy pod ich wpływem spędza nie jedna z nich bezsennie. Nadto literatura belletrystyczna, której najczęstszym przedmiotem jest miłość, przyucza kobiety upatrywać w niej punkt środkowy świata. „Życie towarzyskie z jego przerażającą czczością, mówi znakomity neuropatolog dr. Moebius ²⁾, ma dla kobiet szczególne niebezpieczeństwo: ga-

1) Die anthropologischen Fragen der Gegenwart. 1867.

2) Dr. P. Moebius: „Die Nervosität.“ Leipzig. 1885, str. 79.

lanterya mężczyzn łudzi je co do realnego stanowiska w społeczeństwie. Galanterya, mająca swe źródło przeważnie w popędzie płciowym, przyzwyczajają płęć piękną uważać się za coś godnego ubóstwiania; ztąd przekonanie, że cały świat na jęj usługi stworzonym został. Młodej panience, której poglądy na życie, opierają się z jednej strony na sentymentalizmie przeczytanych romansów, a z drugiej— na zdawkowych frazesach towarzyskich, rzeczywiste życie przynosi gorzkie zawody i rozczarowanie. Z tego wszystkiego łatwo pojąć, że mózg kobiety jest mało odpornym na zmartwienia, troski i kłopoty, któremi życie nasze tak obficie jest usiane.“

Na pytanie, czy kobiety czy mężczyźni częściej podpadają chorobom nerwowym i umysłowym, nie można odpowiedzieć z wszelką ścisłością. Mężczyzna bardziej narażonym jest na walkę życiową, kiedy rola kobiety jest więcej bierną. U kobiety przeważają formy chorób nerwowych i umysłowych, odznaczające się przeważnie osłabieniem siły woli, jak np. histerya, którą w ostatnich czasach wielu poważnych badaczy (Liebermeister) uważa za funkcyjną chorobę mózgu, a szczególnie szaręj korowój jego substancji. Z drugiej strony hypochondrya i wyczerpanie nerwowe właściwemi są raczej mężczyznom. U kobiet blednica (chlorosis) i cierpienia sfery płciowej są potężnym źródłem zaburzeń nerwowych i psychicznych. Zasługuje przytęm na uwagę fakt zkonstatowany przez wielu poważnych ginekologów (Schroeder, Rheinstaedler) iż ciężkie cierpienia narządu rodnego daleko rzadziej wywołują choroby nerwowe, aniżeli lekkie, chroniczne zapalenie macicy (metritis), nadżarcia szyjki macicznej (erosiones colli uteri), zmiany w położeniu i t. d.— Narządy płciowe u kobiety przedstawiają więc osobliwy stosunek do układu nerwowego. Również cięża i połóg usposabiają do chorób umysłowych. Jest to okres życia kobiet, który obfituje w rozliczne wrażenia mocno oddziaływające na umysł; znane są często dziwaczne zachcenia ciężarnych, a w okresie popołożowym zaduma i obęd, nie są zaiste tak rzadkimi zjawiskami ¹⁾. U kobiet sfer niższych zbyt częste porody, nadmierna i przeciwna zdrowiu praca w fabrykach, dająca najczęściej powód do moralnego zepsucia i przedwczesnych stosunków płciowych, jak również nieoszczędzanie się należyte w czasie cięży i połogu są niewyczerpanem źródłem cierpień nerwowych.

Wpływy czysto psychiczne jak długotrwałe kłopoty, zmartwienie, zawiedzione uczucie lub przeświadczenie o straconym celu życia, jako podkopujące w wysokim stopniu odżywianie organizmu a więc i mózgu, grają wybitną rolę w powstawaniu chorób nerwowych i umysłowych. W ogóle wszystkie afekty psychiczne działające przytęmiająco na funkcyę systemu nerwowego

¹⁾ Von Kraft-Ebing: „Die Geistes der Schwangeren und ihre gerichtlich med.“ Bedeutung. Friedreichs Blätter für gericht. Medizin. 1868 pag. 52.

(przestrach, gniew, smutek) mogą u usposobionych indywidualuów stać się przyczyną zбочenia umysłowego.

Jakkolwiek przy obecnym stanie nauki nie znamy istoty d. uszy, nie możemy pojąć i wytłómaczyć w jaki sposób ruch komórek mózgowych może stać się samowiedzą, myślą, wrażeniem i t. d., to dla nas jako dla lekarzy wystarcza fakt, że komórki zwojowe szarąj korowój substancyi są owym warsztatem, w którym wytwarza się myśl, wyobrażenie a w stanie prawidłowym miliony komórek składają się na harmonijną pracę, której wynikiem jest to, co nazywamy duszą... Ponieważ więc duszę uważamy jako ogół funkcyj mózgowia, musimy przyjść do wniosku, że choroby pewnych okolic mózgowia i jego opon, mogą wywołać zбочenia umysłowe.

Zaburzenia w krążeniu krwi w mózgu, a szczególniej w szarąj korowój jego substancyi, nowotwory (neoplasmata) mózgu wywołujące ucisk na naczynia włoskowate a powodujące przez to zastój żylny i niedokrewność mózgu, mogą wywołać zjawiska obłąkania; często w dzieciństwie przebyte zapalenie mózgu (encephalitis) usposabia następnie do chorób umysłowych.

Wylewy krwi w substancję mózgową (apopleksya) wywołują zwykle zaburzenia w czynności psychicznej, co zależy szczególniej od wielkości i miejsca wylewu krwi. Przy znaczniejszych jój wylewach szczególniej w korową substancję mózgu, znajdujemy zwykle głębszą utratę inteligencyi: osłabienie pamięci, zdziecinnienie, apatyę, płaczliwość i t. d. aż do zupełnego otepienia umysłowego. Również chroniczne zapalenie błon mózgowych i zrosty ich z substancją mózgową daje często powód do chorób umysłowych i stanowi anatomiczne podścielisko paraliżu postępowego (Calmeil).

A teraz musimy zająć się obrażeniami głowy i wstrząśnieniami mózgu, o ile prowadzą one do chorób umysłowych. Po zranieniach czaszki a nawet i po lekkich uderzeniach w głowę, często powstaje epilepsya (Griesinger, Hasse); również po zranieniu nerwów obwodowych. Często w pewien czas po obrażeniu mózgu powstają pewne określone formy chorób umysłowych ¹⁾.

Nierzadko w mózgu rozwija się po obrażeniu nader przewlekły proces zapalny, lub pozostała blizna drażni nerwy czucia i wywołuje odruchowo zaburzenia w krążeniu krwi i podrażnienie mózgu manifestujące się kongestjami do głowy, jój bólami, drażliwością i gwałtownością uposobienia a szczególniej małą odpornością mózgu na wpływy zewnętrzne: najmniejszy wysiłek, dłuższe zajęcie umysłowe wywołują gwałtowne bóle głowy, do których dołączają się objawy paraliżu w twarzy, w jednej lub drugiej kończynie górnej albo dolnej, a nakoniec i napady wyraźnej furji z utratą przytomności ²⁾.

¹⁾ „Ueber Irressein nach Kopfverletzungen“ von prof. dr. Schlager. Zeitschrift der Gesellschaft der Wiener Aerzte. VIII pag. 454.

²⁾ Prof. von Krafft-Ebing: „Ueber die durch Gehirnerschütterung und Kopfverletzung hervorgeruf. psychischen krankheiten.“ Erlangen. 1868.

Z zakażeń chronicznych krwi, przymiot (syphilis) najzgubniejszy często wpływ wywiera na układ nerwowy. Powodując chroniczne procesy zapalne już to w młéczu pacierzowym, już to w mózgu i jego oponach, już to nakoniec stając się przyczyną zwyrodnienia arteryj (arteriitis obliterans syphilitica Heubneri) utracających swą elastyczność, przez co odżywanie mózgu staje się anormalném, przymiot powoduje liczne choroby nerwowe, mózgowe i umysłowe. W ostatnich czasach neuropatolodzy i syfilidolodzy (Fournier, Erb) zwrócili uwagę na stosunek przymiotu do schnięć (wiądu) młécza pacierzowego (tabes dorsualis); okazało się, że u osób z dziedziczną skłonnością do chorób nerwowych, przymiot może stać się przyczyną wiądu młécza. W większej liczbie wypadków schnięć młécza jest pochodzenia syfilitycznego, anatomiczną podstawą téj choroby jest stwardnienie tylnych pęczków rdzenia (Romberg, Leyden). W przypadkach kiedy proces chorobny szerzy się na mózg i jego osłony, otrzymujemy symptomy paraliżu postępowego, demencji, melancholii i t. d. Zboczenia umysłowe pojawiające się na podstawie przymiotu, przebiegiem swym zbliżają się zupełnie do klinicznego obrazu paraliżu postępowego z manią wielkości. Niedawno zmarły prof. Wunderlich w Lipsku zaakcentował, iż choroby umysłowe wywołane przez przymiot odznaczają się połowicznością, „fragmentarnością” i ciągłą zmianą odnośnych zjawisk chorobowych¹⁾. Obok chorób nerwowych z anatomicznymi podstawami, hypochondrya i nerwowe rozdrażnienie (neurasthenia) są plagą wielu syfilityków.

Z chorób nerwowych zasługują na naszą uwagę histerya i epilepsya, gdyż obydwie te cierpienia sprowadzić mogą zboczenia umysłowe; histeryczna psychoza występuje w formie szaleństwa (manii) lub zadumy (melancholii). Każda prawie dłużej trwająca epilepsya prowadzi do obłąkania (Folie épileptique Falret); dziwić się należy, że u Juliusza Cezara, Rousseau'a, Napoleona Bonaparte, którzy cierpieli na padaczkę, strona umysłowa pozostała tak długo nietkniętą. Lżejsze formy padaczki (epilepsyi) według Schroeder'a van der Kolka częściej prowadzą do obłąkania i są z tego powodu niebezpieczniejsze, aniżeli ciężkie formy konwulsyjne. Często napady te bywają zastąpione przez prędko mijający atak szału gwałtownego.

Powtarzamy więc, iż każda dłużej trwająca padaczka doprowadza do zwyrodnienia umysłowego. Stopniowe ale ciągłe zmniejszanie się inteligencji, osłabienie pamięci, niechęć do zajęć umysłowych, apatia, gniewliwość i straszne przygnębienie, oto obraz umysłu u padaczkowych. „Pamięć upada, zdolność pojmowania słabnie, fantazya traci świeżość swych barw, swe ciepło i polet, serce wystyga. Fizyognomia i ogólne wejście chorych się zmienia; ich wargi grubieją,

¹⁾ Wunderlich: „Ueber die luetischen Erkrankungen des Gehirns und Rückenmarks.“ Sammlung klin. Vortraege von R. Volkmann. Nr. 93.

rysy stają się pospolite i nabierają odrażającego wyrazu. Podobne obłąkanie jest smutnym losem, który wielu epileptyków czeka, a los ten jest tém smutniejszy, że ogłupienie padaczkowe wyleczyć się nie daje; inne téż formy zbroczeń umysłowych, które padaczcze towarzyszą, mało co lepsze dopuszczają rokowanie¹⁾ (Griesinger).

Według Reynolds'a zbroczenia umysłowe są tém prawdopodobniejsze, im częstsze są napady epileptyczne¹⁾.

Zatrucie metalami jak rtęcią, ołowiem, arsenikiem i t. d., wywołuje ciężkie objawy nerwowe: drżenie, zajęcie mózgu, paralizę; nadużywanie środków narkotycznych jak morfiny, chlorału, bromku potasu, wywołuje poważne zbroczenia umysłowe. W ostatnich czasach morfinizm, wywoływany głównie przez podskórne iniekcye, stał się i u nas dość częstym zjawiskiem: lada ból, najłżejsza newralgia i szprycka Pravaz'a z morfiną już gotowa... Ból ustępuje jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ale ztąd wyradza się ciągła potrzeba leku, prawdziwy „głód morfiny“ i ważne zaburzenia ze strony systemu nerwowego nie każą długo na siebie czekać. Drżenie rąk i nóg, bezsenność, przywidzenia, osłabienie, bicie serca, oto kara za przyjemne upojenie narkotykiem. Należałoby zwrócić pilną uwagę na wydawanie morfiny za receptami osób niepowołanych.

Z innych cierpień nerwowych newralgie i to ciężkie ich postacie wywołują odruchowe zbroczenia w dziedzinie umysłowej; znaną jest szczególnie tak zwana melancholia newralgiczna (dystymia nevralgica Griesinger, von Krafft-Ebing). Descot opisuje ciekawy wypadek, w którym silne zaburzenia psychiczne wystąpiły skutkiem nerwobólu urazowego (traumatycznego).

Nadużycia płciowe i niezgodne z prawidłami natury zaspokajanie popędu płciowego mogą stać się ważnym czynnikiem w rozwoju chorób nerwowych i umysłowych. Przy obecnych trudnych warunkach bytu, wiele małżeństw praktykuje tak zwane „spółkowanie niezupełne“ (cohabitatio reservata); szkodliwe skutki tego rodzaju zaspokajania popędu płciowego, są wyraźne szczególnie na kobiecie. Wiem dobrze o kilku wypadkach zupełnego rozstroju nerwowego u kobiet, wyraźną przyczyną którego była „cohabitatio reservata;“ z prawidłowością stosunków płciowych ciężkie objawy nerwowe szybko ustępowały. Zgubnym również jest samogwałt i to szczególnie praktykowany przed osiągnięciem dojrzałości płciowej. Częste nocne zmuzy (pollucye) pociągają za sobą hypochondryę i zadumę (melancholię). Także zupełne niezaspokajanie popędu płciowego jak u osób zmuszonych do celibatu, prowadzi do różnych cierpień nerwowych.

Musimy teraz powiedzieć słów kilka o paleniu tytoniu. Nie ulega wątpliwości, że umiarkowane palenie tytoniu przez wiele osób zno-

¹⁾ Russel Reynolds: „Epilepsie, ihre Symptome, Behandlung,“ tłum. niemieckie Beigel'a. Erlangen 1865.

szoném bywa bez wyraźnej szkody dla organizmu; szkodliwém więc jest tylko nadużywanie tytoniu, szczególniej palenie zbyt mocnych gatunków i na czczo. Nieregularne (arytmiczne) bicie serca, podniesienie wrażliwości psychicznej i hypochondryczny nastrój umysłu, oto skutki nadużywania tytoniu.

Picie mocnej kawy i herbaty szkodliwém jest szczególniej dla osób nerwowych cierpiących na bezsenność i palpitacye serca.

Szczególniej zasługuje na uwagę wielokrotnie spostrzegany fakt, że po niektórych chorobach przebiegających z wysoką gorączką i w skutek tego utratą wagi ciała, gdy już miną objawy gorączkowe, rozwijają się często zбочenia umysłowe; a należą tutaj szczególniej tyfus, ostry reumatyzm stawów (Griesinger) i zimnica. Obłęd ten jednakże szybko przemija przy leczeniu wzmacniającém i uspokajającém.

Niedostateczne odżywianie podkopujące równowagę spraw fizjologicznych i wywołujące niedokrwiłość mózgu, często występuje jako przyczyna zбочeń umysłowych. Znany jest wszystkim wpływ odżywiania na prawidłowość czynności umysłowych, dla tego dalej nad tym punktem rozszerzać się nie będziemy.

Wydatną rolę w powstawaniu chorób umysłowych i nerwowych przypisać należy otruciu wyskokowemu czyli alkoholizmowi. Wiadomo, że pijacy podpadają jednej z najczęstszych chorób umysłowych: jest nią obłęd pijacki (delirium tremens vel cum tremore). Głównymi cechami tego umysłowego zбочenia są obłęd, drżenie (tremor), oraz hallucynacye i uporczywa bezsenność. Według prof. Westphal'a, von Krafft-Ebing'a i Schülego nadużycie wyskoku jest jedną z najczęstszych przyczyn melancholii, szaleństwa (mania potatorum) i padaczki. Nadto alkoholizm rodziców jest ważną przyczyną epilepsji wrodzonej (epilepsia congenita). Osoby odznaczające się konstytucją nerwową oraz dziedziczném usposobieniem są nadzwyczaj wrażliwe na działanie wyskoku; u nich już małe jego dawki wywołują gwałtowne podrażnienie korowej substancji mózgu w połączeniu z silną kongestją, tworząc obraz krótkotrwałego szaleństwa ¹⁾.

Ale zgubny wpływ wyskoku nie ogranicza się tylko do jednostki, która go nadużywa... karę okropną ponosi i potomstwo pijaka, przechodzące na świat ze skłonnością do chorób nerwowych i umysłowych ²⁾. Potomstwo pijaka rzadko kiedy odznacza się normalném rozwinięciem systemu nerwowego: jest ono zwyrodnioném umysłowo i moralnie. Nadto cechuje się niepomahowanym pędem do napojów wyskokowych i ginie przedwcześnie nagłą śmiercią lub nędzne życie kończy samobójstwem. Historia wspomina nam, że Dyogenes widząc dziecko tępe i ograniczone umysłowo, jedném słowem idyotyczne, miał powiedzieć, biędne dziecię, ojciec twój niezawodnie musiał być pija-

1) Dr. Adolf Rothe: „Psychopathologia forensis.“ Kraków 1879.

2) A. Baer: „Der Alkoholismus.“ Berlin 1878.

kiem, kiedy cię spłodził. Prawodawstwo Likurga zaś protegowało pijaństwo między narodami wziętymi do niewoli, podbitymi, dla przygnębienia w nich uczucia swobody i tém łatwiejszego nad nimi zapanowania ¹⁾. Ciekawym również niesłychanie jest fakt, iż potomstwo spłodzone nawet w chwili jednorazowego podchmienia odznacza się skłonnością do chorób umysłowych. O ile sam obserwować mogłem dzieci pijaków są nadzwyczaj nerwowe, cierpią przy najmniejszej przyczynie na konwulsje, śpiąją mało; w szkołach zaś rekrutują się z nich najtępsi uczniowie ze skłonnością do kradzieży i w ogóle odznaczają się przestępnymi skłonnościami.

Słusznie więc i prof. Mierzejewski w cytowanym wykładzie położył nacisk na alkoholizm, jako jedną z najważniejszych przyczyn szerzenia się chorób nerwowych i umysłowych. Ilość obłąkanych powstałych w skutek nadużywania napojów wysokokowych wynosi $\frac{1}{6}$ — $\frac{1}{3}$ wszystkich obłąkanych pomieszczonych w zakładach. Widzimy jak cyfra ta jest znaczną.

Z chorób innych narządów, to wady serca z powodu jego szczególnego stosunku do układu nerwowego i z powodu naruszenia krążenia krwi w mózgu, mogą stać się przyczyną choroby umysłowej. Przewlekłe procesy zapalne w nerkach oznaczane mianem „choroby Brighta“ powodując ogólną puchlinę, mogą wywołać obrzęk mózgowy (oedema cerebri) będący przyczyną obłąkania.

Choroby żołądka i kiszek bardzo często połączone są z objawami nerwowymi (bicie serca, bezsenność, bóle i zawroty głowy); naruszając odżywianie całego organizmu, a więc i mózgu, cierpienia przewodu pokarmowego mogą stać się przyczyną zbroczeń umysłowych. Według spostrzeżeń znakomitego psychiatry prof. v. Krafft-Ebing'a choroby żołądka i kiszek mogą prowadzić do rzeczywistego obłąkania noszącego charakter melancholii z hypochondrycznym kolorytem ²⁾.

Musimy zauważyć, że osoby żyjące w bezżeństwie daleko częściej podpadają zbroczeniom nerwowym i umysłowym, aniżeli mężczyźni żonaci i kobiety zamężne; łatwo to objaśnić większą regularnością i w ogóle higienicznością życia u osób familijnych. Ale małżeństwo-by wywierato korzystny wpływ pod względem higienicznym na obie strony, musi odpowiadać wzajemnej skłonności; małżeństwo nieodpowiednie wiekiem i skłonnościami jest zubożczem dla stron obu pod względem fizycznym i moralnym. Na nieszczęście dzisiejsze małżeństwa zawierane po większej części tylko dla interesu, uważane jako środek używania bez pracy, są źródłem dla kobiet histeryi i licznych dolegliwości nerwowych.

Co do symptomów nerwowości, to możemy być pod tym wzglę-

¹⁾ Dr. A. Rothe: „Otrucie wysokokowo czyli alkoholizm.” Str. 22.

²⁾ Von Krafft-Ebing: „Lehrbuch der Psychiatrie.“ Stuttgart. 1879. Tom I, str. 175.

dem krótcy, gdyż zna je prawie każdy. W ogóle możemy podzielić je nadwie grupy: 1) objawy świadczące o drażliwej stałości mózgu (ból i zawroty głowy, uczucie ucisku na mózg, niemożność dłuższej umysłowej pracy, kongestye do głowy, bezsenność) (neurasthenia cerebralis) i objawy dowodzące rozdrażnienia i osłabienia młéczca pacierzowego (neurasthenia spinalis): bóle w krzyżu i w kończynach górnych i dolnych, osłabienie tychże, drgania mięśni, bicie serca, mrowienie, osłabienie siły płciowej, nocne znozy i t. d. W ogóle symptomy neurasthenii zmieniają się co chwila i ma to wielką wartość rozpoznawczą; symptomy choroby nerwowej mającej anatomiczne podstawy są po większej części trwałe i potęgują się z czasem, gdy symptomy neurasthenii ustępują miejsca jedne drugim i znikają przy zmianie trybu życia, w podróży, przy rozrywce. Wiele osób nerwowych cierpiących na uporczywą bezsenność w domu śpi doskonale w hotelu lub w podróży koleją żelazną. Najuporczywsze newralgije nie ustępujące leczeniu elektryczną ością, morfinie i t. d. znikają bez śladu w teatrze, miłem towarzystwie i t. d. Jakkolwiek neurasthenia może odebrać chęć do życia, podkopać najpłodniejszą działalność, rzadko jednak kiedy prowadzi do poważniejszych zbroceń nerwowych i zwykle po kilku latach przechodzi okazując wszelako skłonność do recydyw.

Czytając w gazetach bardzo częste doniesienia o wypadkach obłąkania, znajdujemy zwykle, że ten lub ów nagle uległ pomieszaniu zmysłów; choroby umysłowe zwykle jednak rozwijają się stopniowo i mają przebieg w wysokim stopniu przewlekły. Prawie zawsze możemy obserwować objawy zwiastunne, na które niestety nikt nie zwraca uwagi, bo subtelne różnice między zdrowiem a chorobą uchodzą uwagi ogółu.. Nie ma w ogóle drugiego społeczeństwa, któreby tak mało dbało o własne zdrowie i takie przewrotne okazywało pojęcia higieniczne jak nasze. Każdy przeciętnie ukształcony człowiek wie o kierunku tego lub owego beletrystycznego pisarza, ale nie posiada wiadomości dostarczających cenne wskazówki w codziennym życiu. Prasa nasza poświęca dużo miejsca rozbirowi najdrobniejszego utworu literatury pięknej, ale rzadko kiedy zdobędzie się na gruntowny rozbiór jakiegóś kwestyi sanitarno-społecznej, mogący przynieść rzetelną korzyść społeczeństwu.

Tak więc powtarzamy, jakkolwiek choroby umysłowe okazują zwykle objawy zwiastunne, to dopiero gdy chory zacznie bredzić, albo dostanie napadu furji lub szaleństwa, to jest gdy przyszła chwila odziania go do zakładu, wszyscy twierdzą, że nagle dostał obłądu.

Powiedzmy tedy chociażby słów kilka o tych objawach zwiastunnych, gdyż sądzę iż to jest wielkiéj wagi dla ogółu i wiadomości w tym kierunku w danéj chwili nadzwyczaj korzystnie zużytkowane być mogą.

Szczególniej baczną należy zwrócić uwagę na zuaki poczynające się rozstroju nerwowego, te bowiem najczęściej zwiastują chorobę umysłową. Skłonność do mózgowych kongestyj, uporczywe wszelkie-

mu leczeniu opierające się bóle głowy, newralgije, wysoki stopień rozdrażnienia psychicznego, zwięzenie lub nierówność źrenic, zezowanie, bezsenność, są objawami po większej części alarmującymi. Szczególniej każda dłużej trwająca bezsenność i napady kurczów padaczkowatych, winny wzbudzić w nas poważne obawy i zwrócić uwagę, że rozwijająca się choroba systemu nerwowego może być obłąkaniem. Także porażenia nerwów mózgowych, jak: nerwu twarzewego, okoruchowego, rozocznego, są poważnym bardzo symptomem zmuszającym do ostrożności w rozpoznawaniu i rokowaniu.

Co do sfery umysłowej, to pierwsze znaki alarmujące obserwujemy zwykle w sferze uczuciowości. Chory bez żadnych przyczyn staje się pogrążonym w sobie, ponurym i milczącym. Unika ludzi i wszelkiej z nimi rozmowy; zamyka się w swym pokoju, często czując zbliżające się nieszczęście. Noce zwykle przepędza bezsennie lub ma sen niespokojny, przerywany.

Oto są poważne objawy zmuszające do zasięgnięcia rady lekarza.

Ponieważ choroby umysłowe określiliśmy jako stany chorobowe pewnych okolic mózgowia, ciekawem więc jest poznać chociażby w ogólnych zarysach zmiany anatomo-patologiczne, towarzyszące chorobom umysłowym. Otóż znajdujemy zwykle przekrwienie lub niedokrewność mózgu, chroniczne zapalenie opony twardej lub miękkiej, stwardnienie (sclerosis) lub zanik mózgu a szczególnie szarą substancję, wylewy krwi włosowate w nią, chroniczne procesy zapalne i t. d.

Z przytoczonych powyżej szczegółowo przyczyn chorób nerwowych i umysłowych, możemy wyciągnąć sporą wiązanke wniosków i spożytkować je dla higieny. Ponieważ choroby te są w wysokim stopniu dziedzicznymi, tak iż tylko suchoty płucne rywalizować mogą z nimi pod tym względem, zawieranie więc związków małżeńskich z osobami pochodzącymi z rodzin, w których panują choroby nerwowe, umysłowe, pijaństwo lub niezwykła ekscentryczność usposobienia, lub co gorzej z osobą dotkniętą konstytucją nerwową, może narazić potomstwo na cierpienie nerwowe lub umysłowe. W każdym razie przy zawieraniu związków małżeńskich zdrowie stron obu powinno być przedmiotem bacniejszej uwagi jak dotąd, a głos domowego lekarza możliwie uwzględnianym. Płodzić chęrlaków nie jest wielką zasługą dla społeczeństwa. Wychowanie dzieci z dziedziczną skłonnością do chorób nerwowych i umysłowych, musi się rachować z główną zasadą, by unikać wszystkiego co mogłoby podrażnić ich system nerwowy. Przedewszystkiem, jeżeli matka swe nerwowe usposobienie udziela dziecku, to nie powinna karmić je sama, a sprawę karmienia powierzyć zdrowej, normalnie umysłowo rozwiniętej i inteligentnej mamce. Obfite i zdrowe pożywienie, a przytém systematycznie w pewnych odstępach czasu podawane, czyste i ciepłe powietrze, staranna kultura skóry przez kąpiele od temperatury 29° a następnie nieco chłodniejsze, dostateczny sen, oto główne prawidła higieny. Dzieciom zdra-

dzającym usposobienie nerwowe nie należy dawać napojów narkotycznych jak kawy, herbaty, a szczególnie alkoholu: obserwowałem wypadki, w których nerwowe dzieci już po małych dawkach wina dostawały konwulsyj. W ogóle pamiętać trzeba, iż napoje narkotyczne i spirytualia, jak z jednej strony źle bywają przez nerwowych w większości wypadków znoszone, tak z drugiej—zwiększają neuropatyczne usposobienie. Z nastąpieniem późniejszego dzieciństwa należy wystrzegać się troskliwie wszystkiego, coby mózg wrażliwego dziecięcia drażnić mogło; wszelkie nadmierne napięcie umysłowe czy fizyczne, nagłe przysiębiające wrażenie, zbyt surowa kara są tutaj bardzo szkodliwymi i wydać mogą jak najgubniejsze skutki. Pamiętając o słabości i małej odporności mózgu u takich dzieci, odradzimy rodzicom posyłanie ich do szkół, w których przeciążenie pracą umysłową mogłoby wywołać na jaw drzemiacą w organizmie skłonność. W ogóle właściwszym dla takich dzieci jest pobyt na wsi, obcowanie z naturą, aniżeli w dużym mieście, gdzie nie trudno o wpływy rozdrażniające. Przy wyborze zawodu, zawsze pamiętać należy, że ciężka praca umysłowa dla tego rodzaju indywidualności jest stanowczo szkodliwą; musimy również nastawać na to, by dzieci „obciążone dziedzicznie“ później zaczynano systematycznie uczyć: w każdym razie nigdy wcześniej jak przed skończonymi laty ośmiu. W razie małych zdolności umysłowych, nie pozwalających na wydotanie nauce gimnazjalnej, nie należy à tout prix przynaglać ich do nauki, gdyż tracą zdrowie i energią systemu nerwowego, a nie będą ludźmi prawdziwej wiedzy. Lepiej więc w takim razie oddać je do rzemiosła lub poświęcić mechanicznej pracy na świeżem powietrzu.

Sądziłbym również, iż korzystnym byłoby dla dzieci rodziców nerwowych, by nie wychowywały się w domu, gdyż przykład pełnych dziwactw i ekscentryczności rodziców, zawsze działa na młode umysły w pewnym stopniu zarażająco. Wychowanie ich najlepiej powierzyć wytrawnemu a spokojnego charakteru pedagogowi, umięjącemu uwzględnić wrażliwość takich dzieci. Również baczycy należy na zbyt wczesne rozwinięcie popędu płciowego u dzieci, który często w anormalny sposób zaspokajany bywa. Dr. P. Moebius słusznie zwraca uwagę na to, że dzieci z dziedziczną skłonnością do chorób nerwowych i umysłowych, odznaczają się również niepohamowanym popędem do samogwałtu i muszą w tym kierunku być troskliwie strzeżone, gdyż rozwinięty ten fatalny nałóg bardzo trudnym jest do wykorzenia ¹⁾.

Musimy na koniec zwrócić uwagę, że wszelkie straszanie takich dzieci jest wysoce nie na miejscu; wybryki tego rodzaju spowodować mogą wielką chorobę (epilepsyę), taniec św. Wita (chorea) i t. d. W czasie ząbkowania zapadają często na kurcze, które wszelkimi znanyymi środkami zwalczane być winny.

¹⁾ Dr. Paul Moebius: „Die Nervosität.“ Leipzig. 1885. Str. 161.

Jakkolwiek prawdziwa religijność niewątpliwie gra w wychowaniu młodego pokolenia nader ważną rolę, uważamy jednak za szkodliwe dla normalnego rozwoju młodocianego umysłu zbyt liczne pograżenie go w czczych formach religijnych, prowadzących do chorobliwego fanatyzmu i zatonięcia w otchłani mistycyzmu. Takie fałszywe pojęcie religii może doprowadzić do zaślepienia, znoszącego zupełnie równowagę w funkcjach umysłowych.

Oświadczamy się również z lekarskiego punktu widzenia rzeczy przeciwko małżeństwu zawieranym między blizkimi krewnymi; małżeństwa te są często zresztą nieplodne. Zważywszy że pijaństwo pomnaża liczbę chorób nerwowych i umysłowych, powoduje upadek moralny i ujemnie wpływa tak na dobrobyt pojedynczej jednostki, jak i całego kraju, zadaniem przeto inteligentnego społeczeństwa jest walczyć przeciwko niemu wszelkimi siłami. Oświatę i dobrobyt uważamy za największych wrogów pijaństwa; są to dwa radykalne środki, inne mają tylko łagodzące znaczenie. Nie będę dalej zastanawiał się nad tym punktem, gdyż przedmiot ten był już wielostronnie w różnych naukowych rozprawach i artykułach dziennikarskich rozpatrywany.

Mówiąc o pijaństwie jako etyologicznym czynnikiem chorób nerwowych i umysłowych podnieśliśmy ten ważny fakt, że potomstwo spłodzone w chwili jednorazowego nawet podchmielenia, nosić będzie na sobie cechę umysłowego zwyrodnienia; doprowadza to do postulatu, by wystrzegać się stosunku płciowego w stanie nietrzeźwym.

Ponieważ zaznaczyliśmy wyżej, że przeładunek uczniów pracą umysłową w szkole, wywołuje zjawiska podrażnienia mózgu, musimy więc koniecznie domagać się reformy nauczania z uwzględnieniem praw fizjologicznego rozwoju młodego organizmu.

Zapobieganie rozszerzaniu się chorób syfilitycznych jest ważnym środkiem profilaktycznym chorób nerwowych i umysłowych. Wszczepianie poczucia skromności, prawdziwa moralność i możność zapanowania nad zwierzęcymi chuciami, oto najskuteczniejsze środki powstrzymujące młodzież od przestawania z prostytutkami. Jeżeli mi ktoś powie, że młody człowiek nie czyniący zadość swemu popędowi płciowemu, będzie ulegał częstym zmazom nocnym (polucyom), to odpowiem mu słowami wiedeńskiego syfilidologa prof. Zeissl'a, które w wykładach często słuchaczom swym powtarzał: „lejsze jessche polucey, anizeli syphilis.”

Mający usposobienie do nerwowości powinien w późniejszym wieku wystrzegać się wszelkiego umysłowego czy fizycznego wysiłku; gdy już się stanie pastwą nerwowości, powinien rzucić na dłuższy przeciąg czasu zajęcia umysłowe w mieście i wynieść się na wieś. Nie znam skuteczniejszego środka zapobiegającego nerwowości jak spokój sen, wiejskie ustronie, dostateczny ruch na świeżym powietrzu, długi sen, pożywne pożywienie, w lecie kąpiele rzeczne lub umiarkowana i rozsądnie a nie szablonowo przeprowadzona hydroterapia w połączeniu z gimnastyką. Nerwowy winien wystrzegać się niskich temperatur,

wszelkich procedur hydropatycznych; nie powinien brać zimniejszych kąpeli nad 19°, 18°. W razie wielkiego rozdrażnienia radziłbym tylko kąpiele o temperaturze umiarkowanej 25°, 24° bez nacierania w kąpeli i oblewania krzyża; po uspokojeniu się dopiero można przejść do połowicznych kąpeli o niższej temperaturze. Wszelkie drażniące manipulacje zbyt mocne nacieranie w kąpeli, tusze, prysznic są dla nerwowych zabójcze. Przy bólach nerwowych, bezsenności i t. d. nieocenne usługi oddają zawijania w koce wełniane z następnymi połowicznymi kąpielami temperatury 23°, 22°. Tylko musimy zwrócić uwagę na jedną ważną okoliczność: by hydroterapia rzeczywiście przyniosła korzyść, musi być praktykowaną długo i wytrwale, inaczej owocem jej będzie tylko rozdrażnienie, a nie uspokojenie i wzmocnienie organizmu. U nas kuracja wodna kosztuje zbyt drogo a przeto dostępną jest tylko ludziom zamożnym.

Drugim potężnym środkiem w leczeniu nerwowości jest elektryczność w postaci prądu galwanicznego lub indukcyjnego (przerywanego); przy nerwobólach używamy zwykle prądu galwanicznego, który też nieraz znakomite nam oddaje usługi. Przy nerwowem rozdrażnieniu (neurasthenii) z korzyścią zastosowaną być może „faradyzacja ogólna” według Beard'a i Rockwell'a. W ostatnich czasach wchodzi w użycie jeszcze trzecia forma stosowania elektryczności a mianowicie kąpiele elektryczne.

Nie mniej skutecznym jest dla nerwowych klimat górski i to szczególnie dla osób odrętwiałych (torpidnych); piszący te słowa cierpiał lat parę na uporczywą formę mózgowej neurastenii, na którą dopiero pobyt w Alpach okazał się zbawiennym. Działanie klimatu górskiego jest wzmacniające, pobudzające przemianę materii; odżywianie organizmu przez to się wzmacnia a wzmacniają nerwy. Pobyt kilkumiesięczny w górach często cudów dokazuje, nie rzadko wprawdzie objawy nerwowe pojawiają się po powrocie do domu, ale też cierpiący włada większą siłą do ich pokonania. Trzeba tylko wybierać okolice położone przynajmniej na 2000 stóp nad poziomem morza; średnio górzyste okolice nie przynoszą wyraźnych korzyści. Niektórzy lekarze jak dr. Ludwig, prof. M. Rosenthal w Wiedniu, przypisują pomyślne działanie powietrza górskiego jedynie zmianie klimatu, całego otoczenia i stosunków, ponieważ lecznicze działanie najsilniej występuje w początku a także chorzy nerwowi mieszkający stale w górach doznają polepszenia na płaszczynach. W zimie zaś korzystnym jest pobyt na południu w południowej Francji, we Włoszech, gdzie przez cały dzień używać można ruchu na świeżem powietrzu i kąpać się w słońcu.

Również pewną sławą w leczeniu nerwowości cieszą się kąpiele morskie, niektórzy lekarze przypisują korzystne działanie nie tyle samym kąpielom, ile powietrzu morskemu. Absolutna czystość tego powietrza, nasycenie solą i wilgotność, wywierają lekko pobudzające działanie na organizm, w skutek czego apetyt się wzmacnia, siły rosną a nerwy tracą dawną wrażliwość. Nadmienię tylko, że używanie ką-

pieli morskich zostawać musi pod kontrolą lekarza; inaczej może bardzo zaszkodzić.

W ostatnich czasach dr. Schreiber i dr. Zabłudowski wprowadzili w użycie masaż (mięsień), działanie którego polega przeważnie na przyspieszeniu krążenia krwi a więc podniesieniu odżywiania. W wypadkach wysokiego osłabienia Weir Mitchell stosuje wzmocnione odżywianie przy leżeniu w łóżku, ogólną faradyzację i mięsienie. Szczególniej dr. Burkart w Bonn, który wypróbował metodę dra Mitchell'a na kilkunastu wypadkach ciężkiej neurastenii i hysterii, oddaje jej ogromne pochwały i zachęca do dalszych prób w tym kierunku.

Co do środków lekarskich aptecznych, to żaden nie oddaje nam trwałych usług w leczeniu nerwowości. Tyle zachwalane działanie preparatów bromu (bromek potasu i sodu, bromek amonu) nie we wszystkich przypadkach można zastosować, a ciężko rozdrażnione osoby często wcale go nie znoszą. U osób niedokrwistych żelazo działa znakomicie, a w lecie długi pobyt w Krynicy; czasem arsenik działa skutecznie. Z innych środków wymienić należy chinę, preparaty cynku i sporysz (ergotyne). Reasumując naszą higienę nerwów, powiemy, że usunięcie się od gwałtownych wrażeń, absolutny duchowy spokój, umiarkowanie i ciągła zmiana we wszystkiem, systematyczne życie, w cięższych przypadkach zmiana zwykłego trybu życia, długi pobyt w górach lub nad morzem, obok elektryczności, służącej do pokonania niektórych uciążliwych objawów, stanowią kardynalną podstawę wszelkiego racjonalnego leczniczego działania w chorobach nerwowych.

ALEKSANDER HR. PRZEZDZIECKI.

(Ur. 1814 † 1871 r.) *).

PRZEZ

Karola Łepkowskiego.

Tymczasem, zostawiwszy Przeddzieckiego w Karlsruhe, musimy jeszcze wrócić się do wypadków roku 1865 i następnych. Rok 1865 rozpoczął się znowu niepomyślnie dla Przeddzieckiego. W dniu 2 stycznia umarł mu wuj, Gustaw hr. Olizar (ur. 1797), także wychowaniec liceum krzemienieckiego, który jako 24-letni młodzieniec został już marszałkiem gubernii kijowskiej. G. Olizar, autor „Wspomnień“ (Wilno 1840), „Pielgrzymek“ (Atheneum 1840), „Myśli z niewydanych rękopismów“ i wielu innych rozpraw, miał w Kraszewskim przyjaciela i wielbiciela cnót swoich. Kraszewski, bolejąc nad stratą Olizara, pisał do redakcyi Czasu (Nekrolog, Czas 1865, nr. 9): „Słowa moje nie dają wyobrażenia o życiu człowieka, który należał niechybnie do najznakomitszych swojego czasu i kraju.“

W kilka miesięcy potem, bo dnia 27 kwietnia (1865) śmierć panny Heleny Tyzenhauzównej, siostry żony hr. Aleksandra, jest nowym ciosem, jaki ugodził w rodzinę Przeddzieckich. Wysoce utalentowana i wykształcona odziedziczyła panna Helena po ojcu swym, Konstantym, nie małe zdolności do nauk przyrodniczych. Ztąd też ulubioném jej zajęciem i specyalnością było malowanie różnych okazów grzybów, które z zapalem zbierała, tak, że blisko tysiąc wykończonych akwarel znalazło się po jej śmierci. Ale nie na tém koniec. Towarzystwo nestora przyrodników naszych, Wagi, nie wystarczało jej umysłowi; pragnęła bowiem nie tylko z uczonymi rozmawiać, ale stykać się z ludem, ilekroć sposobność do tego się nadarzyła. Skoro tylko przyjechała do

*) Dokończenie—patrz zeszyt za m. maj r. b.

Ojcowa, to lud wybiegał naprzeciw panny Heleny, nazywając ją matką swoją. Gust i smak do tego, co piękne, nie poślednią grał u niej rolę. Idąc za przykładem Przędzieckiego, którego zadaniem było popularyzowanie dzieł sztuki, wydała ś. p. Helena kompletny zbiór miedziorytów (N. Testament) najznakomitszych obrazów, przeważnie z galeryi Dreźnieńskiej pochodzących z tekstem przez siebie napisanym. Zbiór niebawem rozszedł się po kraju i za granicą, a dziś należy już do rzadkości antykwarskich. Nic tedy dziwnego, że w kobiecie tego rodzaju, tego wykształcenia i działalności, tracił ś. p. Aleksander gorliwą zwoleńniczkę idei podniesienia dzieł sztuki, idei, która im wspólnie przyświecała na drodze życia.

Ale wróćmy do Przędzieckiego.

Cały prawie rok 1865-ty upływa na mniej znaczących podróżach, na kuracyi Wiesbadeńskiej i na ciągłym zbieraniu materyałów do Jagiellonek, o których niżej mówić będziemy. Zostawiliśmy hr. Aleksandra w Karlsruhe zajętego rękopisem modlitwy do N. Panny Maryi. Już oddawna modlitwa ta nie była obcą Przędzieckiemu. Znał on ją doskonale, gdy przed kilku laty znalazł był w królewskiej bibliotece Monachijskiej manuskrypt, pierwotnie z Augsburga pochodzący z mnóstwem modlitw do Najśw. Panny. Obecnie jak sam powiada ¹⁾: „Chciał przynajmniej ów rękopis w Karlsruhe przejrzeć na miejscu i własnymi oczami oglądać strofy „Omni die die Mariae,“ pisane charakterem XIV-go wieku.“ Przypisywanie św. Kazimierzowi autorstwa tej pięknej pieśni, wobec rękopisów z Karlsruhe i Monachium wydało się uczonemu badaczowi nieprawdziwem. Wszakże pragnął hr. Aleksander objaśnić tę okoliczność, że choć święty młodzian pieśni tej sam nie ułożył, to zasługa jego polega na tém, że ją z zapomnienia wy dobył i z rękopisów XII stulecia ku czci N. Panny wybrał. W ten sposób powstała książka o „Modlitwach św. Kazimierza“ książka, o której autorze tymi słowy wyraża się ks. Koźmian ²⁾.

„Panu Przędzieckiemu należy się wielka wdzięczność za to, że podobnie, jak w tyle innych rzeczach równie i w tej, takiej pięknej gorliwości, takiej czynności wytrwałej ciągłej i niezbite składa dowody.

Są, co ubolewają nad tem, że się staje jakoby krzywda św. Kazimierzowi, co się kłopotą, że drogocenny klejnot ze skarbcza polskiego ubywa. Rozumiemy i wpewnej mierze podzielamy takie uczucie. Wszelako wydaje nam się, że zawsze i w każdej okoliczności powinniśmy starać się o to, aby prawda wychodziła na jaw. Ona zawsze coś zbawiennego ze sobą przyniesie.“ Szedł też drogą prawdy Przędziecki, bo rozumiał, że rzeczą historyka jest przedstawiać fakta takimi, jakimi były w przeszłości, jak je źródła i cenne zabytki malują. Ztąd też i w tym wypadku nie wahał się dociec prawdy, bo

¹⁾ Modlitwa św. Kazim. A. P. Krak. r. 1867.

²⁾ Przegląd poznański r. 1859 „Godzinki N. Panny.“

mniemał równie z Koźmianem, że: „święty młodzieniec nie straci na tém, że laur poetycki ze skroni jego spadnie. Wawrzyny ziemskie schną prędzej czy później, co zaś nie więdnie, to wieńce świętości, i bodaj ujrzymy, że skoro odsuniemy nabok kłopoty o te wszystkie zaszczyty autorskie, korona niebiańska królewicza, wykuta z najczystszej złota pokory i w dziewiczej białości perły wszystkich cnót cichych przyozdobiona, jeszcze promienniej zajaśnieje.“ To téż ufny w to Przeddziecki puścił w świat nowe dziełko swoje, a księżna Zofia z hr. Branickich Odescalchi, na audyencji Ojcu świętemu przedstawiła „Modlitwę św. Kazimierza“ w dwóch językach. Papież, otworzywszy książkę przeczytał tytuł, a zauważywszy, że w Krakowie drukowana, przypatrywał się z zadowoleniem obrazkowi z portretem tego świętego, polecając księżnie oświadczyć autorowi podziękowanie i że ofiarę jego z zadowoleniem przyjmuje.

Równocześnie prawie z wydawaniem Długosza, a nawet jeszcze i „Wzorów“ pracował Przeddziecki nad dziełem, które kiedyś miał zamiar ogłosić p. t. „Jagiellonki polskie.“ Materiały do tego dzieła zbierał już od bardzo dawnych czasów ¹⁾. Kiedy w r. 1855 zwiedzał Przeddziecki miasteczko Wolfenbüttel, położone pomiędzy Magdeburgiem a Brunszwikiem, zaciekawiony opowieścią uczonego archeologa Karola Bejera, postanowił szukać tam śladów Zofii Jagiellonki, której zwłoki w miejscowym spoczęły kościele. Poszukiwania te powiodły się znakomicie, zwłaszcza, że archiwum książęce w Wolfenbüttel pomogło rozwiązać zagadkę. Uczony nasz badacz, dostawszy się do archiwum szukał tak długo i tak uporczywie, aż wreszcie za pomocą udzielonego sobie przez pana Hettlinga spisu papierów dostał się do „dwóch plik korespondencji księżnej Zofii z bratem Zygmuntem Augustem, królem polskim, z siostrami Anną i Katarzyną i i. w języku polskim pisanych.“ Zaraz téż z początkiem roku 1856 zajął się Przeddziecki przepisywaniem listów, której to roboty podjął się ówczesny student uniwersytetu berlińskiego, słuchacz Leopolda Ranke'go, Kazimierz Krasicki. Ale nie na tem skończono pracę w Wolfenbüttel. Potrzebném jeszcze było odszukanie korespondencji Jadwigi Jagiellonki, margrabiny brandenburskiej, córki Zygmunta I i Barbary Zapolskiej. Śledził za tymi listami hr. Aleksander, szukając wskazówek w archiwum Wolfenbüttelskiem, ale napróżno, aż uzyskawszy szczególne pozwolenie znalazł dópiéro w Berlinie w archiwum królewskiem część z téj szukanej korespondencji Zofii Jagiellonki. Nie mało szczegółów znalazło się także w listach „własnoręcznych Zygmunta Augusta,“ w bibliotece Raczyńskich w Poznaniu. Dokumenta z archiwum książąt Ostrogskich w Dubnie wiele przyczyniły wiadomości do historii Halszki i jej matki Beaty Koscielskiej — słowem w lat kilka stanęło dzieło gotowe i w ten sposób powstał tom I-szy Jagiellonek, który nosi tytuł: „Obrazy rodziny i dworu Zygmunta I i Zygmunta Augusta, królów polskich.“

¹⁾ Wstęp do I tomu „Jagiellonek,“ A. 6.

Rzecz ta piękna—pisał Szujski, poznawszy gotowy do druku rękopis— („Czas“ r. 1867 „Wiad. o Jagiel.“) rzecz nowa, podająca tyle cennych i żywych szczegółów do najświetniejszej dziejów naszych epoki, miałyby zamknąć się w kole nielicznych uczonych i nie być pożądaną i rozchwyconą przez ogół? Obraz życia i losów naszych Jagiellonów, miałyby należeć do rzędu tych publikacji, które z poważnej półki bibliotecznej tylko od czasu do czasu ręka badacza porusza? Niemiałoby pomiędzy temi świadectwami myśli i uczuć ubiegłych stuleci, a dzisiejszym pokoleniem żaden istnieć związek; nie obudzą one żadnego serdecznego zajęcia? Nie chcemy tak niekorzystnie sądzić o naszej publiczności: owszem przypuszczamy, że książka ta bardziej może, niż którykolwiek inny zbiór materyałów i monografii przyczyni się do zwycięstwa poważnej i pożytecznej lektury, nad przypadkową.“ Acz autor (jak to sam we wstępie do I-go tomu) powiada, nie rościł sobie żadnego prawa do tytułu historyi, to przecież nikt dotąd nie zdjął, ani prawdopodobnie nie zdejmie owęj szaty historycznej, którą Jagiellonki polskie zawsze przyobleczone zostaną. Słusznie też zauważył Szujski, w dalszym ciągu swych „wiadomości o podanych dopiero do druku Jagiellonkach:“ że dzieło hr. Aleksandra, obok zajmujących opracowań, mieści obszernie serye korespondencji, odstawiających nam, aż do szczegółów i zajmujących drobiazgowo, życie rodzinne Jagiellonów i Jagiellonów, historyą ich serc i usposobień, obok wypadków najważniejszych, jakie na losy dynastyi i narodu podziały.“ Ciągle tu jednak mowa o pierwszym tomie, który jeszcze nie opuścił był prasy. W tym samym jednak czasie, dwa dalsze także już były gotowe. Jeszcze w r. 1866 w listopadzie pojechał Przeddziecki do Lwowa, zatrzymawszy się poprzednio w Łańcucie, gdzie, dzięki gościnnęj uprzejmości pani Alfredowej Potockiej, w utworzonym archiwum znalazł prócz mnóstwa pergaminów z XIV, XV i XVI-go wieku, ważny dokument do historyi Jagiellonów, a mianowicie akt urzędowy, tyczący się pewnej awantury Dymitra Sanguszki z księżniczką Połubińską, przed awanturą z Ostrogską.

Od tego czasu prawie bez przerwy pracował już Przeddziecki nad Jagiellonkami, zadowolony, że, z powodu choréj nogi, zmuszony do siedzenia w domu z korzyścią dla dzieła swego, które widocznie wzrastało. We Lwowie przejrzał archiwum bernardyńskie, w którym za staraniem rządu austriackiego złożone zostały akta ziemskie i grodzkie królestwa Galicyi. Po półwiekowej niemal pracy, księgi te zebrano w osobne wolumina, ułożono inwentarze chronologiczne i alfabetyczne, tak, że w przeciągu kilku godzin zdołał Przeddziecki zebrać wszystkie dokumenta, dotyczące pewnego okresu z XVI wieku, a rozproszone w kilku księgach.

Na czwartym posiedzeniu kongresu archeologicznego w Antwerpii, o którym niżej, zdawał Przeddziecki sprawę z tych swoich czynności i poszukiwań lwowskich. Wreszcie w maju 1867 r. rzecz całą ukończył i rękopis, obejmujący przeszło trzy tomy, do druku przygotował.

Nie nam wdawać się w ocenę tak uczonego dzieła—powołaliśmy się na zdanie Szujskiego, wyrzeczone wówczas, kiedy ono było jeszcze w kolebce. Że zwróciło na siebie uwagę wszystkich czynnie lub biernie zajmujących się dziejami narodu naszego o tém przekonać się można ze słów ś. p. hr. Aleksandra pisanych do Krakowa z Paryża r. 1869.: „Donoszę także, że na roczném posiedzeniu tutejszego towarzystwa historycznego, miało przyznać nagrodę za najlepsze dzieło historyczne w tych czasach napisane. Postanowiono, że ponieważ autor Jagiellonek, sam w przedmowie powiada, że dzieło to nie rości sobie żadnego prawa do tytułu historyi, a więc (tu pochwały Jagiellonkom), nagrodę za dzieło ściśle historyczne przyznają (1800 fr.) „Historyi panowania Stanisława Augusta,“ napisanej przez Kalinkę.

Nie poprzestawszy na tém, co się już w sprawie Jagiellonek zrobiło w tym czasie, porobił hr. Aleksander nowe odkrycia, przyczyniające wiele materyałów do tomów dalszych. Udało mu się przy tej sposobności znaleźć przypadkowo w zbiorze aktów do historyi polskiej w Paryżu żółtką ćwiartkę papieru, w której poznał oryginalny, własnoręczny list niemiecki M. Lutra, pisany z Augsburga do żony w r. 1850. List ten jest obecnie własnością zbiorów ks. Czartoryskich. Pomimo tego, że (jak się Szujski wyraża ¹⁾) niczém było dla autora przedsiębrać dalekie i kosztowne podróże, a goniąc za Jagiellonkami, pytać się o Austryjaczki we Wiedniu, o Zofią Brunswicką w Wolfenbüttel, o Dymitra w Nimburgu, pomimo tego, wydawca uważał dzieło to za jedyne, które się pieniądze opłaciło. Dopóki żył hr. Aleksander, Jagiellonki rozchodziły się po świecie, zaciekawiając czytających, później, gdy ze śmiercią autora wydanie V-go tomu na kilka lat odwleczonem zostało, zapał pierwotny coraz to bardziej gasnął i gasnął, jako zwykle spotyka dzieła, których dalsze tomy po zbyt długich przerwach wychodzą.

Kiedy w pierwszych tygodniach roku 1866-go, komitet zajmujący się organizacją kongresu archeologicznego międzynarodowego w Antwerpii, zwołał wszystkich reprezentantów Towarzystw uczonych i redaktorów pism znaczniejszych do współudziału, „Biblioteka Warszawska“ odebrawszy tego rodzaju zaproszenie, wybrała dwóch delegatów z grona swojego w osobach: Edwarda barona Rastawieckiego i Aleksandra hr. Przezdzieckiego, którzy mieli reprezentować Redakcyę w Antwerpii. Tymczasem, skutkiem różnych przyczyn, przedewszystkiém politycznych, kongres odłożono na rok następujący (1867). Trafiło to właśnie na czas choroby Rastawieckiego. Tak więc niefortunne okoliczności pozwoliły jedynie Przezdzieckiemu być uczestnikiem zjazdu ²⁾. Było to w czasie, kiedy Przezdziecki trzy tomy Jagiellonek przygotował był do druku i nad następującymi pracować począł. To też, jak gdyby nagradzając sobie za trudy i prace wszelakie, odbywa wycieczkę do Antwerpii i bierze udział w wyż wymienionym

¹⁾ Wstęp do V tomu „Jagiellonek.“

²⁾ Bibl. Warsz. r. 1867, t. IV

kongresie. Uroczyste otwarcie nastąpiło dnia 25-go sierpnia. Zebrało się do 150 ciu członków ze wszystkich prawie krajów Europy. Było tam dwóch reprezentantów ze stanów zjednoczonych i z Brazylii. Niektóre rządy przysłały urzędowych delegatów, tylko z Austrii nie było nikogo, a z Polaków jeden Przeddziecki. Naturalnie Belgijczy cy stanowili niemal połowę zgromadzenia, zwłaszcza, że akademia archeologiczna w Antwerpii była promotorką tego kongresu. Po nich najwięcej było francuzów, następnie zaś Anglików i Holendrów. Sprawami kongresu kierował komitet centralny, wyznaczony przez akademią belgijską, do którego wstąpili także delegaci rządowi. Komitet ten mianował także prezesów do odpowiednich posiedzeń. Dnia 29 sierpnia został Przeddziecki wybranym wice-prezesem VIII-mego posiedzenia wraz z Anglikiem Pollen i prezesem de Linas, francuzem.

Przeddziecki przedstawił napisy runiczne na kamieniach, znalezionych we wsi Mikorzynie w Poznańskim, przemawiał w sprawie wykopalisk polskich, podał wiadomość o zbiorach ówczesnego Towarzystwa naukowego krakowskiego, jak również o odkryciach jeziorowych w Czeszewie, wsi Karola Libelta w W. Ks. Poznańskim. Wiadomości te nie tylko obudziły dyskusyą, ale nadto przyjęte zostały głośnymi oklaskami. W Antwerpii zamianowano Przeddzieckiego członkiem towarzystwa archeologicznego francuzkiego, którego prezesem był p. de Caumont, pierwszy archeolog we Francyi i wydawca dzieła „du Bulletin monumental sur les monuments historiques de France.“ Zachęcony powodzeniem, jakiego doznał w Antwerpii, zaraz po zamknięciu kongresu dnia 1-go września wyjeżdża do Paryża, gdzie bierze udział w pracach na posiedzeniach towarzystwa archeologicznego francuzkiego, zaszczytnie zawsze odznaczany.

Podczas pobytu swego w Poznaniu, poznawszy się z Libeltem, bierze udział w pracach Towarzystwa przyjaciół nauk Poznańskiego w r. 1867, zkąd później, jako członek Towarzystwa archeologicznego, wybiera się na kongres delegowany francuzkich Towarzystw uczonech, gdzie również prezydenturą go zaszczycono i na kongres naukowy francuzki do Chartres zaproszono.

Charakter Przeddzieckiego odznaczał się zapalem i pewną stanowczą energią w rozstrzyganiu kwestyi naukowych, energia, która sprawiała, że raz powzięty zamiar zaraz, natychmiast wykonany być musiał. I tak np. wpada mu na myśl wycieczka do Mindelheim. „Czy przypominasz pan sobie — pisze — to miasteczko na Szwabach, w którym ma się znajdować nagrobek córki Kazimierza Wielkiego. Pisałem do proboszcza miejscowego i na odebraną od niego wiadomość o istnieniu tego pomnika, który ma być bardzo piękny, o tradycjach i pobożności księżnej Anny — zamyślam być tam jutro, wszystko na miejscu obejrzeć i fotografie obstałować. ...Za parę dni tedy odjeżdżam do Augsburga, zkąd w dalszą puszczam się drogę... do Mindelheim.“ I rzeczywiście w kilka dni po wystaniu tego listu jest już Przeddziecki na miejscu. W archiwum miejskim

znajduje dokument ze wspomnieniami o księżnie Annie, królowie polskiej, każe fotografować jej pomnik i pisze artykuł, który wkrótce ukazuje się w szpaltach Tygodnika Ilustrowanego wraz z widokiem zamku i miasta Mindelheim (Ser. II, t. III, nr. 66). Zajęty tą sprawą przygotowuje się równocześnie do sprawozdania o budowlach pałowych Czeszewskich i o kamieniach Mikorzyńskich, które miał kongresowi w Bonn przedstawić. Dnia 14 września został bowiem uroczystie otwarty kongres w Bonn pod prezydencją Nöggeratha, osiemdziesięcioletniego dyrektora górnictwa ¹⁾.

Przeddziecki występował tu jako delegat Towarz. nauk. krak. i był jedynym polakiem pośród nie małej liczby belgów, francuzów, szwajcarów i anglików. W obec uczonych archeologów, jak pan de Caumont, prezes Towarz. arch. franc., jak von Quast, konserwator pomników w państwie Pruskiem, wobec wielu innych cudzoziemców na kongresie zgromadzonych, wystąpił Przeddziecki z wykładem, o którym sam później pisał te słowa: „Powróciłem (list 20-go września 1868 r.) z bardzo ciekawej tygodniowej wyprawy do Lubeki. Sprawa wykładu mojego o budowlach pałowych Czeszewskich obudziła w członkach kongresu w Bonn żywą dyskusję. Drugi wykład miałem o Światowidzie i kamieniach Mikorzyńskich.“ Wykład był poparty przedstawieniem dwóch bałwanów kamiennych z własnego zbioru (dziś w gabinecie). Przeddziecki mówił z zapałem i pozyskał przychylnie bardzo przyjęcie. Ponieważ jednak wspomnienie o posążkach i bałwanach ruinicznych Nowostrelieckich wywołało odpowiedź pana von Quast, odmawiającego tym pomnikom wszelkiej autentyczności, postanowił Przeddziecki dla dokładniejszego zbadania całej rzeczy na miejscu, udać się do Neu-Strelitz, gdzie bożki Prylwickie przechowane są w bibliotece wielkiego księcia Meklemburskiego na Strzelicach. Uczyniwszy to w dniach od 24—26 września powrócił do Paryża, zkąd sprawozdanie ze swych czynności kongresowych, jak i ze zwiedzenia starożytności strzelickich krak. Towarz. naukowemu natychmiast przesłał. „Uroczyste zamknięcie kongresu archeologicznego w Bonn nastąpiło 21 września, po jednomyślném przyjęciu wniosku, aby w ciągu roku 1869 trzeci kongres archeologiczny zebrał się w Bazylei, w Szwajcaryi.”

„Co do rezultatów ściśle naukowych—mówi Przeddziecki w swém sprawozdaniu — to takowych nie więcej zostawił po sobie kongres w Bonn, niż poprzedni kongres w Antwerpii; różne kwestye były dyskutowane—mało która rozwiązana stanowczo.”

Zaledwo Przeddziecki powrócił do kraju, gdy nowe wiadomości o nowo odkrytych runach, oraz innych zabytkach archeologicznych poruszyły umysły badaczy starożytności.

Odkrycie kamieni mikorzyńskich w r. 1868-ym poruszyło jeszcze

¹⁾ Sprawozdanie z kongr. arch. w Bonn. XXXVII tom Roczn. Tow. Nauk. przez A. Przeddzieckiego.

w końcu zeszłego wieku zagajoną przez Jana hr. Potockiego sprawę runów sławiańskich na bożkach prylickich, a następnie wznowioną przez Kucharskiego, odczytującego napisy na hełmach styryjskich. Polemika ta ma już swoją osobną literaturę. Przedmiot jakby stworzony dla Przeddzieckiego. To też najwłaściwszém było, że oddział archeologii w byłym towarzystwie naukowém jemu w r. 1869 oddał przewodnictwo komisji, która (jak dziś innikowska), miała ten przedmiot sporny załatwić. Wypłynęło z tych badań studyum, które w tymże roku czytał Przeddziecki o bożkach prylickich na posiedzeniu towarzystwa naukowego krakowskiego. Badanie poruczone wówczas Przeddzieckiemu było, obok studyum odnoszącego się do „Grobu Bolesława Wstydliwego” ostatnią jego pracą. Sprawozdanie komisji runograficznej, chociaż odczytane na posiedzeniu towarzystwa naukowego 13 stycznia 1870 r., wyszło dopiéro w 2 lata później, już po śmierci autora w 43 roczniku tej instytucji. Ukazało się też i w osobném odbiciu pod tytułem: „O kamieniach unkorzyńskich.” Ktoby chciał dalej prowadzić rzecz o runografii u nas, od tej rozprawy Przeddzieckiego pracę swoją zacząć powinien.

Z początkiem roku 1869 w marcu odbył Przeddziecki wycieczkę do Pragi, gdzie poznał Zapa, Wocla, Palackiego, kanonika Sztulza i inne czeskie znakomitości. Zap nawet oprowadzał go po katedrze. Po tej wycieczce do Pragi zatrzymał się Przeddziecki w Warszawie, gdzie kończył rozprawę o „Jeziorze Lednickiem”¹⁾.

Dopiero odnalezienie zwłok Kazimierza Wielkiego (1869), a równocześnie brak formalności paszportowych, uniemożliwiający wyjazd, niepokoi go bardzo. „Gdybym jednak był pewnym—pisze wówczas do Krakowa—że mogę zobaczyć zwłoki królewskie i insygnia, tobym wszelkie trudności przewyciężył i na ten dzień i godzinę do Krakowa przyjechał. Sprawa tak ważna jak przeniesienie zwłok Kazimierza nie pozwala mi przecież pozostać w Warszawie.” Więc niespokojny o to, co się w Krakowie dzieje, im bardziej myśli nad uczczeniem zwłok króla prawodawcy, przechodzi do przekonania, że insygnia i sprzęty w trumnie znalezione nie mogą służyć kościom... „W skarbcu jest dla nich miejsce.” To też po odebraniu listu z Krakowa z wiadomością o pogrzebie, pomimo trudności paszportowych prawie w 24-ry godziny staje na Wawelu przy zwłokach ukochanego króla. Zabawiwszy tutaj tak długo, aż się cała uroczystość nie skończyła, wyjeżdża Przeddziecki po pogrzebie Kazimierza Wielkiego na kongres archeologiczny w Kopeuhadze, dokąd znów jako delegat Towarzystwa naukowego krakowskiego wysłanym został. Na kongresie tym, otwartym we wrześniu w obecności króla duńskiego Chrystyana IX-tego i całej królewskiej rodziny, przemawiał Przeddziecki w języku francuzkim. Wykład obejmował ogólny obraz archeologiczny krajów od Odry za

¹⁾ Rzeczę tę samą wznowił niedawno prof. Sokołowski.

do Dźwiny, od Karpat do morza Bałtyckiego. Odczyt przyjęto z oklaskami i winszowano mówcy. Przy obiedzie dla członków kongresu urządzonym, wniósł Przeddziecki toast na cześć króla w języku polskim, porównyując gościnność naszą z tą, która tutaj się objawia.

Pobyt Przeddzieckiego w Szwecji przedłużył się, gdyż uczony nasz archeolog i historyk, szperał po bibliotekach, w muzeach, nawet w pałacu królewskim i szukał wszędzie materyatów archeologicznych. W Sztokholmie mnóstwo znalazł śladów i materyatów do następujących tomów Jagiellonek. Sam król oprowadzał go po zamku swoim. Przeddziecki, korzystając z uprzejmości i gościnności królewskiej, przeglądał swobodnie skarby nagromadzone w archiwum, gdzie znalazł całą plikę listów, pomiędzy którymi odznaczają się wartością historyczną przede wszystkim: prymasa Wawrzyńca Gembickiego, Jana Zamoyskiego, Żółkiewskiego, Lwa Sapiehy, Chodkiewicza. Niewątpliwie dłuższy czas jeszcze pozostałby w Szwecji, ale drukujące się „Jagiellonki” ciągnęły go do Krakowa. Zresztą, przyjmawszy kuratorstwo gabinetu archeologicznego w Krakowie, chciał być obecnym w chwili, gdy baron Rastawiecki tworzył tę instytucję przez złożenie w nią zbiorów swoich.

Ciekawą była także w tej chwili kwestya obsadzenia katedry historii polskiej w Uniwerstytecie Jagiellońskim. Pragnął na katedrze tej zobaczyć Józefa Szujskiego, którego za znakomitego historyka uważał i osobiście cenił, ztąd też w listach (r. 1869) swoich ze Szwecji jeszcze pisał: „Jeżeli moje zdanie co do obsadzenia katedry historii polskiej ma być wzięte na uwagę, to powiem, że chwala Bogu, nie potrzebujecie daleko szukać, mając u siebie Szujskiego.”

Pobyt Przeddzieckiego w Krakowie był stosunkowo dość krótkim, trwał bowiem zaledwie 2 miesiące. Spokojne siedzenie, ograniczone na krzątaniu się około Jagiellonek, trzeba było przerwać, gdy na rok 1870 mnóstwo było projektowanych podróży. Zaledwie cztery tomy wyszły, potrzeba o piątym pomyśleć, potrzeba szukać znowu materyatów rozrzuconych po całym świecie. Więc najprzód na Tryest udaje się do Bonn ¹⁾, gdzie w bibliotece znajduje 20 oryginalnych listów Zygmunta I-go do kardynałów i do papieża Leona X-go pisanych. W tym czasie pociągał go do siebie Rzym, bo miał nadzieję znalezienia tam większej liczby źródeł do V-go tomu Jagiellonek. A Rzym wówczas wydawał się świetniejszym jeszcze niż zwykle, gdy po kilku wiekowej przerwie, ostatni sobór ekumeniczny, od roku już w Watykanie się odbywał. Setki biskupów i arcybiskupów uwijało się po mieście, które z tego powodu świąteczny i uroczysty przybrało pozór. Wszystko to musiało interesować Przeddzieckiego, musiało w nim obudzić nieprze-

¹⁾ Wskazana przez sz. autora marszruta budzi w nas pewne wątpliwości; ale nie śmiemy pisać Przeddzieckiego do Bononii bez żadnego faktycznego dowodu.

zwyciężoną chęć zobaczenia Rzymu, pomimo że nadwątlone podróżami zdrowie nie dopisywało. Tymczasem zawieszenie soboru nastąpiło zbyt szybko, bo w październiku r. 1870; dlatego (?) Przeddziecki opóźnił wyjazd do pierwszych dni 1871-go r. Pojechał jednak (?) ciekawy i pełen nadziei dokładnego zużycia czasu dla ukochanych przez siebie „Jagiellonek.” Była to chwila, kiedy następca tronu włoskiego i żona jego zamieszkała w Kwirynale, kiedy największa część arystokracji rzymskiej, przez sympatią dla papieża, albo wyjechała z miasta, albo zamieszkała się w swoich pałacach, była to chwila, kiedy wśród oplakanego stanu dziennikarstwa rzymskiego, dwa tylko dzienniki: „Osservatore romano” i „Buon-Senso” wraz z kilkoma mniejszymi, śmiało utrzymywały stronę Ojca świętego—surowo krytykując postępowanie nowego rządu. Zajęty tą sprawą Przeddziecki zaraz w pierwszych dniach pobytu swego w Rzymie pisał do Krakowa (d. 15/2 1871 r.). „Używam tu prawdziwej wiosny wśród zielonych drzew zimowych, zielonej murawy i kwiatów, przy kilkunastu stopniach ciepła na słońcu. Od kilku dni karnewał szumi na Corso, ale masek i wesołości nie tyle co dawniej, pomimo wysiłen zagorzałych stronników *italianizmu*, aby wszystko w najświetniejszych barwach przedstawić księżnie następczyni tronu. Dla dobrze myślących straciła ona swój urok piękności i młodości od czasu, jak zajęta Kwirinal i pokazała się zagorzalcem z urzędu na balkonie, z którego ogłaszano dawniej ludowi imię obranego na conclave papieża. Bardzo mała cząstka arystokracji przedstawiła się królewskiej parze, tak, że porzucili zamiar dawania balów u siebie, gdyż nie mieliby kim zapełnić salonów kwirinalskich. W dzisiejszym numerze „dell’Osservatore romano” cała prawie arystokracja rodowa i część inteligencyjnej podpisała adres wierności dla papieża. Dzienniki, redagowane przez zagorzałców, codzień miotają obelgi na Piusa IX, kardynałów i jezuitów, wymyślając spiski watykańskie, dla wzmocnienia stronnictwa wolnomyślących w parlamencie włoskim, które bruzdzi przy wotowaniu prawa o porękach władzy papieskiej, a podtrzymywane jest przez ministerstwo, skutkiem układów dyplomatycznych z rządami obcymi.“

„Walka nieustanna pomiędzy najgorszymi namiętnościami a najświętszymi przekonaniem.. Smutne to, ale ciekawe chwile, w których waży się tyle różnorodnych interesów—dodaje w końcu.“ Pobyt w Rzymie, zapewne nie przedłużyłby się tak bardzo, gdyby nie choroba, która rozwijając się coraz gwałtowniej na dalszą podróż nie pozwałała. Radził się lekarzy, ale ci stanowczą i kategoryczną dawali odpowiedź: „Nie ruszać się dopóki złe całkowicie nie ustąpi!” Tymczasem niepodobna było wysiedzieć tak długo, tém więcej, gdy już wszystkie interesa w Rzymie załatwionymi zostały. Pomimo tedy odradzań i perswazyi lekarskich wyruszył na Wiedeń do Warszawy. Radby także zawitać do Krakowa, ale niestety uporczywa choroba do Karlsbadu, a potem do Teplitz go powołuje. Nie było rady! Piękne plany odłożył na później i poddał się woli doktorów. Do paździer-

nika znosi tedy cierpliwie przepisana kuracją, wzdychając za sposobnością pracy na polu naukowym.

Jeszcze w r. 1869 w Kopenhadze naznaczono przyszły kongres we Włoszech, w Bononii, na rok 1870-ty; lecz wojna francuzko-pruska pokrzyżowała sprawę, tak, że kongres dopiero z końcem następnego roku mógł przyjść do skutku. Był to już piąty z kolei kongres badaczów archeologii przedhistorycznej. Przeddziecki, ukończywszy swoją kuracją, mógł i w tym kongresie wziąć udział, jako delegat Towarzystwa naukowego krakowskiego, gdzie spotkał się także z J. I. Kraszewskim i Janem Zawiszą. Kongres w Bononii niezbyt miłe wywarł wrażenie na Przeddzieckim. „Rozprawiali jakby na popis o przedmiotach, z których nie można było wyciągnąć żadnych praktycznych wniosków” — użala się w swem sprawozdaniu ¹⁾). Szczególnie gniewała go rozprawa Karola Vogla o ludożerstwie. „Sławny Karol Vogl — mówił o nim uczony nasz badacz — zapuszczał się w paradoksalne twierdzenia, przechodzące nieraz granice nie tylko zdrowego rozsądku, ale i poszanowania winnego słuchaczom i samemu sobie... Bredniami zajmował ściśle wyrachowane chwile przeznaczonego na uczone dyskusje czasu.“ Przecież te ogólne ujemne wrażenia z naukowego kongresu ostadzała Przeddzieckiemu myśl, że sam godnie wypełnił swoje posłannictwo, ponieważ niektóre przedmioty przywiezione przez niego do Bononii i przez kilka dni wystawione w sali posiedzeń kongresu, nie miały sobie równych w bogatych zbiorach wystawy paleontograficznej. Pierwszy raz podziwiali je, jako prawdziwe unikaty tacy znawcy, jak: Worsaae, Virchow, Desor, Quartrefages i Mortillet. To też zaraz po mowie p. Jana Zawiszy, który zdawał sprawę z poszukiwań w pięciu jaskiniach w Ojcowie, zabrał głos Przeddziecki, dopełniając przemowę wiadomością o jaskini w Potoku, znajdującej się w przedłużeniu gór Ojcowskich. Wkrótce potem, gdy Virchow zwrócił uwagę na palafity w ogólności, wystąpił Przeddziecki z dłuższem przemówieniem, umieszczonem na końcu „Sprawozdania.“ Rzec całą rozpoczął od dwóch stacji krzemiennych w ziemiach polskich, rozwodził się nad palafitem Czeszewskim, wspominał szeroko o żalniku Dobieszewskim i o okazach z epoki brązu, znalezionych w krajach dawniej Polski. Wreszcie, pod koniec ostatniego już posiedzenia, przedstawił kongresowi: Projekt nowych map archeologicznych międzynarodowych, wypracowany przez komisją archeologiczną Tow. naukowego w Krakowie. Kongres porucił ocenę tego projektu trzem referentom na przyszłym zjeździe w roku 1872-im.

Niestety czasu tego nie miał doczekać Przeddziecki. Chory i nie-domagający bardzo wyjechał z Bononii na Wiedeń do Krakowa, rozszerzwszy zakres podróży, pomimo prośb i nalegań żony. Do Krakowa ciągnęła go kwestya odkrycia nagrobka i zwłok Bolesława Wsty-

¹⁾ Kongres w Bononii, Spraw. A. P. r. 1872. Osob. odbicie z rocz. Tow. nauk. krak.

dłiwego w klasztorze Franciszkanów krakowskich. Bywają czasem sprawy, co żyjąc polemiką tylko, pokutują długie lata, jak straszdyło w ruinach. Do tego rodzaju zagadek należy niezaprzeczenie studium o grobie Bolesława Wstydliwego, wznowione w r. 1861, które od r. 1868-go żywo Przeddzieckiego zajmowało, jak o tém świadczą prace jego w komisji, wyznaczonej ad hoc przez towarzystwo naukowe krakowskie. W archiwum tej instytucji są protokoły licznych a nader pilnych badań, od których znowu zacząć przyjdzie każdemu, ktoby studya w tym kierunku podjąć i na nowe tory wprowadzić zamierzał. Odsyłamy czytelnika do sprawozdania w Ktosach (nr. 818), publikowanego wtedy, gdy w r. 1881, wystawieniem pomnika dziś u Franciszkanów w Krakowie egzystującego, zakończyć tę kwestyą naukową myślano.

W tém miejscu należy nam pomówić nieco o pracach Przeddzieckiego na polu literatury dramatycznej. Omijaliśmy ten rozdział dotychczas, uważając, że tę stronę życia Przedzieckiego raczej jako charakterystyczną niż naukową uważać należy.

Zajęty badaniami historycznemi lubiał uczony nasz mecenas bawić się od czasu do czasu pisaniem powieści, dramatów i komedyjek, w czém mu i na talencie nie zbywało. Bywało, że czasami dla rozrywki i zabawy słuchających, Przedziecki deklamował swoje utwory, to znów rozkoszując się nowém dziełem znakomitego autora, czytywał je. Takie wieczory naukowo-literackie bywały u niego dosyć często w Warszawie, Paryżu i Krakowie. Szereg prac hr. Aleksandra na tém polu rozpoczął: „Don Sebastien de Portugal, drame en trois actes” wydany w r. 1836 w Petersburgu. Powodzenie, jakiego doznała ta pierwsza próba dramatyczna, przedstawiona w teatrze francuzkim w Paryżu, zachęciło młodego autora do dalszej pracy. Nawet Wiktor Hugo zaszczycił dwudziestoletniego młodzieńca swym listem, pochwałę pełnym. List ten uważał Przedziecki za największą nagrodę, jaka go za napisanie owego dramatu spotkała. To też w rok po tém napisał „Deux Reines de France” dramat historyczny, z czasów Filipa Augusta, w którym postaci: Agnieszki z Meranie, ks. Ingeburgi, Ryszarda i Filipa, prawdziwie po mistrzowsku są oddane. Kopię rękopisu pierwotnego przesał Przedziecki Wiktorowi Hugo, prosząc go o poparcie w jednym z teatrów francuzkich. Hugo życzeniu temu uczynił zadość, przecież niezbyt pomyślnie. Manuskrypt utonął gdzieś w bibliotece teatralnej bez wieści; ale nie bezpowrotnie. Minęły od tego czasu całe lata, gdy Ponsard, poeta francuzki, napisał na tle tego dramatu, tragedya „Agnes de Meranie,” a w dwa lata potem i Legouvé wystawił sztukę: „Les Deux Reines de France.” W ten sposób dzieło Przedzieckiego wskrzeszonym zostało. Właściwy zaś autor, prawdopodobnie dla upokorzenia naśladowców, kazał w r. 1866 wydrukować „Dwie królowe Francyi” w Paryżu, poświęcając je Ponsardowi i Legouvému.

Z chwilą, gdy zapal do historii polskiej się obudził, powstała w Przedzieckim myśl napisania dramatu, do którego treść z dziejów na-

szych czerpaną być miała. Jeszcze tedy w 1836 r. (jak to sam we wstępie do prób dramatycznych powiada), czytając Górnickiego, powziął myśl wystawić na scenie: przygody Halszki z Ostroga i Dymitra Sanguszki. W rok później, wysłany do Wołogdy, spisał pierwszy plan do swojej Halszki. Zapewne w krótkim przeciągu czasu, dramat ten byłby wykończył, gdyby pojawienie się „Halszki“ Kraszewskiego nie wzbudziło w nim obawy, iż ta sama rzecz, w obec takiego mistrza zblednąć — zmaleć musi. „I już miałem swoją pracę zniszczyć — pisze o tym utworze — (Próby dram. r. 1841) gdym postrzegł, że znakomity autor historii miasta Wilna i ja uważaliśmy ten sam przedmiot z przeciwnego zupełnie stanowiska.“ To mu dodało odwagi i w „Próbach dramatycznych“ r. 1841, „Halszkę z Ostroga“ poświęconą ciotce swojej, księżnie Aleksandrze Radziwiłłowej, wraz z mniejszą komedyjką p. t. „Kapitałik“ z powieści Jadama (Garczyńskiego) ułożoną — umieścić. Przecież „Halszka“ krótki tylko czas miała powodzenie, a w obec ukazania się dramatu Szujskiego, opracowanego na podstawie nowych źródeł, sam autor mało wagi przywiązywał do tego utworu. Zadowolonym był, że źródła Szujskiemu dostarczył, że na podstawie pierwotnie przez siebie ułożonego dramatu, nowy i piękny powstanie. Fundamenta, jakie Przewdziecki założył, wystarczyły na wystawienie Halszki historycznej, otoczonej taką aureolą prawdy, jaką Szujski odtworzył. To też, dowiedziawszy się o przedstawieniu swojej Halszki na scenie krakowskiej w r. 1858, tak się o tém swojém dziele wyraża: „Bardzo dziękuję Panu za uwiadomienie mnie o zupełnie nie spodziewaném dla mnie, nie powiem wskrzeszeniu Halszki, bo nigdy życia dramatycznego nie miała i mieć nie mogła, ale o wskrzeszeniu na scenie bez mego upoważnienia. Miarkuję z pańskiego listu i z milczenia w Czasie, że nie udało się przedstawienie, co mnie bynajmniej nie dziwi. Wszak przed osiemnastu laty dramat ten pisałem... Tyle co do Halszki z Ostroga.

Przewodnikiem w pisaniu więcej beletrystycznych rzeczy był dla Przewdzieckiego Kraszewski. Pod jego kierownictwem napisał kilka drobniejszych nowelek i powieści, jak: „Trzy chwile w życiu“, „Ostatnia z Dolskich“, „Fenella i Mazepa“, wydane także w pierwszych latach zawodu literackiego. Obznajmiony dokładnie ze sztuką dramatyczną wszystkich niemal literatur, interesował się tém więcej i polską. Przesyłając do Biblioteki Warszawskiej artykuł „O dzisiejszym stanie sztuki dramatycznej w Polsce“, ze względu na najnowsze w tym rodzaju utwory (r. 1844, tom I)¹⁾, równocześnie zajmował się pracą około dramatu pod tytułem: „Jadwiga“, którego

¹⁾ Studium tego nie znajdujemy na powołaném miejscu; trudno by wreszcie było połączyć je logicznie z dramatem „Jadwiga“, który Przewdziecki ogłosił w Wilnie 1841 roku. Zob. bibliogr. Eistreichera. *Red.*

treść historyczną wielokroć opracowywali: ks. biskup Łętowski, Wężyk, księżna Puzyńska i hr. Czarniecki. Nie było jeszcze wówczas dzieła Szajnochy, odnoszącego się do tego samego przedmiotu, ztąd (?) nie dziw, że wszystkie te historyczne dramata, wypadły tak słabo. Od r. 1844 do 1859 nie pracował Przędziecki w tym kierunku, gdyż sprawy historyczno-archeologiczne więcej go zajmowały. Dopiero w czasie pobytu w Londynie w r. 1857 odezwała się skłonność Przędzieckiego do dramatu i komedijek, gdy zobaczył w królewskim teatrze przedstawioną komedią Tomasza Taylor, pod tytułem „Victimes.“ Nie myślał sam czegoś podobnego utworzyć, pragnął raczej upodobaną sztukę na język polski przełożyć i scenie naszej ją przyswoić. To też, (jak sam mówi we wstępie do „Ofiar“ Taylora. Pознаń, 1859, nakład. Żupańskiego), widząc tę rzecz przedstawianą, wyobrażał sobie wśród tój angielszczyzny dźwięki własnej mowy (?), oddające przerobioną na krój polski komedią Taylora. W ten sposób (ciągnie dalej opowiadanie o powstaniu „Ofiar“) „Z książeczki angielskiej w wolnych chwilach podróży, po wagonach drogi żelaznej, pomiędzy Londynem a Warszawą przeistoczyły się „Victimes“ w „Ofiary“, które niebawem do biblioteki teatralnej warszawskiej przeszły. Przecież, gdy w r. 1859 (9 lipca) z niemałym powodzeniem odegrano tę sztukę w teatrze Rozmaitości, złe języki, dopatrując się „w zwierciadle komiczném Taylora“ własnego swego obrazu, poczęły komedii tę zarzucać „brak przyzwoitości“, a wreszcie i to, że zakończenie „nieprawdopodobieństwem grzeszy.“ Oburzony tём tłómacz pisze z tego powodu: „Trzeba, żeby tutejsi literaci, nie śmiejąc wyjawić prawdziwego powodu swojego nieukontentowania nietylko uorganizowali kabałę przeciw sztuce, ale jeszcze po gazetach gromy swoje ciskali. „Warszawska“ po grubiańsku, jak zwykle, a „Codzienna“ (et tu Brute contra me) trochę grzeczniej.“ Jakkolwiek bądź „gdy na takie zarzuty odpowiadać wówczas było nie podobném“ a później „niepotrzebném“ wydrukował Przędziecki swoje „Ofiary“, aby czytelnicy sprawiedliwszy sąd wydać mogli, i dedykował je J. I. Kraszewskiemu, którego już oddawna (r. 1859) „najzacniejszym przedstawicielem piśmiennictwa“ nazywał.

Znowu minęło dziesięć lat, poświęconych przeważnie badaniom historycznym, a chociaż sztuka dramatyczna lub dobra komedia jak dawniej go zajmowała, sam — nic przez ten czas na tem polu nie stworzył, dopiero 23 stycznia w r. 1868 odegrano w teatrze krakowskim komedią Przędzieckiego „Nazajutrz po balu.“ Fraszka ta, acz nigdy drukowaną nie była, uzyskała przychylną opinią publiczności (Recenzja w „Czasie“, nr. 20, r. 1868). W rok potem, nauczony już doświadczeniem, wydał natychmiast przetłomaczoną przez siebie komedią Aleksandra Dumasa (syna) „Le demi-mond“, „Półświatek“, „aby kto pomysłu i tytułu nie ukradł.“

Wydawnictwa i dzieła historyczne wymieniliśmy w ciągu niniej-

szej biografii po rok 1870. Jagiellonek tomów cztery opuściło już prasę, piąty, prawie przygotowany do druku, potrzebował jeszcze uzupełnienia i poprawek wydawcy, gdy choroba nie pozwoliła dokończyć rozpoczętego dzieła. Przyzwyczajony do ciągłych chorób i dolegliwości, zdawał się nie przeczuwać bliskiego końca cierpień doczesnych. Marzył tedy o drugiem wydaniu swych „Wspomnień jesiennych ze Szwecyi” i drżącą ręką pisał na brzegu książki nowe spostrzeżenia i uwagi, przy czém myśli o piątym tomie „Jagiellonek” niepokoiła go bardzo. Niestety, ani jednego, ani drugiego projektu nie mógł już dokonać. Pierwsza literacka praca zeszała się z ostatnią; początek zbiegł się z końcem naukowego żywota, który śmierć nagle przerwała w sposób okrutny w chwili nader ważnej naszego rozwoju społecznego i umysłowego. Umarł Przewdziecki d. 26 grudnia 1871 w Krakowie, dokąd dla studyów „Jagiellonkowych” przyjechał, a śmierć jego boleśnie dotknęła kraj cały.

Od „Wspomnień jesiennych po Szwecyi“ do „Jagiellonek,” to okres czasu zapełniony mnóstwem dzieł, bądź wydanych bądź własnoręcznie napisanych, to zdobycz naukowa, za którą dla bohatera pióra, założona właśnie Akademia umiejętności w Krakowie (2-go maja 1871 r.) słusznie Przewdzieckiego do grona swego powołać zamierzała. Buława zapóźno do rąkby doszła, ale uznanie i wdzięczność narodu, ceniącego coraz to więcej historią swoją i pamiątki, złączył je z imieniem Przewdzieckiego. Znawca dzieł Przewdzieckiego, Szujski, pod wrażeniem śmierci zasłużonego badacza tak pisze w przedmowie do V tomu „Jagiellonek,” którego został redaktorem. „W jednym z wysokich pokoi domu pod Krzysztoforami, na drugim piętrze, gdzie na dłuższy pobyt w Krakowie mieszkanie wynajął—leżał nieboszczyk na sofie tuż przed włożeniem do trumny, z wyrazem trudnego do opisanego spokoju, dobroci i łagodności na twarzy. Ołtarzyk „Jagiellonki” Zofii księżnej Brunszwickiej i obraz Domenichina: „Komunia św. Hieronima,” błogosławiły zmarłego ze ściany... On sam wydał się tak niewieście-miękim, mimo pięknego polskiego wąsa, takim artystycznie uśmiechniętym, mimo powagi śmierci... Wszystko, czém był, malowało się na tej pięknej spokojnej twarzy, zacność i dystynkcyja, gorliwość badawcza i smak wytworny, szlachetność popędów serca i głębszy kierunek myśli... Ach! tylko ten oficjalny strój trumienny mówił, że już nie wstanie więcej!”

W parę dni potem nim zamknięto grobowe sklepienie nad trumną Przewdzieckiego, synowie jego włożyli mu pod głowę list w sprawie religijnej do Döllingera pisany ¹⁾, jak gdyby chcieli wyrazić, że

¹⁾ „Offener Brief an den Dom-Capitular dr. Döllinger.“ (Tłumaczony z jęz. francuzkiego). Wien, 1871, 8^o, str. 3. Red.

krzepnącą już ręką wiary katolickiej bronił przed napaścią zaślepionych odstępców.

Gdyby potrzebném było w zakończeniu téj pracy ogłaszać jeżeli już nie sąd nasz o działalności Przeddzieckiego, to przynajmniej o stanowisku, jakie mu się w świecie naukowym należy, powołalibyśmy się na zdanie Szujskiego i Siemieńskiego, współczesnych Przeddzieckiemu znawców wartości ludzi i ich działań; lecz sądy te powołaliśmy już w ciągu pracy naszej.

Przeddzieckiego odznaczało przedewszystkiém wierne i stałe przywiązanie do zasad katolickich, a twarde, surowe względem siebie przestrzeganie ich w życiu. Wartość każdej sprawy, uczynku wszelkiego, oceniał i mierzył prawidłami moralności—choć wyrozumiały, pobłażliwy po chrześcijańsku, a dla wszystkich ujmująco uprzejmy i w całym tego wyrazu znaczeniu szlachetny.

Patryota! Obowiązek zawarty w tém określeniu miłośnika ojczyzny, pojmował i spełniał roztropnie, z najdelikatniejszym uczuciem. W gustach, zamiłowaniach, w kierunkach życia swego skrzętny i sumienny pracownik na polu badań tego, co wyjaśnić mogło prawdę w historii, co wspomnieniem rozgrzewać umiało miłość dla kraju a odkryciem zabytków skarbiec jego pamiątek zbogacać zdołało.

Wydawca licznych a różnorodnych materiałów historycznych i archeolog w pojęciu, jakie do tego wyrazu (ze względu na stosunek starożytności i zabytków sztuki do dziejów) przywiązywano jeszcze nie dawno.

Co robił, czynił to z takim zapałem, z tak wielkim pośpiechem, tak nagle, że się zdawało (a z listów to widoczne) iż się lęka stracenia każdej chwili, sekundy nawet, aby mu czasu na spełnienie tego dobrowolnie przyjętego obowiązku nie zabrakło.

Różne przedsięwzięcia społeczne, obywatelskie, nawet ekonomiczne, a szczególnie literackie, rozpoczęte z inicjatywy Przeddzieckiego a niektóre w zupełności przez niego spełnione, dają mu słusznie zarobione całym życiem miano mecenasa, w najpiękniejszym tego wyrazu znaczeniu.

Aczkolwiek wielką ilość, bo 500 przeszło listów Przeddzieckiego mieliśmy przed sobą, przecież wcale to nie bogaty materiał, jeślibyśmy z niego snować chcieli wątek do zobrazowania charakteru, oznaczenia stron serca, wskazania kierunków uczuć i moralnych popędów człowieka, słowem podniesienia cnót i pobudek uczynków jego. Korespondencya ta wreszcie w specjalności tylko, w fachowości, w interesach literackich z pośpiechem jest pisana.

Wielka to rzecz, chcieć i umieć wszystkie rozporządalne siły, czas i zamożność poświęcić dla pożytku ojczyzny i nauki—większa jeszcze, spełniwszy to zadanie do dna, czuć na prawdę, że to nigdy nie dosyć, że zawsze mało, że jeszcze wciąż więcej chcieć i więcej chcieć i więcej pracować potrzeba.

Tych zalet i górujących przymiotów, nikt Przeddzieckiemu odmówić nie może. Jeżeli kto, to on sprawdza na sobie wiersz Karpińskiego o powinnościach obywatela względem ojczyzny:

„Choćby po swoim najlepszym dziele,
Zawsze o sobie sądził mało:
Nie myśl, że dla mnie zrobiłeś wiele,
Ale—o jeszcze zrobić ci zostało!“

Z DZIEJÓW TEATRU HISZPAŃSKIEGO.

STUDYUM LITERACKIE *).

RRZEZ

Juliana Adolfa Świącickiego.

Jeżeli przypomnimy sobie, że Lope de Vega napisał przeszło półtora tysiąca sztuk dramatycznych, Tirso de Molina przeszło trzysta, Alarcon kilkadziesiąt, Calderon sto kilkadziesiąt, to, nie biorąc w rachubę komedyi pisarzy drugorzędnych, przyjść musimy do przekonania, że w obec repertuaru z paru tysięcy sztuk złożonego, trudno było komedyopisarzowi hiszpańskiemu zdobyć się na zupełną świeżość inwencji. Miłość, zazdrość i honor, jedyne tematy sceny hiszpańskiej, tak były wszechstronnie obrobione w najróżnorodniejszych komplikacjach, że tylko pisarz o fantazyi niezmiernie bogatej mógł się jeszcze zdobyć na wątek do komedyi zupełnie oryginalny. Tymczasem publiczność pragnęła ciągle nowości, poeci więc musieli, radzi nie radzi, uciekać się do przeróbek i naśladowań, tak, że byli pisarze, którzy, nie kłopotząc się wcale o nową bajkę, brali gotowy temat z komedyi poprzedników, aby go w nowym zupełnie obrobieniu jako rzecz oryginalną dać na scenie.

Do takich poetów, chorujących na brak inwencji, należał Don Augustin Moreto y Cabaña, urodzony w Madrycie roku 1618. O życiu jego posiadamy szczegółów bardzo nie wiele. Wiadomo tylko, że ukończył studia w Alcalá de Henares r. 1637, a w dwa lata później otrzymał stopień „licenciado en artes;” że jeszcze studentem będąc dał się poznać jako poeta liryczny i dramatyczny; że około r. 1649 był członkiem Akademii kastylskiej i że wreszcie pomógł r.

*) Dokończenie—patrz zeszyt za m. maj r. b.

1654 a 57 został księdzem, a pędząc żywot bogaty w uczynki miłosierne umarł r. 1669, zostawiwszy biednym całe swe mienie. W testamentcie Moreto zastrzegł, żeby go pochowano w miejscu przeznaczoném do grzebania skazanych na śmierć przez powieszenie (pradillo de los ahorcados), ale życzenia tego, które dało powód do różnych przypuszczeń bezzasadnych, nie uwzględniono.

Literacka po Morecie spuścizna składa się z ośmiu liryk, oraz 103-ch utworów dramatycznych, licząc w to 16 napisanych do spółki z innymi poetami ¹⁾. Pisał więc Moreto:

1. Komedye charakterów (de caracteres, de figuron, de graciosos), jak: „El desden con el desden“ (Wzgarda za wzgardę), „De fuera vendrá quien de casa nos echará“ (Z zewnątrz przyjdzie ten, który nas z domu wyrzuci), „El lindo Don Diego“ (Miły Don Diego), „Yo por vos y vos por otro“ (Ja dla was, wy dla innych), „El poder de la amistad“ (Potęga przyjaźni), „No puede ser“ (Nie może być), „La fuerza del natural“, „El licenciado Vidriera“ i inne.

2. Komedyi intryg (de intriga y enredo): „Trampa adelante“ (Zawsze naprzód), „El parecido en la corte“ (Podobny na dworze), „El Caballero“, „La ocasion hace el ladron“ (Sposobność stwarza złodziejów) i inne.

3. Farsy (comedias burlescas), jak: „El Escarraman“ i „Las travesuras del Cid“ (figle Cyda).

4. Tragedye, z których najlepsze: „El valiente justiciero“, albo „El rico hombre de Alcalá o Rey Valiente y justiciero“ (Magnat i dzielny sędzia), „Antioco y Seleuco“, „Como se vengán los nobles“ (jak się mszczą szlachetni), „El defensor de su agravio“ (Obrońca swój krzywdy), „La fuerza de la ley“ (Siła prawa), „La traicion vengada“ (Zdrada pomszczona), „Hasta el fin nadie es dichoso“ (Do końca nikt nie jest szczęśliwy) i inne. Pisał nakoniec Moreto:

5. Międzyakty (entremeses), jak: „Gas galeras de la honra“, „Mariquita“ i inne, oraz 6) Dramaty mistyczne (misticos de votos y de santos), jak: „San Francisco de Sena“, „La gran casa de Austria y divina Margarita“ i t. p.

Za arcydzieło Moreta uchodzi powszechnie komedya p. t. „Desden con el desden“, pomimo że autor osnuł ją na temacie zaczerpniętym z komedyi Lope de Vegi: „La hermosa fea“ (piękna brzydka) i z „Los milagros del desprecio“ (Cud wstretu), już dzisiaj całkiem zapomnianych. „Wzgarda za wzgardę“ przypomina także znany nam utwór Rojasa p. t. „Oto czém są kobiety“, w obu tych bowiem komedjach poeci dowieść usiłowali, że kobietę piękną i hołdami otoczoną najłatwiej zdobyć chłodem pozornej obojętności.

Księżniczka Dyana, córka hrabiego Barcelony, piękna, dowcipna, uczona, świadoma swojej potęgi i rozmiłowana aż do zbytku w zu-

¹⁾ Do spółki téj należeli: Cáncer, Matos, Belmonte Bermudez, Martinez, Villaviciosa, Calderon, Diamante Avellaneda i Arce de los Reyes.

pełnej niezależności, przyrzekła sobie za każdą miłość mężczyzny płacić mu pogardą i nienawiścią. Napróżno ojciec usiłuje przekształcić jedyną dziedziczkę swego mienia, napróżno książe sąsiedni, pragnąc jej ręki, dają tysiączne dowody swego uczucia — wszystkie usiłowania tego rodzaju potęgują tylko dumę Dyany. Jednakże wśród konkurentów zwrócił uwagę księżniczki Carlos hr. Urgiel, którego powściągliwość w obec Dyany graniczy z zupełną obojętnością. Kawaler ten, powodowany jedynie ciekawością, przybył na dwór hr. Barcelony i uległby losowi wszystkich Dyany konkurentów, gdyby się z miłości swojej bez nadziei nie zwierzył wiernemu Polilli, swemu słudze, który, wysłuchawszy żalów pana, tak odpowiada:

Polilla. Pomnę dobrze, dzieckiem byłem ¹⁾,
 Kiedy w czasie winobrania
 Każdy mógł się najeść jagód
 Ile zechciał. Ja nie jadłem.
 Ale kiedy matka w zimie
 Rozwiesiła grona w kuchni,
 To się wdarłem pod sufity
 I zjadałem bez pamięci.
 Jadłem, póki nie upadłem
 I dwu żeber nie złamałem.

Carlos. Smutną dajesz mi pociechę.

Polilla. Powiedz panie, czy na innych
 Dyana czulej patrzy?...

Carlos. Nie, nie!...

Polilla. Czy się inni chcą podobać?

Carlos. Każdy o tém tylko myśli.

Polilla. Zatém w zakład z każdym idę,
 Ze cię jutro uszczęśliwi.

Carlos. I dlaczego?...

Polilla. Bo uparta.

Carlos. Jakimże to, mów, sposobem?...

Polilla. Verbi gratia! Ot wysoko,
 Między liście i gałęzie,
 Smaczna figa się ukryła;
 Chłopczy chcieliby ją zerwać,
 Lecz nie można — za wysoko.
 A więc kamień za kamieniem
 Mierzą w główkę cnój jejmości,

¹⁾ Przekład K. Pieńkowskiego. Kłoa, 1867.

Któryś w końcu w owoc trafi
I opadły w usta włoży.
Tak i z Dyana. Zalotnicy
Stawia dla cię rusztowanie,
A ty pannę weźmiesz dumną.

Wskutek umowy pomiędzy panem i sługą, Polilla w śmiesznym stroju doktora idzie do Dyany jako Batyst szukać służby, którą też zdobył dzięki sprytowi swemu i zręczności. Jakoż czuwa on teraz nad Carlosem i Dyana, hamując pana i prowadząc Dyana do siedeł zręcznie zastawionych. Gdy księżniczka w obec wszystkich pretendentów do swój ręki oświadczyła, że jój nie da nikomu, Carlos zapewnił, że podziela to zdanie o małżeństwie i że on także nigdy kochać nie będzie.

Dyana. Widzisz w tém niebezpieczeństwo?...

Carlos. Niebezpieczeństw dla mnie nie ma.
Niewzruszony jako skała,
A zimniejszy od kamienia,
Nie popuszczę cugli sercu!
Gdyby nawet najpiękniejsza
Z najpiękniejszych się zjawiła
I upadła w me ramiona,
Odepchnąłbym ją wzgardliwie!...
Ani miłość, ni wzajemność
Być kochanym, aby chłodno
Na kobiece patrzeć męki,
Jest niegodnie. Kochać — nigdy!...

Polilla (n. s.). Niechaj tonę, ale Carlos
Mądrze bierze się do dzieła;
Jeszcze trochę tego octu,
Z panny będzie marynata!...

Dyana. Trza ukarać to zuchwalstwo.

W akcie drugim, gdy Carlos wyznaje Polilli, że dłużej obojętności udawać nie jest w stanie, zręczny sługa dodaje panu odwagi, mówiąc:

O, twój opór drażni pannę,
Gniewna — chciałaby cię podbić;
Jeden tylko wolny jesteś
Od jój czarów i szyderstwa.
I już nie wiem poraż który
Mnie pytała, co ma zrobić,
Abyś upadł u nóg korny,
A ja radzę, zważ czy dobrze,

Mówię: „łaską darz Carlosa,
Bądź dlań grzeczną, ujmującą
I zwycięstwo wtedy pewne.“
Lecz ty trzymaj się wytrwale,
Im grzeczniejszą będzie Dyana,
Ty zimniejszym się okazuj!...

Jakoż Dyana atakuje coraz śmielej.

Carlos. Pomnij pani, że w mém sercu
Nie zagości miłość wcale.

Dyana. Wcale, nigdy!... Czyż podobna?..

Carlos. Wszak mówiłem.

Dyana. Tak! lecz przecie
Cudy dzieją się na świecie,
Więc przypuśćiny, gdyby panie
Serce moje uderzyło
I poznało co kochanie?...

Carlos. O! to bardzoby źle było!..
(n. s.) Co mi jest? W głowie się kręci!..

Dyana. Gdyby (zawsze mimowoli)
Przyjaźń wzrosła i powoli
W mojem sercu się zmieniła
W miłość?...

Carlos. To nie dobra rzeczby była.

Dyana. Gdybym pana pokochała?

Carlos (zapominając się). Wtedy...

Polilla (ciągnie go za połę). Pst... pst...

Carlos. Kłamać trudno,
Wtedy mimo rozum, wdzięki,
Byłabyś... och bardzo nudną.

Dyana. Lecz...

Carlos (ociierając czoło). Nie przyjąłbym twój ręki.

Polilla (n. s.) Rozumniejszy nad nadzieje!..
(do Dyany) Ach! Senioro ja się dziwię,
Jak śmie mówić takie rzeczy.

Dyana (do Polilli). Grubianin!...

Polilla. Niedźwiedź bury!...

Gdy jednakże podczas uroczystości karnawałowej Dyana wybrała Carlosa za rycerza swego na cały wieczór, hrabia, nie mogąc zwal-

czyć całej potęgi uczucia, które mu pierś rozsadzało, wyznał nareszcie że „dusza jego chora cierpi już dawno i śmiertelnie,“ zraniona strzałą miłości.

Dyana. Jaka strzała?.. (n. s.). Jam wygrała!...

Carlos. Z pięknej, drobnej, białej dłoni,
W serce padła i zraniła.
Długom walczył, zwyciężony
Do nóg twoich głowę chyłę
Smutny i niepocieszony!...

Dyana (n. s.) Dumny ptaszku!.. przecie... brawo...
A! poczujesz, ale gorzko;
Twe zuchwalstwo i upory,
Moję władzę i szyderstwo!...

(głośno) A więc kochasz mnie prawdziwie?..
Zkądże taka prędką zmiana?..

Carlos. Czyż to dziwne?

Dyana (pogardliwie). Ja się dziwię,
Boć ta miłość tak wyśmiana...

Carlos. W sercu mojem ogień płonie,
Życie męczy, wzrok się ćmi,
O! litośnie podaj dłonie
I kochanką bądźże mi!...

Dyana (w gniewie). Co to znaczy? Puść pan rękę.

(zdejmuje maskę) Jak pan śmiesz mnie kochać, błagać?..
Czyż myślałeś, że namiętność
Od mej wzdardy cię uchroni?..
W mojem sercu litość wzbudzisz
Opowieścią mąk miłosnych?..

Carlos (n. s.) Zapomniałem się szkaradnie,
Może jeszcze wybrnę z tego.

Dyana. Nie pamiętasz, widać, hrabio,
Żem na wszystkie serc westchnienia
Zimna, głucha, jako kamień?
Że mnie niczem nie poruszysz?...

Carlos (wesolo). Czy poważnie mówisz pani?

Dyana. Czy nie kochasz pan prawdziwie?

Carlos. Ja? hrabianko!.. Czyż podobna
Abyś słowom zawierzyła?
Ja?! ach paui najpiękniejsza,

- Gdybym nawet czuł namiętność
Tobym milczał zawstydzony.
- Dyana.** Wszak mówiłeś?..
- Carlos.** Puste żarty,
Dzień dzisiejszy maskaradą!..
- Dyana.** Lecz coś mówię o truciznie
I o strzale i o mękach,
O twym smutku, walce duszy?..
- Carlos.** To należy do przebrania.
- Dyana** (n. s.) Jak się zemścić?.. Jaki środek?..
(głośno) Muszę dowcip twój pochwalić,
Grateś rolę tak wybornie
Że za prawdę ją przyjąłam.
- Carlos.** Lecz i pani doskonale
Udawałaś oszukaną.
- Dyana** (n. s.) Szydź jeszcze (głośno). Już wiem teraz
O udaniu, bądźże łaskaw
Dłużej jeszcze miłość kłamać
Mnie się bardzo to podoba!..
- Carlos.** I dla czego?
- Dyana.** Uporowi
Rozum prędzej szkodzić może,
Niżli miłość. A twój dowcip
Grozi mi niebezpieczeństwem,
Więc udawaj miłość lepiej.
- Carlos** (n. s.) Pierwsze lody już pękają!
- Dyana.** Czekam, prędzej...
- Carlos.** O nie pani!
- Dyana.** Lecz ja proszę...
- Carlos.** Nie, nie mogę,
Pani jeszcze drżysz wzruszona,
Prosisz mię tak niecierpliwie
To źle pani.
- Dyana.** Cóż w tém złego?
- Carlos.** Trza unikać niebezpieczeństw.
- Dyana.** Powiedz przecie co cię straszy?..
- Carlos.** Miłość twoja!
- Dyana.** Moja miłość?..
- Carlos.** Możesz łatwo mnie pokochać.

Dyana. Nic nie widzę w tém przykrego.

Carlos. Pani, to nie moja sprawa,
Lecz w szczerości obowiązku,
Rzec sumienie nakazuje:
Maryj pierwej niżli miłość!..

Dyana (n. s.) To kobieta piękna słyszy!..

(głośno) Czyż pan myśli, że prawdziwie
Mogłabym się w nim zakochać?..

Carlos. Wszak mówiłaś mi przed chwilą,
Że wdzięczności strzedz się trzeba,
Bo wnet za nią miłość przyjdzie.
Teraz mówisz, że ci miłszy
Niżli inni—czegoż braknie?..

Dyana. Mało braknie pańskiej dumie,
By się stała grubiaństwem,
Chcąc uniknąć téj przykrości
Schodzę z drogi!..

Gdy Carlos najobojętniej żegna Dyangę, piękna niewiasta w poczuciu dumy obrażonej i pod wpływem wzrastającej bezwiednie miłości woła:

Co się dzieje, co się dzieje!..
Gniew, nienawiść, podziwienie,
Szarpią duszę nielitośnie!..
Gdybym znała jaki środek,
Gdybym mogła go rozkochać,
Zapomniałabym o sobie!..

Wszystko oddam, tron, majątek,
Ale niechaj mrze z miłości.

Polilla. Powiedz, czy to tylko chciwość
Nowych ofiar, czyli miłość?

Dyana. Oh! nie miłość, ale zemsta,
Chcę okazać mu pogardę,
Męczyć, potem wysmiać strasznie.

Polilla (n. s.) Nasza figa już dojrzała.

Dowiedziawszy się, że Carlos bardzo śpiew lubi, daje polecenie Polilli aby go wprowadził do parku w chwili, gdy będzie śpiewała. Słyszając głos ukochanej Carlos w ekstazie woła:

Ach Polillo! mrę z zachwytu!

Polilla. Ach Carlosie, zbudź się z głupstwa!..
Do ogrodu wchodźmy zaraz.

- Carlos.* Ją zobaczyć?..
- Polilla.* Ale z boku!..
- Carlos.* Nie wytrzymam...
- Polilla.* A to może
Ten cię sztylet wstrzyma panie:
Krzyknij „kocham“ i przepadłeś.
- Carlos.* Kiedy spojrzysz?
To ty nie patrz!..
- Carlos.* Gdy przemówi?..
- Polilla.* Zatknij uszy!..
- Carlos.* A cóż później?..
- Polilla.* Nic, małżeństwo!..
- Carlos.* Znowu śpiewa, o litości!..
- Polilla.* O rozumie!.. krzyknij raczej
Chodźmy przecie!..
- Carlos.* Chcę posłuchać
Chwilkę jeszcze...
- Polilla.* Ni sekundy
- Carlos.* Ona śpiewa...
- Polilla.* A ty ziewaj!..

Jakoż Carlos, idąc za tą radą podziwiał w parku piękność roślin, nie zwracając uwagi na Dyanę, pomimo że towarzyszki jej Laura i Feniska na jój rozkaz kolejno biegly do Carlosa ze słowami:

Don Carlosie, zważyć proszę
Że hrabianka jest w ogrodzie.

Skoro zaś przejęta najwyższém oburzeniem Dyana pyta Polilla poco Carlos przyszedł do parku i co powiedział, chytry sługa relacją swoją doprowadza Dyanę do szaleństwa.

- Dyana.* Cóż powiedział?
- Polilla.* Wstyd powtórzyć.
- Dyana.* Powtórz ja się nie rozniewam,
- Polilla.* Rzekł, że śpiewasz jako owca,
I że słuchać cię nie warto.
- Dyana.* Umrę jeśli się nie pomszczę!..
- Polilla* (d. s.) Zrywaj strączki groch już dojrzał.

Doprowadzona do rozpaczki dziewica, postanawia zrobić próbę ostatnią a mianowicie: wprowadzić w grę potężną broń zazdrości, o czém jednak nie potrzebnie mówi Polilli, który też zdążył przygotować hrabiego do nowych zapasów z Dyana. Księżniczka, rozpoczynając rozmowę nader zręczną o kwesjach serca i uczucia, przechodzi nagle do zwrotu „że myślą rozumu drogi“ i że wbrew dawnym pojęciom już teraz w miłość uwierzyła.

Carlos. Więc się kochasz?...

Dyana. Kto wie?.. Może...

Carlos. Więc chorobę masz miłosną?..

Dyana (n. s.) Jeżeli cierpi, jeżeli kocha
To uklęknie, to zaszłocha!

Carlos (n. s.) A przebiegła drażnisz, łudzisz,
Lecz zazdrości nie obudzisz!..

Dyana. . . . I w co dusza moja wierzy,
I do czego chęcią dążę,
To... no... zgadnij, przecie, książę
Kto wypełni?...

Carlos. Byle nie ja!...

Polilla (d. s.) Al odżyła znów nadzieja.

Dyana. Zgadnij przecie (do Polilli). Pobladł czy nie?..

Carlos. Niepodobna! Czekam wieści
Na kogo to szczęście spłynie?

Dyana. Któż najwięcej godzien cześci
Z zalotników moich tłumu?

Carlos. Nie wiem pani.

Dyana. A więc jasno
Przy Bearnie wszyscy gasną,
Jemu przeto dar miłości
I rząd moich ziem dziedzicznych
Niosę śmieję.

Carlos. A to pięknie!
(do Polilli) Trzymaj bracie, bo upadnę,
Bo mi serce w piersiach pęknie.

Dyana (n. s.) Ani zblednie ni się skrzywi,
(głośno) No, bo powiedz przyjacielu,
Kto mie więcej uszczęśliwi?..

Carlos (do Polilli). Choćby było to udanie,
To już rani mię bez miary!

Polilla (do *Carlosa*). Cierpliwości czuły panie,
Zazdrość zbudzić zwyczaj stary.

Dyana. Ale zanim w mirty strojna,
Stanę z Bearn w łzach w kościele,
To o przyjaźń twą spokojna,
Pytać ciebie się ośmielę
Czy nie myślę się w wyborze?...

(n. s.) A no to krok był rozumny!..

Pobladł Carlos, to go boli
No, poczekaj, panie dumny,
Cierpże uporowi gwoli.

Polilla (do *Carlosa*). Panie, proszę, błagam, klnę cię,
Chwilkę utrzymaj się przecie.

Dyana. Nie odpowiesz mi pan wcale?...

Carlos. Podobniejszych dwu dusz nie ma!...
Na jednakim gruncie stoim.

Dyana. Jakto?

Carlos. Czyliż to nie cuda,
By dwie dusze szły tak zgodnie;
Jedne błędy, jedna złuda,
Ten sam upór śmieszny, zwodny
I jednego dnia poprawa!
W poniedziałek byłem chłodny,
Wtorek uczuć był początkiem,
Środa, czwartek przykrą męką.
Namyśliłem się przed piątkiem
W jednej chwili z sercem, ręką,
Idę błagać wzajemności!

Dyana (n. s.) Ha! zapragnął mój miłościł
(głośno) I milczałeś tak uparcie!..

Carlos. Bom się lękał, abyś serca
Nie wyśmiała w przykrym żarcie.

Dyana (n. s.) Czemuż wyznań raz nie skończy!

Carlos. Równie szczęśliśmy w wyborze,
Ciebie ślub z Bearnem łączy,
A ja, Dyano, do kościoła
Poprowadzę... Cintię...

Dyana. Boże!

Polilla (n. s.) Cukiereczku mój najśrodszy,
Gdzieś ty uczył się rozumu?...

Dyana (n. s.) Och! zabijają mnie te wieści!..

Zapytana co myśli o jego wyborze księżniczka, nie umiejąc pannaować nad sobą, nazywa Cintię dziewczyną brzydką, głupią i ordynarną a po wyjściu Carlosa złamana zupełnie woła:

Gdzież mój upór, dawna siła?
Co ten żar w mych piersiach znaczy?..
Ach i duma ustąpiła,
Miejsca w duszy dziś rozpaczy!..

Polilla (n. s.) Figa padła... otwórz usta
I jedz w zdrowiu, Don Carlosie.

Na domiar wszystkiego, Carlos zwiastuje słodką nowinę Bearnowi, który wraz z ojcem Dyany i całym dworem spieszy pełen szczęścia do nóg swęj pani, aby się dowiedzieć... że „Carlos skłamał.“ Doprowadzona do ostateczności Dyana, wyraźnie wszystkim oświadcza, że z tym tylko życie podzielić może

Kto wytrwały i rozumny,
Uratował serce chore,
Złamał upór Dyany dumnej.

W tę główną treść komedyi poeta wszczepił sporo epizodów pobocznych, silnie z główną akcją powiązanych, — a wszystkie sceny, ku jednemu dążąc celowi, składają się na wierne malowidło serca ludzkiego z przeróżnemi jego namiętnościami. Szczególne mistrzostwo przejawił poeta w uwydatnieniu tych zmian subtelnych, które się stopniowo pod wpływ uczucia w sercu dumnej bohaterki uwydatniały i w owęj walce męczącej, jaką toczyć musiał sam z sobą biedny Carlos, kłamiąc lodowatą obojętność, gdy miłość bezmierna całą jego istotę pochłonęła. Wziąwszy sam przedmiot z komedyi Lope de Vega Moreto zarówno w akcji, jak i w plastyce charakterów okazał się dramaturgiem i psychologiem na wskroś oryginalnym i głębokim. Przy niezmierniej prostocie planu i budowy przedstawionego utworu poeta umie uwagę widza utrzymać od początku do końca w napięciu nie słabnącém ani na chwilę, co już talentu autora wymowne daje świadectwo. Krytyka hiszpańska stawia „Desden con desden” tak wysoko, że między innemi Ochoa uważa tę komedię za najlepszą w języku hiszpańskim (la mejor comedia que posee nuestra lengua) za jeden z najcelniejszych klejnotów literatury (una de las mas preciosas joyas ¹⁾). „Princesse d'Elide” komedyja Mollera, osnuta niewolniczo w wielu miejscach na sztuce Moreta, jest w obec „Wzgardy za wzgardę” lichą parodią.

Wzorem tak zwanęj comedia de figuron, opartęj na karykaturze głównego bohatera, jest „Miły Don Diego,” który to tytuł, stał się frazesem przysłowiowym na określenie przesadnego o sobie

¹⁾ Coleccion de Piezas escogidas Paris 1840, III—63.

pojęcia. Lewek prowincjonalny przybywa do Madrytu dla zrobienia kariery małżeńskiej. Upojony tryumfami w małej mieścinie i przeświadczony, że dość mu raz się pokazać, aby zniewolić dla siebie wszystkie serca; od pierwszej chwili przybycia do stolicy postępuje z pychą nadętą i bezczelną. Wskutek tego staje się nieznośnym dla panny którą miał zaślubić, zraża boleśnie przyszłego teścia, a wreszcie powodowany próżnością szaloną wpada w sidła zastawione przez sługę jego rywala. Dowcipny gracioso przekonywa Diega, że wzbudził namiętność gwałtowną w pewnej hrabinie. Zarozumialec nie przeczuwając podejścia, spieszy do domu, w którym najwycyzajniejsza subretka bogato a pretensjonalnie wystrojona, z kretesem zawróciła mu głowę przesadnym szykiem, poczytywanym przez D. Diega w prostocie ducha za wykwintną manierę dworską. Mniemana dama, aby olśnić głupca, używała, mówiąc do niego, wyrażeń już to zupełnie bezsensownych, już to ironicznych, lub nawet obrażających, lecz zawsze pompatycznych, szumnych, górnolotnych. D. Diego, nie nierozumiejąc, a pragnąc jednak udawać że rozumie, wszystkie słowa damy bierze za pochlebne dlań objawy uznania i czułości, dla utrzymania się zaś w tym samym tonie daje odpowiedzi nadęte a bezmyślnością swoją uderzające. Wobec takich stosunków z subretką, ojciec panny oddaje jej rękę rywalowi D. Diega, który przekonał się niestety już za późno, że go na dudka wystrychnięto. Cały komizm tej farsy wyzyskał autor należycie, odtworząc z humorem niezaprzeczonym ów bezmiar próżności Don Diega, której złamać nie były wstanie żadne rady, żadne napomnienia i przestrogi. W serdecznych uwagach przyjaciela widzi on za wiesz, w słowach pogardy i gniewu narzeczonej odkrywa tylko wybuch zazdrości niehamowanej; jednym słowem, wszystko coby mu za wskazówkę do poprawy służyć powinno, potęguje tylko jego zarozumiałość i pewność siebie.

Z pośród komedii intryg Moreta najwyżej stoi wyborna farsa p. t.: „Trampa adelante.” Młody, zacny, lecz biedny chłopiec D. Juan de Lara rozbudził w bogatej wdowie gwałtowną miłość, której podzielać nie mógł, zajęty inną niewiastą. Sprytny famulus D. Juana postanowił skorzystać z sentymentu wdówki, dla wyprowadzenia swego chlebodawcy z ciężkich warunków materialnych. Jakoż w najgłębszej tajemnicy przed swym panem tak zręcznie oddziaływał na wdówkę, że ta o wzajemności kochanka przeświadczona, oddała swą kasę do usług intryganta, który za wyłudzone w ten sposób złoto rozwinął zbytek w mieszkaniu swojego pana w mawiając w niego, że to wszystko zawdzięcza uprzejmości kupców i rzemieślników. Ale potożenie graciosa było nie do zazdrości. Z jednej strony musiał co raz nowe stwarzać przeszkody, aby otumanić wdowę że widzenie się jej z Don Juanem jest niemożliwe, z drugiej znow trzeba było rozpraszając nieustannie podejrzewania D. Juana i jego kochanki rzeczywistój, która wiedząc o ubóstwie Lary musiała się dziwić nagłej przemianie warunków jego życia. Wszystko to daje autorowi sposobność do

przedstawienia całego szeregu scen żywych, dowcipnych i zabawnych.

W komedii p. t. „Rzecz niemożliwa” osnutęj na pomysłach Lope de Vegi, autor dowiesć się stara, że najskrupulatniejsza nawet opieka nad dziewczyną nie jest w stanie ustrzedz jęj od romansu, jeżeli panna sama go pragnie. Don Feliks, będąc innego zdania, założył się, że nikt nie zdoła zawiązać stosunków z jego siostrą i, pomimo ostrożności nadzwyczajnych, zakład przegrał. Komedya ta jest jeszcze ciekawa z tego względu, że w nięj autor przez usta jednego z bohaterów wygłosił dytyramb ku uczczeniu Filipa IV za jego nadzwyczajną hojność dla poetów, uczonych i artystów.

Jedną z najpopularniejszych na scenie hiszpańskiej sztuk Moreta był dramat historyczny „El rico hombre de Alcala, o rey valiente i justiciero.” Do czasów Karola V, który ustanowił grandów hiszpańskich, tytuł „rico hombre” oznaczał najwyższej klasy szlachcica i taki to właśnie magnat jest bohaterem dramatu (osnutego na treści zaczerpniętęj z utworu Lope de Vegi pod tytułem „El Jufanzon de Ilescas.”) królem zaś wprowadzonym do tęg sztuki jest don Pedro, po wielokroć przez dramaturgów hispańskich przedstawiany. Oto w skróceniu treść dramatu, będącego ciekawym wizerunkiem obyczajów i stanu społecznego owej epoki.

W małej mieścinnie Alkala mieszka pośród obszernych posiadłości, po długim szeregu przodków odziedziczonych, don Tello Garcia, rico hombre. Z bogatego pałacu swego rządzi on jak dziki despot, gnębiąc bezkarnie wszystkich mieszkańców okolicznych. Przywykły do bezwzględnej pokory i uległości don Tello, idąc tylko za instynktem pychy nieokiełznanęj, nie miał nigdy na względie uczuć szlachetnych, lub jakichkolwiek idei humanitarnych. Uwiodłszy obietnicą małżeństwa donnę Leonorę de Guewara, dziewicę szlachetną, lecz biedną, nie tylko odpycha ze wstrętem ofiarę, która się do owej obietnicy odwołała, lecz nawet zmusza ją do współnictwa w nowęj zbrodni, będącęj najkrwawszą zniewagą dla Leonory. Szlachcic don Rodrygo żeni się z Donną Maryą, która nadzwyczajną urodą swoją rozbudziła w don Tello występłą żądzę. Pod pozorem uczczenia don Rodryga, don Tello narzucił mu się na ojca ślubnego, a do odegrania roli matki ślubnęj zmusił nieszczęsną Leonorę. Podczas gdy młodzi małżonkowie oddają się całkiem radości i gdy don Rodryg dziękuje wiarołomnemu protektorowi swemu za zaszczyt jakim obdarzył go raczył, zamaskowani pachotkowie Tella chwytają pannę młodą i pomimo jęj krzyków rozpacznych uprowadzają. Napróżno Rodryg chce się bronić, powalony i rozbrojony omal nie stracił życia i z walki to tylko wyniósł przekonanie, że wrogiem jego jest don Tello. Zrozpaczony, w bezsilności swojęj pieni się i miota, nie wiedząc jak sobie radzić, a obecna rozpacz jego Leonora pociesza go, do obmyślenia zemsty pobudzając. Skoro właśnie postanowili oboje złożyć swą skargę u stopni tronu, w tęg samęj chwili spostrzegają w dali jakichś jeźdźców, pędzących ku nim jak wichur. Był to król, ścigający brata swego hra-

biego Trastamarę, który się zbuntował przeciw niemu. Już monarcha miał dosięgnąć wroga, gdy wyczerpany z sił rumak padł bez życia. Rodryg nie podejrzewając w jeźdźcu Don Pedra, którego nigdy nie widział, biegnie z pomocą.

Król. Dziękuję panu. Gdzie jesteśmy? ¹⁾

Rodryg. W Alcala.

Król. Daleko do miasta?

Rodryg. Pół mili.

Król. Kto właścicielem zamku?

Rodryg. Don Tello, magnat z Alcali, którego potęgą zapewne jest panu znana.

Król. Jego potęga?

Rodryg. Król jéj nie zrówna.

Król. Nie zrówna?

Rodryg. Niech pan uwierzy, bo o tój potędze świadczy groza, którą wszystkich pan ten przejmuję.

Król. Nic nigdy o nim nie słyzałem.

Rodryg. Musisz pan być w Kastylji cudzoziemcem.

Król. Nie, jam syn tój ziemi. Lecz ci, którzy tak jak ja służą królowi i patrzą nań z blizka, znają tylko jego potęgę.

Rodryg. Więc pan jesteś przy królu, ach, co za szczęście!

Król. Spiesząc to za nim straciłem konia. Pochwały, które pan oddajesz don Tellowi, skłaniają mię do przypuszczenia, że jesteś jednym ze sług jego.

Rodryg. Bynajmniej, pragnę zemsty za zniewagę, którą mi wyrządził, a w tym względzie tylko król jeden pomódz mi może. Gdybyś pan raczył wyjednać mi u niego posłuchanie, byłbyś zbawcą moim.

Król. Kto jest ta dama?

Leonora. Nieszczęśliwa, która także opłakuje krzywdy tego tyrana.

Król. Czyż niepodobna uzyskać sprawiedliwości?

Leonora. W niebie—tak, ale na ziemi, sądzę, że nie mógłby go sam król ukarać.

Król (*n. s.*). Za życia don Pedra tak się w Kastylji wyrażają! Czyżbym do tego stopnia nie wiedział, co się dzieje w mojem państwie? (*głośno*) I dlaczegoż sam król nie mógłby tego dokazać?

Służąca Leonory. Bo sam jest okrutny i krwiożerczy, zamiast więc czynić sprawiedliwość, będzie się cieszył, że go tak poddani naśladowują.

Król. Tłum ciemny nie umie odróżniać sprawiedliwości od okrucieństwa i mieni zbrodnią przywrócenie prawu czci mu należnej.

¹⁾ Comedia famosa El Valiente justiciero y el rico-hombre de Alcala do don Augustin Moreto Valencia, 1773, p. 5.

Leonora, ośmielona uprzejmością nieznanego, który jęj przyrzekł poparcie u króla, zdecydowała się nie bez przykrości opowiedzieć swą krzywdę, poczem Rodryg także swoją niedolę opowiedział.

Król (*n. s.*). I ja nie wiem o istnieniu w Kastyli takich zbrodniarzóv! Zwiąż mnie okrutnym, ponieważ ścigam ich występki. (*głośno*) Nie masz więc sprawiedliwości w Alcalli, czyż sędzia, lub komisarz policyjny, nie powinien go być aresztować? Cóż to za człowiek? Muszę go widzieć... czy pani mieszka w jego domu?

Leonora. Tak panie, ale wątpię, czy mi go teraz otworzą.

Król. Staraj się pani tam przybyć, będę wieczorem.

Rodryg. Ja chcę mówić z królem.

Król. Spiesz więc do Madrytu, a ja ci wyjednam posłuchanie.

Tymczasem pachotkowie Tella przynieśli do jego domu nieszczęsną Maryę, która, odpychając ze wstrętem wszystkie pieszczoty, obietnice i przysięgi Tella, pragnie tylko wrócić do małżonka. Gdy oznajmiono Tellowi, że jakiś podróży mówić z nim pragnie „niech wejdzie natychmiast,“ — odparł magnat: „drzwi moje otwarte dla wszystkich, zwłaszcza téż dzisiaj, gdy pragnę licznych mieć świadków mego szczęścia.“ Po wprowadzeniu króla rozpoczęła się jedna z najpiękniejszych scen dramatu.

Tello. Piękna postawa!

Król (*zachowując incognito*). Pozwol pan ucałować swą rękę.

Tello. Włóż pan kapelusz.

Król. Właśnie miałem to zrobić. Nigdy nie będę mówił z odkrytą głową do człowieka, który siedząc rozmawia ze mną.

Tello. Héj, krzesła!

Król. Jeszcze!... niech i tak będzie.

Tello. Mam tylko dwa fotele, jeden dla mojej małżonki ukochanej (*ukazując Maryę*), drugi dla siebie. Niech to pana wcale nie obraża. To już bardzo wiele, jeżeli ludzie mego stanowiska królowi swój fotel ofiarują.

Król. Widzę, że to oznaka wielkości pańskiej i jam z tego co mi przysługuje zadowolniony.

Tello. Jakkolwiek wyglądasz na szlachcica, nie wiem wszakże, jaki zajmujesz pan stopień pośród szlachty?

Król. Jestem Aguillera.

Tello. Znam to nazwisko, Aguillerowie byli giermkami mego domu. Jaki cel pana podróży?

Król. Spieszę na dwór z powodu procesu.

Tello. Gdy sobie można własną szpadą wymierzyć sprawiedliwość, czy warto wyrzucać pieniądze na procesy?

Król. Jestem posłuszny prawu. W téj chwili król jest w Madrycie.

Tello. Zapewne przyprowadził z sobą ku zbudowaniu nas swoją Padillę ukochaną.

Król (*podnosząc się*). Swoję małżonkę, a pańską królowę. Ktokolwiekby mówił o nim bez czci jemu należnej, moja szpada...

Tello. Dobrze, bardzo dobrze, widzę, że zacny Aguilera jest poddanym króla najwierniejszym.

Król. Chętnie się z tego.

Tello. Siadaj pan, mój dobry Aguilera. A więc król jest w Madrycie?

Król. Skoro pragniesz go zobaczyć, masz czas po temu.

Tello. Jeśli król sądzi, że mogę mu być w czémkolwiek użytecznym, dom mój otworem dlań stoi; królowie, którzy w nim zatrzymać się chcieli, byli zawsze jak krewni przyjmowani. Pamiętam, że te komnaty przyjmowały nieraz Alfonsa Wielkiego... Tamten był królem!... lecz sądzićby można, że syn jego pragnie tylko sławne dziedzictwo zaprzepaścić.

Król. Jeszcze raz pomyśl pan o tém, że mówisz o królu Don Pedrze, który jest twoim monarchą i który choćby nawet nim nie był, tak mało ma cierpliwości, iż wiedząc o słowach twoich, prędkoby cię zniewolił do milczenia. (*Wstaje z gniewem, a przerażony sługa wzywa pomocy*).

Tello. Milczeć, czy sądzisz, że jabym nie wystarczył do ukarania jego śmiałości.

Król. Nie wiem.

Tello. Pobudka była uczciwa, gorliwość dla króla uniosła go, niech mu nic złego nie czynią. Bardzo kochasz pan króla?

Król. To obowiązek. Przebaczniesieniu, płynącemu z gorliwości człowieka oddanego sercem królowi.

Tello. I jam jest poddany króla, a dom mój zawsze chętnie się z tego, że nikomu w lojalnym poświęceniu nie ustępował, z tego też względu nie razi mię wcale twój postępek, podaj mi rękę.

Król. Szlachcic powinien zawsze mówić o królu z uszanowaniem, bo źli, czy dobrzy, przedstawiając na ziemi bóstwo, przeznaczeni są w niezbadanych wyrokach Opatrzności jedni do tego, aby nas karać, inni ażeby wynagradzać. Ale dość o tém. Tyle słyszałem o panu, że przejeżdżając tędy chciałem poznać człowieka otoczonego miłością wyjątkową.

Tello. To pewna, że jestem w Alcali bardzo kochany.

Król. Mówią, że tu królowi nikt czci podobnej nie okazuje?

Tello. Znają go tu tylko z pieczęci i z podpisu, a jeżeli opatrzone niemi rozkazy bywają kiedy wykonywane, to tylko za mojem przyzwoleniem.

Król (*n. s.*). Nieba, czy kto widział bezwstyd podobny!

W tej chwili właśnie weszła Leonora, błagając poraż ostatni o dotrzymanie danego słowa, lecz dumny Tello urąga jej naiwności i oświadcza tylko, że gotów ją szczerze za utracony honor wynagrodzić. Don Pedro, hamując swe oburzenie, udał, że propozycję Tella uważa za sprawiedliwą, a biedna Leonora, rozczarowana do swe-

go protektora, opuszcza zamek z rozpaczą, oświadczając, że spieszy do króla.

Tello. I owszem. Co do mnie—to miałem zawsze to przekonanie, że kto się nie trwoży szumnym tytułem królów, szpady ich lękać się nie potrzebuje, bo nie straszna.

Król. Mówią jednak, że Don Pedro jest mężny.

Tello. Bo zabił kapłana i śpiewaka.

Król. Tacyż to ludzie jak i inni.

Tello. Ale nie *ricos hombres*. Dzielny Aguilero, jeżeli masz noc przepędzić w Alcali, pozostań u mnie pod jednym wszakże warunkiem.

Król. Jakim?...

Tello. Nie przyjmuję nikogo przy moim stole.

Król. Toby mi nie przeszkadzało korzystać z gościnności pańskiej, gdybym nie musiał spieszyć do Madrytu.

Przybywszy do stolicy, don Pedro odbywa przedewszystkiemi naradę z ulubieńcem swoim don Gutiere, w przedmiocie położenia kresu zamieszaniom i nieporządkom, wywoływanym przez trzech braci królewskich, a następnie, pamiętając dobrze o Alcali, wyprawia gońców po don Tella, poczem udziela różnym osobom posłuchania. Między innymi wprowadzono także na salę i don Rodryga, który osłupiał poznawszy w mniemanym sędzie królewskim samego króla.

Nie możemy powstrzymać się od przytoczenia rozmowy króla z Rodrygiem, stanowiącej znakomitą charakterystykę don Pedra, jako rycerza. Gdy Rodryg wypowiedział skargę o porwanie swiej narzeczonej, król rzekł do niego:

— Skoro ty się na to zgodziłeś i ja się zgadzam.

— Rozbrojono mnie—byłem bezsilny.

— Więc odbierając ci szpadę odebrano także i niewiastę, którą odszukać mogłeś?

— Nie jestem w stanie pomścić się na człowieku takiej potęgi...

— Więc przychodzisz ze skargą nie o zniewagę, którą ci wyrządzono, lecz o tchórzostwo własne?

— Lękam się nie osoby jego, najjaśniejszy panie, lecz potęgi.

— A gdy ten człowiek jest sam jeden, cóż znaczy jego potęga?

— Gdy przychodzę błagać o sprawiedliwość, każesz mi królu toczyć z nim walkę?!

— Ja nie chcę, żebyście teraz walczyli z sobą, robię tylko skromną uwagę, że ta walka w swoim czasie odbyć się była powinna. Nie można robić żadnych zarzutów człowiekowi, broniącemu małżonki swojej. Ulegając w takich zapasach, byłbyś może daleko więcej obrażony niż obecnie, ale twój honor byłby w porządku. W obecnym stanie tej sprawy mogę niewątpliwie w poczuciu sprawiedliwości zmusić Tella, aby ci oddał twoją żonę, lecz odzyskać honoru twego nie jestem w stanie.

— A więc sam go odzyskać powinienem.

— Strzeż się kary za spełnienie tego w obecnej chwili, czego nie byłbym wcale potępił, gdyby się stało w swoim czasie. Odejdź, za zniewagę, której doświadczyłeś, sprawiedliwość będzie ci wymierzona.

— Lecz skoro mój honor jest dotknięty, czy nie mógłbym pomścić go naprzód?...

— Tak i nie.

— Co mam wybrać?

— Don Pedro mówi ci—tak, monarcha—nie.

Po wyjściu Rodryga wprowadzono Leonorę, zdumioną również poznaniem króla w człowieku, który uchodził za dworzanina. Przybyła opowiada królowi o tych wszystkich gwałtach i zniewagach, których doświadczyła od chwili, gdy zamiar jej pójścia ze skargą do Maryty stał się wiadomym don Tellowi. Zaledwie król przyrzekł Leonorze bardzo szybki wymiar sprawiedliwości, przybył don Tello w towarzystwie świty nader licznnej, która przy wejściu jego do komnat króla musiała, pomimo nalegań don Tella, zostać za drzwiami. Po wejściu don Tella kazano mu czekać na wezwanie, co tak magnata oburzyło, że natychmiast wyjść postanowił, ale drzwi za nim były zamknięte.

Wszystko to, oraz spotkanie Leonory, wychodzącej z gabinetu króla, zachwiało jego odwagę, którą wkrótce utracił najzupełniej, skoro w don Pedrze poznał mniemanego Aguilere. Don Pedro wierny planowi swemu, udając, że nie spostrzega przybyłego, śledzi wzrokiem leżące przed nim depesze. Don Tello zbliża się trwożliwie i już chce paść do nóg królowi, lecz ten powściągnął go wzrokiem i czytał dalej. Po jakiejś chwili don Pedro pyta o nazwisko i nie czekając wcale odpowiedzi rozpoczyna rozmowę z jednym z dworzan. Rico hombre chciał się oddalić.

Król. Zostań.

Tello. Najjaśniejszy panie, pozwól... żebym mógł... błagam o łaskę...

Król. Jakim sposobem człowiek, w którym nie budzę żadnej trwogi, tak struchlał na sam mój widok.

Tello. Nie struchlałem.

Król. Obawiam się, żeby to wkrótce nie nastąpiło. Pójdź bliżej.

Tello. Najjaśniejszy panie, oto jestem u nóg twoich... upuściłeś królu rękawiczkę.

Król. Co mówisz?

Tello. Że przybyłem...

Król. Czyż ja nie wiem?

Tello. Jeśli mam uważać za pomyślną wróżbę, że gdym całował twą rękę, upuściłeś swoją rękawicę, to...

Król. Czemu mi jej nie zwracasz?

Tello. Oto jest.

Król. Jak na człowieka tak dumnego, jesteś zanadto oniesmielony. Co to jest?..

Tello. Rękawiczka twoja. (*Straciwszy przytomność podaje królowi swój kapelusz zamiast rękawiczki, którą podniósł*).

Król. Co znaczy ten kapelusz, który mi dajesz. Przyjmę go, ale wraz z głową. Więc to ty jesteś, który w domu własnym zaledwie raczysz samemu królowi wskazać krzesło? Tyś ów *rico hombre* z Alcali, który się mienisz być potężniejszym od króla Kastylii, który mniemasz, żeś wyższy ponad wszystkie prawa prócz Boskiego, jak gdyby człowiek nie uznający praw ludzkich, nie gwałcił także i praw Boga? Więc to ty, który, podług słów twoich, dzieliś władzę wraz ze mną, nie pozwalając bez sankcyi swojej wykonywać rozkazów, podpisem moim zaopatrzonych? Więc to ty nie znasz innego prawa, prócz swęj rozkoszy i gwoli jedynie zaspokojeniu swych kaprysów poświęcasz bez litości honor żon i dziewic, które miały nieszczęście podobać się tobie? Dowiedz się, gdy nie wiesz o tém, że aby ukarać takie wybryki, król nie potrzebuje nawet odwagi osobistęj; że prawo karze za niego bez gniewu i bez gwałtów; że zuchwałstwo zrodni nie może się ostać w obec potęgi sprawiedliwości. Odwaga i podstęp są jednako bezsilne w obec króla, którego miecz dosięga prędzej zbrodniarzów zanim dostrzegą, iż z pochwy został wyjęty. Dowiedz się daléj, że jestem nietylko twoim królem, lecz także królem don Pedrem; że gdybym mógł pozbyć się mojego majestatu, który cię w téj chwili trzyma struchlałego u nóg królewskich, sama tylko osoba moja jużby na ciebie tak samo zupełnie oddziałała, jak w téj chwili działa godność monarsza. Lecz ponieważ to nie zależy odemnie, ponieważ ukarać cię muszę ręką prawa, chcę, rozstając się z tobą, dać ci jeszcze pamiątką przyjacielską, której nigdy chyba nie zapomnisz... Przyjmiń to na rachunek tego na co tak skrupulatnie zasłużyłeś (*chwytą go za głowę i kilkakrotnie o mur nią uderza*).

Gdy tak Don Tello ugina się pod ciężarem trwogi, wstydu i oburzenia, wchodzi Guttierre w towarzystwie Leonory i Donny Maryi i oznajmia Tellowi, że odebrawszy rozkaz zbadania skarg przeciw niemu, żąda jego objaśnień. Magnat zarzutom nie przeczy, tylko w poczuciu pychy bezgranicznęj pojąć nie może, jakim sposobem taki jak on człowiek z tak marnych powodów ma być karany.

W téj właśnie chwili wypadek sprowadził don Rodryga, który od czasu rozmowy z królem, zemstą oddychał. Spostrzegłszy Tella rzucił się na niego ze szpadą w rękę, a na szczęk broni, wybiegł don Pedro i rozkazał aresztować zapaśników, którzy dobywając szpady w pałacu króla, popełnili zbrodnię obrazy majestatu.

Rodryg. Nie powiedziałeś, najjaśniejszy panie, że mogłem pomścić swój honor, nie ściągając na siebie żadnej winy?

Król. Ale nie tu, przez postępek, który uwłacza mojej powadze i czci należnej majestatowi.. Zresztą radę ci dawał don Pedro a do więzienia posyła króll..

Maryja. Łaski dla mego męża!

Król. Już nim nie będzie, radzę pani poszukać sobie innego, albo też wstąpić do klasztoru.

Tymczasem król przed uwięzieniem Tella żądał od niego dotrzymania obietnicy Leonorze, lecz i tym razem *rico hombre* gotów był oddać część mienia raczej niż rękę. Dopiero, gdy król oświadczył, że nazajutrz głowa jego spadnie na szafocie, don Tello zmięknął nareszcie i wprzedniu śmierci przyrzekł Leonorze nagrodzić wyrządzoną jej krzywdę. Kiedy Tello oczekiwał z rezygnacją chwili zgonu, Don Pedro, nie poprzestając na tém, że jako król zwyciężył i ukarał dumę magnata, postanawia jako zwykły śmiertelnik i rycerz przekonać Tella o swęj wyższości. Jakoż, wśród nocy, owinięty płaszczem wchodzi do więzienia i oznajmiając zdumionemu Tellowi, że jest wolny, każe mu natychmiast iść za sobą.

— Nie trać ani chwili—mówił król zmienionym głosem—jeżeli nie chcesz, ażeby się spełnił barbarzyński rozkaz monarchy.

— Musiał użyć całej potęgi swojej, aby mię do tego stanu doprowadzić. Chociażby był nawet najstraszniejszym, chciałbym go spotkać sam na sam i w miejscu, gdzieby majestat królewski nie stawiał żadnej zapory między nami.

— Wiem, żeś odważny i dla tego pragnę cię ocalić. Otóż jesteśmy w parku pałacowym, całkiem bezpieczni.

— Oddalmy się prędkiej od tych murów, żeby nas król nie dostrzegł.

— Obawiasz się go?

— Gdyby chodziło tylko o mnie i o niego, gdybym go spotkał tu i sam na sam obawa nie mnieby prawdopodobnie przejmowała, lecz władza królewska jest przeciwnikiem tak silnym, że się z nią odwaga osobista parać nie może.

— Ktoś zbliża się ku nam...

— Nie mam szpady, nie mogę więc sprawdzić kto idzie.

— Weź moje, a ja pójdę poszukać innej, którą przy siodle zostawiłem, nie odchodź z tąd.

Po chwili król powrócił lecz z innej strony, a zbliżając się ku don Tellowi, który nie poznał swego wybawcy, zapytał co robi w parku pośród nocy i jakie jest jego nazwisko? Po zamianie kilku słów wyzywających, rozpoczęła się walka na szpady, zakończona rozbrojeniem Tella.

Król. Podnieś swą szpadę.

Tello. Nie mogę, ręka mi zdrętwiała.

Król. Lękasz się.

Tello. Nie, zazdroszczę ci, żeś mię zwyciężył. Kto jesteś człteku zuchwały? Nie wiesz nawet, jaką okryłeś się sławą.

Król. Nie znasz mnie?

Tello. Nie.

Król. Przyznajesz więc, że jedynie osoba moja, nie stanowisko przezemnie zajmowane zwyciężyło twą dumę.

Gdy w tej chwili giermek wszedłszy z pochodnią i poznawszy króla zawołał „Boże co ja widzę!“ król odpowiedział: Rico hombre z Alcali, u stóp króla don Pedra.

Tello. To ty, najjaśniejszy panie?

Król. Tak, ziszczone pragnienia twoje, wszak chciałeś spotkać się ze mną sam na sam. Wiesz teraz, że jako rycerz mogłem dokonać tego własną szpadą, co jako król zdziałatem przez majestat do stanowiska mego przywiązany.

Tello. Przyznaję.

Król. A teraz gdyś się w domu twoim zwyciężył moją skromnością, w pałacu swoim sprawiedliwością, a tu odwagą osobistą, jesteś wolny i wyjeżdżaj natychmiast z mego państwa, gdyż schwytyany w jego granicach, zginiesz nieodwołalnie. Tu, gdzieś na chwilę złożył swój majestat mogę ci przebaczyć jeszcze, lecz gdy powrócę do charakteru króla i praw obrońcy, przebaczenie to będzie niemożliwe!...

Jeżeli dramat ten świadczy, że autor pomysł do swych utworów brał z kądem się dało, jeżeli oprócz komedii wzmiątkowanej Lope de Vega i inna jeszcze tegoż poety „El mejor alcalde el rey“ (Najlepszym sędzią—król) była Morecie wzorem, to z drugiej strony przyznać potrzeba, że pod względem plastyki charakterów, naśladowca zupełnie przesięgnął swego mistrza. Moreto bardzo chętnie podejmował w swych pracach zapomniane komedye poprzedników, ale też wychodziły one z pod jego pióra w szacie zupełnie oryginalnej. Mniej pomysłowy od „Feniksa Gieniuszów“ i Calderona posiadał Moreto w wyższym stopniu dar spostrzegawczy, analityczny i architektoniczną zdolność wcielania pomysłów cudzych czy własnych w kształty proporcjonalne, prawidłowe i wyraziste. Jego intrygi są mniej skomplikowane, ale się też zawiązują i rozwiązują naturalniej. Styl znacznie prostszy, a jakkolwiek nie wolny jeszcze od wpływów szkoły, daleki jest jednak od emfazy i tonów jaskrawych księcia poetów. Ówczesni dramaturgowie hiszpańscy z wyjątkiem jednego Alarcona, nie umieli odtwarzać charakterów. Niezrównani w malowaniu uczuć bohaterskich i religijnych lub też wybuchów zazdrości, rzadko zstępowali w głębinę duszy dla odtworzenia tajnych drgnień serca i subtelniejszych rysów namiętności. Te rysy właśnie odtwarza Moreto jako filozof i jak artysta i tym sposobem podług słów krytyki francuskiej „przyczynił się do wprowadzenia Francji na drogę komedii wyższej;“ był on rzeczywiście „veritable anectre de Molière, moins simple et moins grand, mais d'un génie plus varié“¹⁾.

W szeregu zdolniejszych pisarzy dramatycznych można jeszcze postawić trzech autorów, których dzieła noszą wprawdzie na sobie piętno zwyrodnienia artystycznego, posiadają wszelako tu i owdzie

1) F. Loise Histoire de la poesie espagnole, p. 264.

zalety, przypominające działalność mistrzów, z epoki świeżo ubiegłej. Chronologicznie pierwszym z tej trójcy, jest don Juan de Matos Fragoso, zmarły w Madrycie w roku 1692 w bardzo późnym już wieku. Oddawszy się wyłącznie poezji, a w szczególności dramatycznej, zdobył sobie popularność w tym kierunku, należał bowiem do najplodniejszych, niezmordowanych dramaturgów tej epoki i był członkiem towarzystwa do pisania dzieł dramatycznych, przypisywanego Morecie. Tragoso, przeważnie naśladowując poprzedników, napisał sam przeszło sześćdziesiąt komedii i kilkanaście w spółce z innymi autorami. Większa część tych utworów świadczy o upadku smaku artystycznego owej epoki, spotykamy w nich bowiem treść pełną dziwactw i bezmyślności, charaktery pobawione wszelkiej prawdy, sytuacje ciemne i zawile. Jednakże pomiędzy utworami Fragosa znajdujemy kilka zbudowanych prawidłowo, a nawet parę całkiem udatnych. Na takie wyróżnienie zasługują komedye: „Con amor no hay amistad,“ „Ver y creer,“ „El galan de su mujer,“ „La dicha por el desprecio,“ a nadewszystko „El sabio en su retiro y villano en su rincón (Mędrzec w swoim zacisku i wieśniak w swoim zakątku), który to utwór śmiało postawić można obok lepszych komedyi Moreta, lub Rojas a choć nie brak w nim reminiscencyi bardzo widocznych z „Garcii del Castanar“ jak świadczy o tém wyborna scena pomiędzy królem a Juanem, miłującym nad wszystko spokój i niezależność życia wiejskiego.

Drugim z pisarzy wzmiankowanych jest *Don Juan de la Hoz y Mota*, urodzony w Madrycie w roku 1620, zmarły w końcu siedmnanastego wieku. Został on kilkanaście komedyi, z których na wzmiankę zasługują: „El Montanes,“ Juan Pascual“ primer asistente de Sevilla“ i „El buen Juez no tiene patria o el villano del Danubio,“ a przedewszystkiem, „El castigo de la miseria“ (Kara za skąpstwo), której głównie zawdzięcza autor większy rozgłos. Jest to komedya osnuta na treści zapożyczonej z utworu słynnej nowelistki hiszpańskiej Donny Maryi de Zayas. W osobie głównego bohatera tej sztuki przedstawił autor harpagona, który zebrawszy majątek za pomocą sknerstwa najbrudniejszego wpada w pułapkę, przez chytrą awanturnicę zastawioną. Główne w tej komedyi charaktery nakreślone z prawdą i siłą. Oto jak Don Alonzo, jeden z sąsiadów awanturnicy Izdory, przedstawia jej wizerunek skąpca: „Mieszka w komórcze, w obec której cęła świętego Aleksego wydałaby się pałacem. Jego obiad składa się z takiej obfitości potraw, że najskrupulatniejszemu anachorecie na kolacyą by nawet nie wystarczyły. A jak on zdobywa te potrawy! Udając zamiar nabycia znacznych zapasów chodzi od składu do składu, pyta o ceny i żąda próbek jarzyn najrozmaitszych, poczem wraca do siebie, mając kieszenie wypchane ryżem, grochem, soczewicą a nawet pasternakiem. Podczas pełni księżyca obywa się całkiem bez światła, gdy zaś noce są ciemne używa świec zabranych z powozów a pali je tylko wówczas, gdy się rozbiera,

co robi z szybkością zadziwiającą. Dla oszczędności bowiem, już na ulicy zaczyna rozpinąć szelki, a na schodach zdejmuje trzewiki i pończochy, a nawet rozpiną resztę ubrania, tak, że wracając może odrazu wejść do łóżka. Nigdy, rzecz prosta, nie kupuje wina, a jeśli czasem weźmie go ochota napić się trochę tego nektaru, idzie do kościoła, kilka razy z rzędu służy do mszy nader pobożnie, a zanim wnieście ampulkę z winem, odleje z niej troszkę do fiaszeczki w tym celu przygotowanej, która także pochłania i resztki, jeśli się kiedy pozostaną. Miewa czasami służącego, na warunkach arcyszczególnych; nie daje mu bowiem stałej płacy, lecz za każdą robotę nagradza oddzielnie, podług taryfy z góry ułożonej; grosz (un ochavo) za postanie łóżka, tyleż za mycie statków, za zamiatanie i t. d. A ponieważ stara się zajęcia owe jak najbardziej ograniczać, przeto zapłata dzienna dochodzi najwyżej do ośmiu groszy¹⁾.

Ujemną stroną utworów tego pisarza jest przedewszystkiēm żywiol koniczny, grzeszący zwykle ordynarną, płaską trywialnością. Ostatnim wreszcie komedyopisarzem, przypominającym lepsze czasy sceny hiszpańskiej, był Don Antonio de Solis y Rivadeneira, urodzony w Placencji roku 1610. Oddany pierwotnie nauce prawa przerzucił się szybko do poezji i już w 17-ym roku napisał pierwszą komedię „Amor y obligacion,” przyjętą z wielkiēm uznaniem. Protęgowany zrazu przez hrabiego Oropesa, był późniēj sekretarzem Filipa IV i z polecenia tego monarchy pisał komedye, przeznaczone do przedstawienia na dworze, podczas rozmaitych uroczystości. Po śmierci Filipa Solis mianowany został kronikarzem Indji (chronista mayor de las Indias), i na tem stanowisku napisał słynne dzieło pod tytułem: „Historya zdobycia Meksyku“ (Historia de la Conquista de Mejico) uważane słusznie za klejnot literacki owēj epoki. Będąc u szczytu sławy, jako mąż stanu, historyk i poeta, Solis postanowił nagle wyrzec się świata i mając lat pięćdziesiąt siedem, został księdzem zrywając raz na zawsze z poezyą i z teatrem, tak że nawet rozpoczętęj komedyi pod tytułem: „Amor es arte de amar“ nie dokończył. Umarł w roku 1686, a niewielki zbiór jego komedyi wyszedł po raz pierwszy w Madrycie, w rok po śmierci autora, a następnie w roku 1716.

Ze wszystkich komedyopisarzów hiszpańskich, Solis po Lope de Vega i Calderonie był poza granicami swego kraju najwięcej znany. Głównie, jak przypuszczać trzeba, z tēj przyczyny, że sławę jego, jako historyka, łączono zawsze z działalnością Solisa teatralną. Tymczasem na komedych tego pisarza znać już zupełny prawie upadek sztuki, pomimo, że niektóre z nich o talencie autora wcale dobre dają świadectwo. Za najlepszą komedią tego pisarza uchodzi zwykle „Miłość modna“ (El amor al uso). Jest to zjadliwa satyra przeciwko ówczesnemu społeczeństwu, które pod płaszczykiem gorącej niby miłości zaspakaja tylko mizerne względy interesów materyalnych, próżności, nudy lub

¹⁾ Ochoa colleccion de piezas escogidas Paris, 1840 IV—5.

galanterji. Komedia ta będąca ciekawym wizerunkiem ówczesnych obyczajów, znalazła naśladowcę w Tomaszu Corneillu, który ją pod tytułem „L'amour à la mode“ przeniósł na scenę paryżką. W komedyi p. t.: „Un Bobo hace ciento“ (Głupiec robi stu), chciał autor wykazać, że niedorzeczności człowieka pozbawionego rozumu, taktu i miary mogą paralizować projekty wielu osób inteligentnych i doprowadzić je do sytuacji prawie bez wyjścia. Do lepszych utworów Solisa należą jeszcze „La Gitanilla de Madrid“ (Cyganka z Madrytu), opowiadająca dzieje romantyczne dwojga kochanków, oraz „El doctor Carlino“, w którym chciał autor wychłostać lekarzów, oddanych tylko intrygom miłosnym zamiast nauce.

Jeżeli komedye „Płaszczka i szpady“ i w ogóle utwory komiczne Solisa nie są bez pewnej wartości, to dramaty bohaterskie tego pisarza, jak: „Euridica y Orfeo“, „Tryunfos de amor y fortuna“, „El Alcazar del secreto“ i inne są utworami bez żadnej wartości literackiej.

Pośród pisarzy, którzy najbardziej przyczynili się do zaciemnienia i sfalszowania charakterów komedyi złotego wieku, pierwsze miejsce zajmuje Don Francisco de Babeas Candamo, a to przez pewien talent, popularność prac swoich i względy, które posiadał w sferach najwyższych. Pisarz ten urodzony w r. 1662, wysoki urzędnik przy boku Karola II-go, napisał przeszło dwadzieścia komedyi, autosów i zarzueli, doprowadzając w nich modny w téj epoce kulturalizm gongorystów do idiotyzmu. To téż popularność Candama zdaje się być następstwem nie jego komedyi, choćby nawet i takich jak: „El esclavo en grillos de oro“ (Niewolnik w kajdanach złotych), „Por su rey y por su dama“, „El Austria en Jerusalem“ i „El Duelo contra su dama“, ale zdobył ją autor przez rozpowszechnienie tak zwanych „Fiestas de zarzuela“, to jest uroczystości teatralnych, podczas których przedstawiano komedye mitologiczne ze śpiewami, zwane zarzuela, od miejsca na którym były grane poraz pierwszy, położonego tuż przy Pardo a przeznaczonego na rozrywki królów (Sitio de recreo de los reyes). Od Candama począwszy, teatr hiszpański szedł już gwałtownie do upadku.

Pierwszego listopada 1700 roku wstąpił do grobu nieszczęśliwy monarcha, znany w historii pod imieniem Carlos II-gi el hechizado, pozostawiając naród, któremu przewodniczył, w upadku najzupelniejszym. Panowanie tego monarchy było dobą bezsilności zewnętrznej, oraz wewnętrznego rozkładu i zwyrodnienia. Dawniejsza polityka Filipa II-go wydała nakoniec owoce swoje i naród, który był niegdyś podziwem całej Europy, stał się obecnie wstydem i pośmiewiskiem wszystkich narodów cywilizowanych. Polityka, administracja, sztuka, nauka, wychowanie, moralność, jednem słowem to wszystko, co się składa na żywotność organizmu narodowego karłało widocznie od początku panowania dynastji austriackiej, aż wreszcie nastąpił rozkład zupełny całego państwa z chwilą śmierci króla, któremu historia nadała miano „Niedołgi“ (imbecil). Smutne téż było to dziedzictwo hisz-

pańskie, domowi Bourbonów przekazane! Pierwszy jego członek, Filip V-ty, musiał prowadzić wojnę trzynastoletnią (Guera de sucesion), zabójczą w skutkach dla Hiszpanii, która w niej straciła połowę swoich posiadłości europejskich, całą przewagę i stanowisko pierwszorzędne, jakie wśród narodów europejskich zajmowała.

Poezya téj epoki smutnej a w szczególności dramatyczna całkiem upadła, jak świadczą, Zamora i Canizares, których utwory są już ostatnim słowem gongoryzmu, rozpasanego na ekstrawagancje najpotworniejsze. Filip V-ty starał się wprawdzie o dźwignięcie z upadku literatury i jej rozwój, jak świadczy założenie Biblioteki królewskiej (Biblioteca real. 1711) i Akademii nauk, (Akademia espaniola r. 1714), głównie jednak protegował wpływ francuzczyzny, wywołując okres, zwany przez hiszpanów „Epoca doctrinal.” Tę nową dobę reformy klasyczno-francuzkiej zainaugurował w r. 1737 nowy dziennik p. t. „Diario de los literatos de Espana,” poczem Luzan wydał poetykę podług Boileau a Jorge Patillas ¹⁾ ogłosił w r. 1742 „Satira contra los malos escritores.” Trzy te objawy literackie zdecydowały zmianę smaku artystycznego w duchu nowéj doktryny, ustalając wpływ francuzczyny na literaturę hiszpańską. W krótcie téż (1749) założona została akademia dobrego smaku („academia del buen gusto”) w domu hrabiny Lemos w Madrycie, na wzór hotelu Rambouillet, a nowa ta instytucja przyczyniła się wielce do tryumfu reformy doktrynerskiej. Nie brakło wszakże ludzi, którzy téj reformie przeciw działali w przekonaniu, że odrodzenie literatury może nastąpić jedynie pod wpływem starych arcydzieł narodowych. Jakoż za panowania Karola III-go wytworzyły się w Hiszpanii trzy szkoły poetyczne, z celem wspólnym dźwignięcia upadłéj literatury: 1) „escuela reformista o clasico-francesa,” której przewodzili: Moratin ojciec, Cadalso, Iriarte i Samaniego; 2) „antigna escuela nacional,” którą wspierali: Huerta, Sedano, Sarmiento i inni, i trzecia wreszcie, usiłująca pojednać obie poprzednie „escuela salmantina” z takimi działaczami jak: Melendes, Valdes, Forner, Iglesias, Cienfuegos, Jovellanos, Moratin syn, Quintana i inni.

Przedstawicielem pierwszêj na scenie był Moratin ojciec, twórca tragedyj i komedyj szablonowych; drugą narodową reprezentował pozbawiony talentu i smaku Comella, przejąwszy same tylko strony ujemne dramaturgów XVII wieku, trzeciêj zaś mistrzem był Moratin młodszy, jeden z lepszych poetów komicznych tego wieku, pisarz więcéj refleksyjny niż natchniony, którego staraniem było skojarzyć zalety dramatu starożytnego z nowożytnemi wymaganiami. W tym samym duchu choć z przeważną tendencją w kierunku narodowym działali także Don Ramon de la Cruz i Castillo, autorowie tak zwanych ca pri-

¹⁾ Pod tym pseudonimem ukrył się prawdopodobnie D. José Gerando de Hervás.

chos dramaticos, tragedias burlescas (żartobliwe) i sáinetes (przyprawę—króciutkie jednoaktówki).

Coraz większą jednak przewagę zdobywali pseudo-klasycy. Jovellanos w sprawozdaniu swoim, złożoném najwyższej radzie kastylskiej przez Akademię (w r 1796), domagał się oczyszczenia sceny ze wszystkich komedyi narodowych nie tylko nowych lecz i dawniejszych, ponieważ komedye te, jak utrzymywał, „rozważane w świetle przepisów (miradas a la luz de los preceptos) i zdrowego rozumu są przepełnione występami i błędami, których nie może tolerować moralność i polityka.“

W trzy lata później 1799 dekretem królewskim usankcyonowana została reforma teatru, a mianowicie ogłoszono: że aktorowie nie mogą być sędziami przy wyborze dramatów, oraz że autorowie pisząc powinni mieć na względzie „la regularidad que exige el arte.“ Przyczém ustanowiono nagrody roczne 1-jej, 2-jej i 3-jej klasy, zapewniające laureatom medal złoty i przez 10 lat 3^o/_o od dochodu ze sztuki nagrodzonej. Uczeń humaniści widzieli w tém rozporządzeniu początek nowj ery dla teatru hiszpańskiego, naród zaś zżymał się na nie i sarkał. W dwa miesiące po tym dekrete r. 1800 nastąpił inny, mocą którego setki najpiękniejszych utworów Vegi, Calderona, Moliny i t. d., zostały ze sceny hiszpańskiej usunięte ku wielkiemu oburzeniu szerokich kół publiczności. Dekret ten wzmocnił szeregi nieprzyjaciół reformy doktrynerskiej, której ostatnim rzecznikiem zagorzałym był późniejszy romantyk, poważny pisarz Don Alcalá Galiano, kruszący kopie za despotyzmem francuzkim w czasopiśmie „Cronica científica y literaria de Madrid“ (1818). Przeciwno niemu wystąpił najzarliwszy hiszpan, pochodzenia niemieckiego, osiadły w Kadyksie Böhl de Faber (ojciec słynnej powieściopisarki Fernan Cabalero), i dzielna jego małżonka. Energiczna ta para, nazywana pogardliwie przez Alcalę: „Germano gaditano i Amazona literaria,“ skojarzywszy cały zastęp obrońców teatru narodowego, wystąpiła z rozprawą p. t. „Pasatiempo critico,“ w której punkt po punkcie rozbiera, zbija, ośmiesza i obala wszystkie wywody Galiana. Wystąpienie to poparł znakomity krytyk Lista w gruntownych studyach nad charakterem dramaturgii hiszpańskiej, a ostatecznie zwycięstwo poglądom „Niemca z Kadyksu“ i „amazonki literackiej,“ zapewnił August Durau przez gruntowną rozprawę swoją p. t. „Discurso sobre el influjo de la critica moderna en la decadencia del teatro espanol.“ Guębiła też pisarzów dramatycznych i cenzura potworna, którą w Madrycie prowadził mnich Carillo, spełniający jednocześnie misję odprowadzania na szafot skazanych na śmierć. Nie wolno było używać wyrazu „biedny,“ gdyż mógł on zawierać wyrzut przeciw bogaczom; wyrazy „angel mio“ i „jo te adoro“ usunął raz na zawzze, gdyż w ten sposób tylko do Boga mówić można—wyrzucił raz wyrażenie a borresco victoria (nienawidzę zwycięstwa), widząc w tém aluzję do klasztoru Victoria, z którego pochodził. Rozwiązanie w tragedyi Klitemnestra kazał

zmienić, gdyż matkobójstwo nie może być tolerowane. Na szczęście po r. 1830 stosunki polepszyły się znacznie, a wracający z Paryża emigranci, szczepiąc w ojczyźnie idee rozkwitającego we Francji, romantyzmu, przyspieszyli upadek tyranii pseudo-klasycyznej. I stało się, że zacięty klasyk Martinez de la Rosa został romantykiem i już w tym kierunku napisał dramat „Conjuracion de Venecia,” a znany nam klasyk Galiano sam skłania do romantyzmu księcia de Rivas, który też wystąpił z dramatem „Don Alvaro,” zapewniając nim romantyzmowi tryumf zupełny. W tym „Edypie chrześcijańskim,” jak go niektórzy krytycy nazywają, od markiza de Calatrava aż do poganiacza mułów i cyganki; od kanonika, który się dopytuje o rezultat walki byków i od gwardyana Franciszkanów, będącego wcieleniem ducha ewangelii, aż do kwestarza ciekawego, gadatliwego i śmiałego; od życia pośród obozu aż do wnętrza hotelów miejskich, od odkryć w Ameryce aż do podbojów europejskich, wszystko jest w dramacie „Don Alvaro” na wskroś hiszpańskie: idea, namiętności, charaktery, obyczaje, styl, wszystko co tylko jest w stanie rozbudzić entuzjazm hiszpana w każdej epoce. Za ledwie Madryt ochłonął z zachwyty po przedstawieniach „Don Alvara,” gdy oto nieznany zupełnie pisarz Garcia Gutierrez wystąpił z dramatem rycerskim p. t. „El Trovador” (1836), z którego powstało libretto do opery Verdiego. „Nie podobna—pisze współczesny krytyk — opisać tryumfu „Trubadura,” który nie zatrze się nigdy w pamięci uczestników przedstawienia, a będzie stanowił epokę w rocznikach naszej literatury.” Zwyczaj wywoływania autorów na scenę datuje się w Hiszpanii od pierwszego przedstawienia Trubadura. Wkrótce potem teatr narodowy święcił nowy tryumf, gdy wystawiono dramat Hartzenbecha p. t. „Los amantes de Teruel,” także w duchu nawskroś romantycznym napisany.

Gdy Larra, zwany Figaro, jeden z najznakomitszych pisarzy hiszpańskich, w pierwszej połowie tego wieku straszną walkę pomiędzy miłością a obowiązkami rodzinnymi zakończył samobójstwem, nad grobem poety, opłakiwanego przez cały naród, wśród tłumów towarzyszących zwłokom, jakiś młodzieniec nieznany przemówił wierszem tak rzewnym i tak podniosłym, że mową zainteresował się cały Madryt. Był nim Don José Zorilla, późniejszy liryk znakomity i dramaturg. Zachęcony bezprzykładnem powodzeniem „Don Alvara, Trubadura” i „Kochanków z Teruel,” Zorilla rzucił się do dramatu i stworzył „Don Juana Tenorio,” który zaćmił wszystkie tryumfy poprzedników, tak że równego powodzenia żadna sztuka i w żadnym czasie nie miała na scenie hiszpańskiej. Nie schodzi ona do dziś dnia z repertuaru, przedstawiana bywa tygodniami całemi we wszystkich teatrach Hiszpanii a nie ma też jednego Hiszpana z jakim takim chociaż wykształceniem, któryby dramatu tego nie czytał i nie widział. Dodajmy że Zorilla nie stworzył rzeczy nowój, że dramat Tirso de Molidy p. t. „El Burlador de Sevilla” jest rodzicem Juana Tenorio. Cóż więc stanowi owę zadziwiającą siłę atrakcyjną tego dramatu? Nieś-

nieśmiertelny typ narodowy Don Juana.. Oto jak się przedstawia gienza tego typu.

Po ukończeniu podbojów, ustaleniu inkwizycyi i ugruntowaniu się despotyzmu lud w bezczynności zupełnej zżył się z ideą, że tylko rycerstwo zasługiwało na cześć powszechną, a wiara ta musiała spotężnić w ciągu wieków, podczas których jedynie mężstwo, śmiałość, odwaga zdobywały pochwałę i nagrodę. Księga rękopiśmiena, zamknięta w bibliotece jakiegoś granda, w celi zakonnika, lub w laboratorium alchemisty podejrzanego o magią była rozrywką wyjątkową i niebezpieczną. Drukarnie mogły rozszerzać tylko ducha katolicyzmu, wyegzaltowanego przez wymagania kapryśne stu komentatorów fanatycznych, historyków każdego cudu i zabobonu. Być dobrym katolikiem i mężnym, oto dwie jedyne cnoty i dwa obowiązki rycerza—inne stany tylko katolicyzm obowiązywał, odwaga bowiem, będąc darem opatrnościowym, jedynie istotom kategorii wyższej przysługiwała. Próżniactwo, ciemnota, zabobony, oto jedyna spuścizna rządów Izabeli i Karola V. Ponieważ tylko odwaga i siła imponować mogła, przeto uszlachetniał i podnosił się nie tylko stan rycerski lecz i bandytyzm. Sławni bandyci bardzo często otrzymywali wysokie stanowiska, a nawet w klasztorach i pustelniach pełno było takich opryszków, stynących powszechnie ze świętości. Każdy rozbójnik i morderca przygotowywał się do swych łotrstw śród modlitwy i liczył na kącik w niebie obok patrona swego lub obok chóru aniołów Panny Maryi. Mógłże obawiać się czego, nosząc na piersiach szkaplerz a w sercu gotowość stałą .. do żalu? Umieć uniknąć kary na ziemi i posiadać adwokata w niebie—oto religia i moralność narodu hiszpańskiego w epoce politycznie najświetniejszej. Lud jednaką otaczał aureolą rycerstwo i bandytów, gdyż zarówno jedni jak drudzy lekceważyli sobie to wszystko, czego on lękać się musiał: algazilów, sędziów sprawiedliwości. Pod panowaniem Filipa II wzrosła ciemnota ludu, upodlenie i fanatyzm, a z niemi wzmógł się szacunek siły, moralne wykolejenie i skłonność do cudowności. W takich momentach dziejowych ludzie podobni Don Juanowi Tenorio, jednocząc w sobie wszystkie kulty, wszystkie namiętności, wszystkie błędy narodu, musieli istnieć i posiadać wielką popularność a z ich czynów tworzyły się z czasami legendy dramatyzowane przez poetów. Otóż w legendzie o Don Juanie streścił się w barwach najświetniejszych syn południa: dumny, ciemny, zmysłowy i brutalny. Potrzebuje kochać i wierzyć. Mniejsza czy to co kocha jest godne miłości byleby oko miało przynętę, serce wzruszenia. Mniejsza o to w jakim zabobonie swą wiarę umieści byleby tylko była cudowna. Namiętność jego spieszy za rozkoszą aż do zbrodni, nie zabraknie mu bowiem przebaczenia w godzinę śmierci. Im występek jest okropniejszy z tem większą siłą go nęci, mordując będzie się rozkoszował swem okrucieństwem, znieważając kościół znajdzie przyjemności w świętokradztwie. Don Juan mógł się rzucić na wszystko; był on hidalgim i bogaczem a w dodatku mężnym i pięknym, był

najświetniejszym uosobieniem występku, demonem, kradącym aniołów niebu w które nie wierzy jak i w piekło. Miłość jest dla niego pocałunkiem składanym na listkach róży dla tego jedynie żeby związła. Przy urodzie, śmiałości i bogactwach czego potrzebuje więcej żeby mógł otwarcić hołdownać występкови? Szpady aby zabijać. Przepasał ją tedy i niechaj teraz nikt się nie wtrąca do miłostek jego, nie podejrywa jego honoru, nie wątpi w jego słowność, nie bruzdzi na jego drodze i kaprysom jego przeszkód nie stawia. Hańba, skandal i śmierć idą za nim wszędzie, ale towarzyszą mu również i serca kobiet. W Sewilli przyjmują go z najwyższym podziwem i entuzjazmem, bo jakże nie podziwiać męża, który zabił 32 przeciwników i 72 niewiasty uczynił ofiarami swej namiętności. Pierwszego dnia rozbudza w nich miłość, nazajutrz ścięga namiętnie a dnia trzeciego rzuca ofiarę na pastwę zryzot i rozpaczy. A jednak na drodze tego Fausta południowego staje codziennie jakaś Małgorzata, które nie obrywa wprawdzie listków kwiatu, by się dowiedzieć czy jest kochaną, ale przesuwą ciągle paciorki różańca drobnymi paluszkami, szepcząc: ten dla Pana Boga a tamten dla Don Juana. „Sprawiedliwości dla ofiar“—wołają wszyscy—„aby tylko nie przeciw niemu“—dodają same ofiary ¹⁾. Podług hiszpanów tylko dusze pospolite nie mogą pojąć Don Juana,—uprzywilejowane podziwiają go i opiewają. W tej ruchliwości wiekuistej, twierdzą oni w tej ciągłej zmianie idei, poglądów i wrażeń jest pewien urok, obcy jednostkom nierozmiłowanym w uraganach. Praca monotonna, ognisko spokojne, zajęcia systematyczne—oto ideał życia większej części synów tej ziemi, ideał niemający w sobie cienia poezyi. W duchu naszym, wołają Hiszpanie, sercu i ciele istnieją siły rwące się do używania i w zetknięciu ze światem zadowolnić je trzeba. Don Juan to człowiek w przekonaniu hiszpanów par excellence; on bowiem wprowadził w grę najwięcej sprężyn, on przebiegł najwięcej aren życiowych, on żył najwięcej, robiąc się nieustannie ogniskiem wrażeń wszelakich. I rzeczywiście—woła poważny krytyk hiszpański,—porównajmy jedną z tych istot pospolitych, przejętych jednym uczuciem spokojnym, które im towarzyszy aż do grobu bez żadnych wzruszeń, bez niepokojów prawdziwych, bez niebezpieczeństw i grozy sumienia własnego, z ową walką ustawiczną człowieka, który doświadcza tysięcy uczuć miłosnych, obejmuje tysiące ramion dziewiczych, składa pocałunki na tysiącach ust, z których nigdy nie wyszło nic—krom modlitwy. A gdy go miłość nie zadowolni, ma jeszcze tysiące innych niebezpieczeństw, które mu dostarczą nowych rozkoszy źródeł. Walczy i zabija, bo walczyć honorowo z narażeniem życia własnego, to dla tych dusz nadzwyczajnych rozkosz bez granic. Nie drży przed nikim, bo patrzy na wszystkich z wyżyn wielkości swojej. Pogarda jego jest

¹⁾ Autores dramaticos contemporaneos y joyas del teatro español del siglo XIX, Madrid, 1881. Don José Zorilla por Isidoro Fernandez Florez, I—177.

powszechna bo wszystkie zmysły jego tryumfują. Jest bezbożny, gdyż nigdy nie odczuwał potęgi wyższej. Jak on może zrozumieć wszechmoc niebieską, on, który do pewnego stopnia jest wszechmocnym w życiu! Przed nim wszystkie się bramy roztwierają, wszystkie przeszkody nikną, zasłony opadają, serca słabną, szpady pryskają, wszystkie dziewice korzyć się muszą. Niewinność, cnota, religia, nie mają dość siły do zwalczania jego pożądliwości, jest w tryumfach jego coś z fascynacji węża. Don Juan—to typ hiszpański do szpiku kości, to mężny i awanturniczy syn Sewilli, która w klasztorze pogrzebała wspomnienie o jego życiu walk i wybryków. Piękne to miasto strzeże imienia jego jak relikwii, bo wszystko w tój postaci uosabia dziecię południa, syna ziemi słonecznej i miłości, w którego żyłach kipi krew gorąca i którego młodość jest poematem o strofach olśniewających ¹⁾. To też wzmiankowany już Florez nie zawahał się wyrzec, że w tym dniu, w którym na przedstawieniu Don Juana Tenorio teatr zaświeci pustką, Hiszpania będzie narodem zupełnie cywilizowanym, ale też i przestanie być wówczas... Hiszpanią. Dalsze losy literatury dramatycznej hiszpanów, a mianowicie stan jój dzisiejszy, będzie przedmiotem studyum oddzielnego.

¹⁾ Martin Garcia Merou, „Estudios literarios.“ Madrid, 1884, p. 36 i nast.

NA SZEROKIM ŚWIECIE.

P O W I E Ś Ć.

NAPISAŁ

S e w e r *).

XII.

Dwie amazonki, otoczone młodymi ludźmi, kłusowały drogą przecinającą lasek Vinceński. Obok Zosi jechał hrabia, odważnej francuzce towarzyszył Edzio. Zkąd się wziął i jakim się sposobem znalazł w tém towarzystwie było to zagadką dla Zosi. Rozwiązywać jęj nie miała czasu. Hrabia wyłącznie ją zajmował. Pracowała, aby go poznać, odgadnąć myśli, charakter i wielkie plany. Czuła się pod jego wpływem—zwyciężała ją nieubłaganą logiką i egoizmem, do którego się głośno przyznawał. Wszędzie i zawsze stawiał ludzkie ja na pierwszym planie, jako podstawę stosunków i możności egzystencyi, a gdy przeczyła temu—odpowiadał jęj z uśmiechem:

— Przebiegnij pani myślą życie swoje, wiele naliczysz chwil, któreby nie były egoistyczne, chociażby napozór stroiły się w najróżnorodniejsze płaszczyki poświęcenia, a nawet abnegacyi.

Zosia się zamyśliła i na razie nie mogła znaleźć żadnej chwili w życiu tyle jasnej i promiennęj, aby jęj nie zastaniał choćby najlżejszy cień własnego ja. To ją rozgniewało, zarumieniała się i aby ukryć rumieniec i gniew pogalopowała, wysuwając się naprzód całą siłą konia. Hrabia usiłował dogonić i zrównać się z nią, lecz nie mógł z powodu spadzistości drogi i sterczących na nięj korzeni. Szalona jazda uspokoiła chwilowo dziewczynę.

*) Ciąg dalszy—patrz zeszyt za m. maj r. b.

— Ten człowiek niecierpliwi mnie i drażni—zawołała w duchu. Rada była uwolnić się od niego, lecz samo przeciwieństwo zatrzymywało ją przy nim. Szukała go, wyzywała do walki, upadała w niego i znowu się zrywała.

Na bitéj drodze zwolniła biegu i pozwoliła towarzyszowi dopędzić się.

— Goniłaś pani—zapytał.

— Uciekałam—odpowiedziała.

— Przed?...

— Przed własnym egoizmem. Możesz pan doprowadzić do tego, że będziemy uczuć wstręt do samych siebie i całej ludzkości.

— A ja radbym tylko przekonać panią, że przedewszystkiém kochamy siebie, a ludziom powinniśmy przebaczać.

— Pan nigdy nie kochałeś nikogo?

— Dotąd nie—odpowiedział spokojnie. A jeżeli pani kiedy pokochasz, to również dla samej siebie, dla posiadania ukochanego przedmiotu, dla tego, że uczucie to będzie pani sprawiać rozkosz pełną mazureń, idealnych porywów, uniesień.

— Więc nic dla drugich, nic—nawet w tém uczuciu, które... — urwała.

— Które zwykle nazywamy miłością—dokończył za nią. Pierwsi chrześciance dla tego ginęli z rozkoszą, że męczeńska śmierć otwierała im wrota wiecznej szczęśliwości przez połączenie się z ubóstwianym Chrystusem. Za jedną chwilę cierpień wieczne szczęście — przyznaj pani, gdyby się namyślali zbyt długo, mówiłoby to o ich tchórzostwie, jeżeli przypuścimy, że była niezachwiana wiara.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Jechała wolno patrząc zamyśloną przed siebie.

— Mówiłeś pan — odezwała się spokojnie po dłużéj chwili — o wielkich planach.

— I nie cofam się. Musimy się bronić i wspólnie walczyć, aby ci — pokazał na ludzi pracujących w polu — motykami, któremi dziś obrabiają ziemię, nie wytępilli nas. Wspólna walka wymaga organizacji.

— W waice téj chcesz pan być wodzem.

— W tornistrze noszę buławę marszałka — odpowiedział z usmiechem. Tymczasem dumny jestem, że losy pozwoliły mi być żołnierzem cywilizacji i w jéj obronie walczyć.

— Obóz, do którego należysz, nazywasz cywilizacyjnym?

— Obóz, do którego należymy. Mam nadzieję, że nie chciałaś pani zsiąść ze swego wierzchowca i posadzić na nim jedną z dziewczyn kopiących ziemię, a sama zastąpić ją w téj pracy przez całe życie. Przeciwnie, ona zrobiłaby to z wielką rozkoszą. Jakiegokolwiek różnice zapatrywań są wśród nas, zawsze należymy do jednego obozu. Broniąć siebie, bronimy cywilizacji, sztuki, nauki, szlachejnych instyn-

któw, rozumnego postępu, wszystkiego przed dzikimi instynktami mas, których jedynem hasłem: posiadanie i użycie.

Dziewczyna uśmiechnęła się smutnie. Maltretowano w obec niej zasady, w które wierzyła, a jój brakło sił, odwagi i energii bronić ich. Czuła się zawstydzoną i upokorzoną.

Hrabia się obejrzał.

— Wracajmy — odezwał się. Za daleko odjechaliśmy i za długo przeciągamy sam na sam.

— Obawiasz się pan—zapytała, zwracając konia.

— Istotnie, należy unikać wszelkiego nawet cienia, nie powiem podejrzeń, bo tych być nie może, ale wszelkich domysłów.

— Wyroki opinii są dla pana wszystkiém.

— Raczej niczém, lecz opinia jest to despotka, teroryzuje nas i mimo wysień musimy być zawsze jój niewolnikami.

— Lecz nie ja—zawołała rozdrażniona.

— Pani jako kobieta więcej, aniżeli kto inny.

Spojrzała na niego i zdawało jój się, że zobaczyła w oczach ogień, a na ustach przesuwały się cień uśmiechu.

Nie chciała przedłużać rozmowy. Pociśnęła konia ostroga i w kilka chwil znalazła się przy boku francuzki. Edzio zrobił jój miejsce, podziękowała mu skinieniem głowy i szczerym uśmiechem.

Jechano dalej razem. Wesoła i pusta rozmowa czasem zabarwiona zgrębnym dowcipem i paradoksem łagodziła rozdrażnione nerwy i utajony gniew Zosi.

Hrabia zawsze jednakowo poważny, na pozór zimny, zamyślony, jechał w drugim szeregu.

— I cóż? rzuciła pytanie półgłosem, pochylając się ku Zosi Francuzka, na które dziewczyna odpowiedziała zdziwionym wzrokiem. Francuzka zamilkła, lecz nie zadługo, gdy znalazły się same, odezwała się wesoło:

— Ach ten rodak pani nie powiem, aby był nadzwyczaj zajmujący. Zimny, zamknięty w sobie, ambitny, natura egoistyczna. Mówiąc to wpatrywała się badawczo w twarz dziewczęcia.

— Ciekawy—dokończyła Zosia.

— Tajemniczość, cynizm, osłonięty maksymami kradzionymi z La Rochefoucaolda, odgrywanie roli człowieka z lodu i wielkie plany, których nie urzeczywistnia, czynią go w pierwszych chwilach znajomości ciekawym. Łapie na swą lodowatość młode niedoświadczone dziewczyny—to jego wielkość cała.

— Nie wierzysz pani w jego przyszłość—zapytała obojętnie Zosia.

— Nie, nie wierzę. Nie tój miary ludzie górują nad wypadkami. Ponieważ za rok 70-ty został francuzem...

— Bił się?

— Podobno. Wejdzie prawdopodobnie do Izby i utonie w ma-

sie czterystu ludzi. Jeżeli chce iść z rojalistami musi słuchać ks. de Broglie, lub waryata Cassagnia, jeżeli zostanie bonapartystą....

— Pierwsza świetna mowa—zdobyła się na uwagę Zosia.

— O niej marzą wszyscy debiutanci, lecz zwykle jest to ich karkołomne steple-chasse.

— Nie dla wszystkich.

— Genialne wyjątki, a ci ostatecznie bronią sprawy mas, gdy on musi bronić sprawy upadłej.

Pani nie jesteś rojalistką?

— Ależ jestem, muszę nią być, lecz na naszą kolej we Francji jeszcze daleko.

Edzio się zbliżał, francuzka dodała półgłosem.

— Strzeż się pani.

— Kogo?—spytała ściągając nieznacznie brwi.

— Ma on w oczach ogień złowrogi i nim ujarzmi.

Zosia rozśmiała się tak dumnie i wyniośle, że francuzka uwierzyła w jej obojętność i uspokoiła się.

— Póki ja żyję—pomyślała, patrząc na marmurową twarz hrabiego—nie wydobędziesz się ponad zwykły poziom i nie dopuszczę, aby cię dzielna kobieta i szlachetna natura kochała.

Zbliżył się Edzio. Kobieta ta, mówiąca tak poważnie, zaczęła się śmiać z banalnych jego komplementów i bawić się rozmową jałową, czczą, bezbarwną. Uśmiechała się czarownie do przystojnego młodzieńca, wyzywała go i ośmielała.

Edzio wybornie się bawił w jej towarzystwie, dumny był, rad z siebie i usiłował być coraz przyjemniejszym, aby pokazać Zosi swoje wielkie zalety, uznanie i wziętość u kobiet, które nazywał paniami świata. Tym sposobem chciał upokorzyć Zosię, wzbudzić w jej sercu zazdrość, żal, skruczę i w następstwie zmusić ją do prośzenia go o przebaczenie.

Taki miał plan Edzio i wierzył w zwycięstwo, gdy tymczasem jego wesołość i nieustająca gadatliwość, drażniły dziewczynę, wywołując w niej uczucie wstydu i gniewu na samą siebie.

— Byłam wielce naiwną, jeżeli on potrafił zmusić mnie do tego, że o nim wysłałam, bawiłam się z nim i pozwoliłam na to aby mi się oświadczył. I to tak niedawno!... Rumieńce wystąpiły na jej twarzy. Edzio je zobaczył i był pewny, że zazdrość zaczyna się już budzić. Uradowany odkryciem, zaczął coraz energiczniej nadskakiwać francuzce i coraz więcej gniewać Zosię. Rada była oddalić się, lecz obawiała się mimowolnie zbliżyć się do hrabiego. Nie chciała, aby pomyślał, że go szuka, a tém więcej nie zniosłaby, aby jej przypominał po raz drugi zbytek przedłużanie z nim rozmowy.

To wspomnienie oburzyło ją, pragnęła się zemścić za to ukłucie, obliczone na ból dotkliwy, a na zmanifestowanie swęj siły, przewagi nad nią i obojętności.

Kto tu miał cierpieć na podejrzeniu, ona czy on. Przyzwycza-

jona do zwycięstw i hołdów czuła się upokorzoną i dla tego rada była widzieć go u swych nóg, a potem odepchnąć.

— Tego nie dokażę—szepnęła.—Jest on ślizgi jak wąż i zimny jak wąż, nieuchwytny, ostrożny.

W dalszym ciągu przejażdżki unikała towarzystwa hrabiego, trzymając się francuzki. Edzio był pewny, że powodowana zazdrością usiłuje przeszkadzać zbliżeniu się jego do pięknej de la Tour.

Zmęczona i zdenerwowana wróciła do domu.

Zanim odchyliła portyereę salonu usłyszała rozmowę. Obcy głos był jój znany. Spojrzała przez utworzoną szparę, obok matki siedział Czesław. Rozmawiali spokojnie, zdawało się jój, że serdecznie. Na twarzy matki promieniała radość. Zadawała mu nieustannie pytania o kraju, okolicy, o Zalesiu.

Słońce zaszło, w salonie panował szarawy zmrok, odsunęła zasłonę i cicho stąpając po miękkim dywanie stanęła wśród nich.

Czesław się zerwał, zarumienił i prawie jednocześnie zbladł. Matka uściskała ją serdecznie. Ciepło tego uścisku odczuła.

— Słyszałam wymówiony wyraz: Zalesie. A więc gdy milionerki w niem nie było...

— Odważyłem się je zobaczyć—dokończył młody człowiek.

— I czy uwierzysz, Zosiu, Świstalski daje sobie radę—przerwała matka.—Oświadczył panu Czesławowi, że gdy mu nikt nie przeszkadza—pewno muie wtedy miał na myśli—gospodarstwo idzie lepiej.

— Nie przeszkadzajmy mu — zawołała dziewczyna.—Dziękuję panu za uspokojenie mamy. Biedaczka martwiła się, nie wierząc optymistycznym listom Świstalskiego. Jak się ma mój Hektor?

— Tesknił za swoją panią, rżał po całych dniach, lecz w końcu zapomniał, przynosząc swe uczucia na Pawełka, który go codziennie przejeżdża.

— Taka kolej rzeczy—odpowiedziała smutnie.

— Widzisz, Zosiu, w końcu i ludzie o nas zapomną i nie poznają nas.

— Taka kolej rzeczy—powtórzyła poważnie.—Oni dla nas będą inni, my dla nich obcy.

Powaga dziewczyny i jój smutek oddziaływały na matkę i młodzieńca. Milczeli—matka rada była zawołać: wracajmy, lecz nie śmiała. Czesław myślał to samo, lecz również brakło mu odwagi do powiedzenia tego głośno. Bał się, aby milionerka nie pomyślała, że przemawia w swojej sprawie.

Zosia zagłębiła się w fotel i szarpana najsprzeczniejzemi myślami, zadumana patrzyła przed siebie. Ocuciła się jednak za chwilę.

— Nic pan nie mówisz? o kraju, okolicy, Zalesiu,—odezwwała się tonem wymówki.

— Nie miałem rozkazu—odpowiedział młody człowiek.

— Czyż na to potrzeba rozkazu? Mama nie rozkazywała a rozmawialiście tak wesoło.

— Nie rozkazywałam lecz zadawałam pytania — przyszła z pomocą młodzieńcowi matka.

Mnie się zdaje, że tak już dawno opuściłam kraj, że nawet pytać o niego nie umiem.

I znowu się nasuwała odpowiedź: wracajmy, lecz i tym razem nie śmiano głośno wyrazić tego powiedzieć, a nie mogąc zapanować nad myślami, milczano.

— Milczenie państwa jest dla mnie odpowiedzią — zabrała głos Zosia. Wracać, gdy się nic nie przeżyło, nic nie widziało, nic nie poznało? Wracać a potem tęsknić za światem, ludźmi, nowymi ideami, walką — wracać, aby być żywcem pogrzebaną choćby w tak pięknym parku jak park w Zalesiu — niepodobna. Ja nie mam pięćdziesięciu lat mamy i niestety mało się znam na ekonomii rolniczej. Zamilkła. Czuła, że za wiele powiedziała, lecz nie mogła się już cofać. Aby ukryć rozdrażnienie wyszła do swego pokoju pod pozorem przebrania się.

Matka Zosi była zgnębiona i w obec młodego człowieka zawstydzona. Czesław, pomimo, że wmawiał w siebie, iż nie powinien mieć żadnej nadziei, nie spodziewał się takiego rodzaju przyjęcia. Powstał, pożegnał się i wyszedł.

Zosia wydała mu się piękniejszą, wytworniejszą w obejściu, wielką damą, za to mniej aniżeli dawniej serdeczną, a więcej dumną. Smutny szedł brzegiem Sekwany. Na moście Henryka IV stanął.

— Czemuż ona nie podobna do matki swój?... Matka nie posiadała miliona, nie była jedynaczką, miała jasne pojęcie o swych obowiązkach, wiedziała zawsze czego chce. Gdy ona... nie zdecydował się na odpowiedź i nie skończył frazesu. Przeszedł most, bulwarami St. Michel dotarł do ogrodu Luksemburskiego i szukając odzwierciedlenia swych cierpień, poszedł na dramat do Odeonu.

XIII.

Dziewczyna wzburzona chodziła po swoim pokoju.

— Czy dla tego przyjechał, aby w sercu matki zasiewać tęsknotę i namawiać ją do powrotu? W Zalesiu on byłby jeden — jedyny. Mamę ma za sobą, wyręczałby ją w gospodarstwie. Nareszcie dobry jest człowiek, sympatyczny, cichy, musiałabym uledeć. I dobrze się stało, że odrazu potargata sieć intrygi, której sznurki były tak widoczne. Rozśmiała się, lecz sucho. Palce spletała, założyła ręce za szyję i stała wyprostowana poważnie.

— Czego ja chcę od ludzi i świata? pytanie to powtórzyła dwa razy.

— Hołdów? Jestem zepsuta i staję się podobną do tuzinkowej lwicy, lub salonowej komety, dla której niezbędny ogon wielbicielei.

A to wszystko dla tego, że rzuciłam się w zaczarowane koło, z którym nigdy nie miałam nic wspólnego i wyjść z niego nie umiem.

A może nie chcę? Ten człowiek mnie gniewa, drażni, a ja nie mam sił odejść od niego. Co on mi może więcej powiedzieć? Ani się nie kryje, ani swej wartości nie przecenia, jest szczerym i otwartym. Jabym chciała, aby padł przedemną na twarz. O mój nauczycielu, gdybyś ty widział swoją uczenicę zapłakałbyś nad nią, lub uciekł ze ze wstrętem—zawołała.

Czy wszyscy wielcy ludzie muszą być wielkimi egoistami. To zależy od nich i od rodzaju wielkości, za którą gonią. Są wielkości męczeństwa, ofiary i cichej pracy. Są wielkości geniuszu. Lecz cóż? siedzę w zaczarowanym kole—i nic nie widzę, nikogo nie znam. Nowe idee, wielkie namiętności, gdzie one są. Odgłos dalekich burz zaledwo mnie dolatuje, jak gdybym była w więzieniu. Potom tu przyjechała, aby się ślizgać po salonach arystokracji. Gdzież się podziała moja żądza poznania przejawów życia wielkiego miasta, pragnienie poznania u źródła wielkich idei, rozlewających się na świat z tego serca świata? Jestem, jak gdyby zahypnotyzowana, zaczadzona. Zaczynam tracić równowagę, wiarę w siebie, w ludzi, przyszłość, świat cały. Za młoda jestem na zwątpienie i zaprzeczenie tego, w co wczoraj wierzyłam i kochałam.

Lekko zapukano do drzwi, na progu ukazała się panna służąca.

— Przygotowania na bal już skończone—fryzjerka czeka...

— Idę—odpowiedziała szybko. Służąca wyszła.

I znowu go zobaczę — szepnęła — tę marmurową twarz sfinksa, te oczy ciekawie patrzące, w których tajemniczy ogień się żarzy i usłyszę ten głos spokojny, prawie monotony, a mimo to przejmujący i szczelinami uszu wiskający się do serca. Zobaczymy... Cóż mi na nim zależy? Czyż to człowiek, z którym mogłabym przejść przez życie?... Gdyby ten człowiek mógł zmienić kierunek swych dróg, to jego ambicya, spokój, zimna krew, wiara w siebie, dałaby mu siłę dokonania wielkich rzeczy. Czasami pod wpływem uczucia, powiedziała cicho zamyślając się, ludzie się zmieniają. Na to jednak potrzeba innego człowieka aniżeli on jest, aniżeli być może. Zdaje się, że został z brązu odlany w pewną formę i zastygł w niej. Można go rozbić, złamać, ale nie zmienić. On sam nie mógłby się pojąć innym. I ja go innym wyobrazić sobie nie mogę. Lecz i ja również się nie zmienię.

Nie zmienię? — powtórzyła. Ja już jestem inną, odkąd rzuciłam się w wir życia. Potrafię jednak wrócić na swe stanowisko. Ostatnia próba—szepnęła i zarumieniła się. Przyszła jej na pamięć przestroga w lasku Vinceńskim przedłużania sam na sam. Nerwy nią wstrząsnęły.

— Ostatnia próba—powtórzyła—lecz czego? Walki — jakiej? gdy ze mną nie walczy. Ostatnia próba, a raczej ostatni szal—dodała i wyszła szybko z pokoju.

Za pół godziny cicho otworzyły się drzwi salonu. Zosia stanęła przed matką gotowa do odjazdu.

Z serca dobrej kobiety wydobył się okrzyk podziwu i zachwytu. Była dumną z córki, lecz zarazem i onieśmioną jej pięknnością i postawą.

— Królowa—pomyślała, a ja ją chciałam wydać za zwyczajnego wioskowego szlachcica. Wyrzucała to sobie.

Zosia, jak gdyby przeczuwała myśli matki, pochyliła się ku niej i pocałowała ją w czoło.

— Mama nie znajduje mnie dziś zbyt brzydką.

— Nigdy nie byłaś tak piękną i majestatyczną w moich oczach, jak dziś.

— Ostatnia próba—chciała powiedzieć—lecz tylko odezwała się głosem: w oczach matek wszystkie córki są piękne.

Panna służąca stała przy drzwiach, patrząc z zachwytem na młodą swą panią.

Matka powtórzyła po francuzku ostatnie wyrażenie Zosi.

— Nie—odpowiedziała dziewczyna z godnością i dumą. Nasza hrabianka będzie najpiękniejszą—przysięgam.

— Pod tą wróżbą jedźmy.

— Ostatnia próba—szepnęła Zosia, spojrzała w lustro i uśmiechnęła się. Podzielała widocznie zdanie matki i zachwyt francuzki.

O godzinie trzeciej wróciła. Panna służąca zdjęła z niej suknię balową, zarzuciła ranny szlafrok i wyszła cicho.

Gdy się drzwi za nią zamknęły, zerwała się. Długo na uwiezi trzymane nerwy zaczęły nią szarpać.

— Ja potrzebuję do życia inną atmosferę — szeptała — innych ludzi, innych stosunków. To nie jest powietrze, którym można oddychać i czuć się zdrową. Ten człowiek, ten kandydat na wielkość w oczach młodych, niedoświadczonych dziewcząt, odgrywający rolę człowieka z marmuru, czemuż on może być dla mnie? czemu?...

— Mógłby być wszystkiem — szepnęła tajemniczy głos z głębi jej mózgu.

— Niczem—odpowiedziała głosem — niczem nie może być i nie będzie—przysięgam. Muszę go wyrzucić z mej pamięci, oderwać myśli od niego i nie zajmować się nim więcej...

Gdzież jest ten Paryż wielki, namiętny i twórczy. Przecież on musi być i jest. Przeczuwam go i odgaduję, trzeba tylko mieć odwagę pójść, zobaczyć go i poznać się z nim... Tyle czasu straciłam na próżno. Ten wielki świat jest jeden i ten sam wszędzie, jednaki poziom myśli, jednakie namiętności i praguienia. Małe zazdrości i zawiści, lekka, zdrowiu nieszkodliwa miłość, wszystko niskie i drobno. Egoizm absolutnym tam panem, pojęcia ciasne — formy podobne do schodów wykutych z kamienia, po których ludzie stąpają, jak im każe wysokość schodów. Wszystko to razem nuży mnie, męczy, gniewa i wyczerpuje. To samo powtarzające się codziennie, co godzina — zaw-

sze... I ten człowiek chce cały ten spruchniały porządek utrzymać i w obronie jego zdobyć sławę, wielkość, władzę! To nie on — zawołała z rozdrażnieniem nerwowym.

Siadła przy biurku i gorączkowo napisała kilka wyrazów. Złożony papier wsunęła do koperty, odszukała biletu francuzki, którą poznała pierwszego dnia pobytu swego w Paryżu i kreśląc jej adres na kopercie szeptała.

— Inny świat, ludzie, wielkie nieklamane namiętności wyleczą mnie. Nareszcie znajdę się wśród swoich w swoim żywiole.

Omarkowany list rzuciła na stół i położyła się. Silne postanowienie uspokoiło jej nerwy — zasnęła.

XIV.

W wieczornych godzinach bytj wielkiej sali gry w pitkę stanął kilkotysięczny tłum ludzi przeważnie w bluzach i czapkach. Panujący gwar zmieniał się co chwila w ogólną wrzawę, wśród której wykrzykniki i przekleństwa wylaływały jak wśród burzy uderzenie piorunu.

Ludzie w bluzach skręcali papierosy, zapalali je, co chwila spluwali i rozprawiali namiętnie. Wśród nich kobiety najróżnorodniejszych zajęć i stanowisk. Robotnice, żony i kochanki zgromadzonych, nauczycielki, propagatorki nowych idei, ciekawe kobiety z małego półświata... Wszystko to zlewało się w całość chaotyczną, dziwnie zmieszaną i jeszcze dziwniej grupującą się.

Estradę zajął komitet. Wśród bluz widać było wykwintne i modne stroje paryżan.

Podniesiono ogólny okrzyk na cześć komuny. Widocznie ludzie wchodzący w skład komitetu rekrutowali się przeważnie z jej niedobitków.

Otoczona tłumem stała Zosia mocno zawoalowana tuż obok modniarki. Francuzka czuła się w swoim żywiole, gwar, krzyki i przekleństwa rozweselały ją. Nozdrza jej silnie odznaczone rozszerzały się jak u konia, gdy step zobaczy. Uśmiechnięta rozglądała się do koła, kłaniając się znajomym. Młode kobiety blade, z płomieniami w oczach przebiegały od jednej do drugiej grupy, rozprawiwały namiętnie i giestykulowały z żywością paryżanek.

Zosia zdrzała nerwowo, wsuwając rękę pod ramię towarzyszki. Tłumy ludzi, wrzawa, wykrzykniki i przekleństwa napępniały ją strachem. Zdawało jej się, że jest przy początku rewolucji. Była pewna, że tłum ten wylegnie na ulicę, zacznie barykady stawiać i mordować bogaczy i kapitalistów.

Ludzie ci czarni od węgla, ochrypli, spracowane ręce kładące w kieszenie, patrzeli idyotycznie smutno przed siebie lub się zrywali do grózb i namiętnych rozpraw. Kobiety ich wrzaskliwe, cyniczne,

śmiały się z dowcipów swych towarzyszy lub miotały przekleństwa na rząd, porządek społeczny i świat cały.

— To dopiero początek, odezwała się wesoło do Zosi jej towarzyszka. Gdyby nie przebrana po cywilnemu policya, co by się tu działo.

Zosia nie miała pojęcia, co by się dziać więcej jeszcze mogło.

Z estrady zaproponowano przewodniczącego. W tej chwili powstały tak przeraźliwe krzyki, świst piekielny i wrzaski kobiet z podnieśnionymi pięściami w górę, chwila jeszcze a ludzie zaczną się wzajemnie mordować.

Dziewczyna przytuliła się do francuzki i cofać się zaczęła.

— Zostańmy—nalegała Marsylianka.—Skończy się wybór i spokój wróci. Francuzi lubią krzyczeć, lecz nie są oni tak straszni.

Zosi w tej chwili przez myśl przesunął się buduar księżnej, rozmowa przy kominku spokojna i swobodna. O gzyms kominka oparty stał hrabia, wpatrując się w nią ze źle ukrytem zajęciem. Mało się mięszał do rozmowy, lecz każde jego wyrażenie miało pewną cechę oryginalności.

— Chleba i uciech — mówił wtedy—jeden i ten sam okrzyk wznoszą tłumy. Mniejsza o miejsce i czas—czy się to dzieje na Forum romanum, czy na placu Bastylii. Objawy żądz i namiętności a nawet kierunek myśli ten sam.

W tej chwili jeden z robotników wziął na ręce młodą kobietę, wznosząc ją ponad tłum.

— Niechaj nam dadzą pracę, jeżeli nie, to muszą dać chleba—zawołała. Mamy prawo wymagać od państwa pracy, lub chleba.

— A gdy przestaniemy być głodni, potrafimy się sami zabawić—dokończył głos z tłumu.

Oklaski i śmiechy wypełniły wielką salę.

— Oj paryżanie umieją się bawić—powiedziała francuzka zwracając się do Zosi.

Jeden z obecnych zabrał głos. Mowy jego nie można było słyszeć z powodu oddalenia i panującego gwaru. Mówił jednak z werwą i porywającą namiętnością. Widać to było z jego ruchów i drżenia głosu, dobiegającego urywanemi zdaniem do uszu Zosi.

— Patrz pani—szepnęła Marsylianka—przyszedł—jest z nimi tam...

— Kto—gdzie?

— Ten na prawo, trzeci od mówuicy, o czarnych długich włosach, oczy niebieskie.

— Koloru oczu trudno dojrzeć, zrobiła uwagę Zosia, odzyskując równowagę.

— Niebieskie są, zaręczam. Patrz pani! co za wyraz na bladej twarzy, a usta wiśniowe. Ach jakbym je pragnęła pocałować, szepnęła. Kocham się w nim od lat dwóch, dodała, aby złagodzić wykrzyknik.

— I cóż—spytała Zosia.

— Nic—za wielki człowiek dla mnie i sprawa skończona. Ja go kocham, on się przywita, uśmiechnie, popatrzy i odejdzie.

— I nie rozpaczasz pani?

— Rozpacz jest śmieszna—pocieszam się jak mogę. Przyjrzyj mu się pani,—podała Zosi lornetkę.

Biada twarz, usta grube, wyraźnie rysowane i nieco otwarte jak u mistyków i marzycieli, włosy zwijające się i rozrzucone fantastycznie, nos prosty i suchy, broda silnie odznaczona, owal twarzy podłużny, dobrze rysujący się na tle czarnych włosów—cała postać nie imponująca siłą, lecz zgrabna i proporcjonalna, przykuwała do siebie patrzących.

— Nie można oczu oderwać—wygłosiła z zapalem francuzka.

— Można—odpowiedziała Zosia, oddając ję lornetę. Czy znajomy pani będzie dziś mówił?

— Nie wiem, lecz mowa jego porywa. On jeden umie zamykać usta a otwierać uszy francuzom. Jaka cisza panuje, gdy on zabierze głos, a wtedy z ust jego lecą pioruny. I pomimo, że jest polakiem mówi po francuzku jak Gambetta.

— Polak—powtórzyła Zosia i powtórnie wzięła lornetkę z rąk towarzyszki i poniosła ją do oczu.

— Podobno urodzony z francuzki, nie wiem o tém na pewno i nareszcie nic mnie nie obchodzi. Dość, że jest piękny a niezawodnie będzie sławny. Schodzi z trybuny, pójdźmy tędy, musimy się z nim spotkać.

I nie czekając na odpowiedź Zosi, pociągnęła ją za sobą. Robotnicy, trzymając ręce w szerokich spodniach, czapki i kapelusze zsunięte z czoł, spoglądali wyzywająco na Zosię i ję zastępnę. Widocznie gniewała ich tajemniczość i chęć ukrywania się przed ich wzrokiem. Usłyszała o sobie wymówione opinie w żargonie przedmieść, nie rozumiała ich, lecz domyślała się cynizmu. Rada była uciec, jedynie upór kobiety, pragnienie szukania wrażeń, zmieniające się powoli w namiętność, zatrzymały ją.

Polak, porywający mówca, umiejący panować nad tłumem pociągał ją. I chociaż ję serce biło ze strachu i wstydu szła naprzód.

— Idzie—szepnęła francuzka, rumieniąc się, głos ję drżał. Robotnicy go otaczają, rozmawia z nimi. Zaczekajmy tu w tém miejscu, gdy będzie przechodził przywita mnie.

Francuzka dobrym była taktykiem. Młody człowiek musiał ją zobaczyć. Gdy się do nię zbliżył, uśmiechnęła się czarująco i zrobiła krok naprzód, tym sposobem zatrzymała go i zmusiła do przywitania.

— Pan dziś nie wygłasza żadnej mowy—spytała. Co za szkoda, tylko dla ję wystuchania przyjechałyśmy tu, ja i pańska rodaczka.

— Moja rodaczka—powtórzył, podnosząc wzrok na Zosię. Tak szczerlnie zastępnę wstydzi się a pewno i boi. Znam ja moje rodaczki. W głosie ję czuć było szyderstwo i niechęć.

Zosia nerwowo zciągnęła welon zasłaniający jęj twarz i spojrzała dumnie.

— Ani obawa, ani wstyd—odpowiedziała po polsku stanowczo. Byłam sama, lecz od chwili, kiedy mam za towarzysza rodaka a jestem pewna, nie odmówi mi swęj opieki, zasłona jest mi niepotrzebną.

Niespodziewana odpowiedź i wyniosły jęj ton onieśmieliły młodego trybuna.

— Nie pojmuję, czego się można obawiać—odpowiedział nieco zakłopotany.

— W Londynie niczego, lecz w Paryżu kobieta nie ma praw i daruj pan, ludzie, którzy nas tu otaczają, nie nauczyli się jęj szanować.

Trybun wpatrywał się w piękną dziewczynę z wrastającą ciekawością i z uczuciem budzącęj się sympatii.

— Ten wyraz szanować—mówił wolno, trąci bałwochwalstwem. Dla tego, że pani przyszłaś na świat kobietą, jestem obowiązany z góry cię szanować, a dla tego, że ja urodziłem się mężczyzną...

— Pan możesz kazać się szanować.

— A pani?

— Należę do słabszęj połowy i w obec brutalnych stosunków i w obec przywileju brutalności mężczyzny...

— Brutalność—odparł z uśmiechem,—to jedyna siła w obec tyśiąca podstępów i sideł, któremi ujarzmiła kobieta mężczyznę. Broni się biedak.

— Jeżeli pan na te tory sprowadzasz naszą rozmowę, odpowiedziała Zosia nie bez odcienia niechęci i dumy.

Francuzka w duchu zaczęła żałować poznania trybuna z piękną polką, wielką damą, niezawodnie uczoną. Zazdrość zaczynała się budzić w jęj sercu. Nie spojrział na nią ani razu, czuła się upokorzoną i rozdrażnioną, nie umiała panować nad sobą i aby zdemaskować młodą dziewczynę,—odezwała się siląc się na wesołość.

— Czy panna hrabianka nie znudziła się w tym tłumie, który musi być dla pani odrażający.

Zosia zarumieniła się z gniewu.

— Co pani tu robisz—spytał trybun zapominając się.

— Ośmielona zapytaniem pańskim, mam prawo również zapytać, co pan tu robisz—polak, na estradzie wśród przywódców tego rodzaju zgromadzenia?

— Polak?—powtórzył—jakaż może odgrywać rolę moja narodowość w obec milionów wydziedziczonych? Dla tego, że jestem polakiem, nie mam pracować dla ulżenia doli francuzom, jeżeli chcą, lub mogę.

— Możesz pan, lecz przez to porzucicieś polaków, którzy nie są zbyt szczęśliwi.

— I pani jesteś polką, nosisz pewno cenione w kraju nazwisko, jesteś utytułowaną, posiadasz do tego miliony—nie wiem, co robiłaś w kraju, lecz mieszkasz w Paryżu. Znudzona salonami, lub może

zmęczona awanturą miłosną, przysłaś tu, szukać wrażeń, podrażnić powonienie atmosferą złożoną z dymu „kaporala“ i wyziewów spirytusu, napełnić uszy przekleństwami nieszczęśliwych, wyuzdanemi wykrzyknikami kobiet, których dzieci w domu umierają z głodu.

Mówiąc to, nie spuszczał z niej oczu. Gdy wspomniał o miłośnej awanturze na twarz dziewczyny buchnęły płomienie.

— Dajmy pokój — mówił dalej — narodowościom, dużo one kosztowały krwi i łez ludzkości, przez tyle wieków.

— Cóż zostanie — spytała.

— Ludzie! Wszystko dla ludzi i ich doli, wszystko, nie dla mrzonek, czy one nazywają się narodowościami, czy ideami państwowemi.

— Państwa — zaczęła Zosia...

— To są katy ludzkości — przerwał jęj — potwory, pijące jęj krew, torturujące ją od samych pierwocin cywilizacyi, która je stworzyła.

Dziewcze z kolei wpatrywało się w twarz trybuna, w niebieskie duże oczy, w których świeciły tajemnicze płomienie. Czoło wysokie, na skroniach nieco zakłębione jak u mistyka, owal twarzy długi, nos prosty i usta pełne, mięsiste, nieco otwarte, zdradzały marzyciela.

Francuzka oburzona za zapomnienie i wydarcie jęj kochanego przez piękną polkę, o którym zawsze miała nadzieję, że w końcu zostanie jęj kochankiem — odeszła.

Zosia obejrzała się. Sama wśród masy źle usposobionych dla niej ludzi i wyzywających kobiet, w obec człowieka, którego pierwszy raz widzi, zdrzała, opanował ją strach, zaczęła przypuszczać na-przód ułożoną zdradę francuzki.

— Pani szuka swęj towarzyszki?

— Nie znajduę jęj — odpowiedziała siląc się na spokój. — Zaprowadź mnie pan, jeśli łaska do karetki. Czeka na mnie w pierwszėj ulicy na prawo.

Trybun podał jęj ramię. Tłumy przed nim rozstępowały się z odcieniem szacunku. Wielu robotników witało go, podając mu swe szerokie, o twardej skórze dłonie. Szacunek ten udzielał się i Zosi, nie patrzano na nią wyzywająco, nie słyszała po za sobą przyciszonych śmiechów i dwuznacznych wyrażeń. Zdawało jęj się, że ją prowadzi wśród dzikich zwierząt pogromca ich — sama nie wiedząc dla czego czuła się dumną i bezpieczną.

Bella, usłyszała, mijając partję robotników włoskich w aksamitnych kurtkach i okrągłych, dużych kapeluszach. Opinia czutych na piękno włochów pochlebiła jęj.

Młody człowiek również słyszał wyrażenie robotników, spojrział na swą towarzyszkę i w duchu podzielał ich zdanie.

Opuścili salę, ucichły gwary, na ulicy było prawie pusto i ciemno. Dziewczyna odetchnęła całą piersią.

— Nareszcie czujesz się pani swobodną.

— Nieprzyzwyczajona do tłumnych ludowych zebrzań, doznaje wrażeń żołnierza, który szczęśliwie odbył pierwszą batalię.

— Po szczęśliwej próbie mamy nadzieję zobaczyć panią...

— Nie zwykłam nigdy cofać się. Tém więcéj dziś, gdy jestem u samego początku rozpoznania wielkiej sprawy.

Stanęli przed karetką.

— A zatém może szczęśliwe losy pozwolą mi zobaczyć panią.

— Do widzenia.

Karetką zniknęła w ciemności, młody trybun wrócił na salę i wśród tłumów szukał towarzyszkę Zosi. Zaintrygowana go piękna arystokratka, szukająca prawdy, pragnąca poznać się z nowymi ideami a może je pokochać tak jak on je kocha.

Modniarka rozmawiała z młodym fryzyerem.

— Uciekłaś pani od nas — odezwał się z cieniem wymówki trybun.

— Miałam słuchać ciągłego czepe-tepe. Zaczęło mnie już w gardle drapać. Nie widzieliście nawet kiedy odeszłam.

— Tak to zwykle bywa. Jeżeli się cudzoziemiec spotka z cudzoziemką, na chwilę zapominają o dobrych przyjaciółach, lecz niedługo wracają do nich. — Ujął ją za rękę, uściśnął i odprowadził parę kroków.

Od ciepła jego dłoni i uścisku dreszcz rozkoszy przeszedł dziewczynę. Patrzała w niebieskie jego oczy, gotowa rzucić mu się na szyję.

— Co to za jedna ta hrabianka polska, z kąd się ona wzięła, gdzie ją pani poznałaś?

— Z kąd się wzięła? pewno przybyła ze swego kraju — mówiła złośliwie. — Co za jedna? utytułowana awanturnica, której zaciasno w salonach. Poznałam ją, gdy zdyszana raniutko wpadła do omnibusu niezawodnie z jakiegoś miłosnej schadzki, spieszyła się, aby wrócić do domu, zanim matka się przebudzi. Później widywałam ją rozbijającą ludzi z kózka swego powozu na Polach.

— Żadnych więcéj szczegółów nie powie mi pani o niej?

— Jestto wielka pani i pewno wielka awanturnica, gdy ja ciężko pracuję na kawałek chleba...

— Prawda, co nam po wielkich paniach. Chodźmy się napić po kieliszku wina.

Francuzka propozycją przyjęła z radością, pewna, że jój się udało pokonać w sercu trybuna piękną arystokratkę.

Dziewczyna wsunięta w róg karetki, zmęczona doznaniem wrażeń odpoczywała i marzyła. Wszystko dla ludzi — państwa i idee, wszystko dla tych milionów, którym z oczu patrzy rozpusta, z ust leją przekleństwa, zmieszane z wonią spirytusu. Słyszała nieustannie gwary wypełniające wielką salę, przerywane wykrzyknikami lub śmiechem. Wszystko dla ludzi! Młody człowiek, który to mówił nie kłamał, ani nie pozował. W oczach świeciły mu ognie zapału a może i miłości, głos drżał szczerością.

Pracować dla tych milionów, żyć z niemi, bratać się, należy do poświęceń lub trzeba mieć wielką ambycją, mężstwo i wytrwałość...

Karetka zatrzymała się przed domem, okna salonu były oświetlone. Odźwierny, gdy wysiadła powiedział, że dwóch panów przyszło już od godziny. Przebiegła szybko schody, otworzyła cicho drzwi, dała znak pannie służącej, aby szła za nią i zwróciła się do swego pokoju.

— Czy mama pytała się o mnie?

— Powiedziałam, że pani miałaś migrenę i prawdopodobnie śpisz.

— Dziękuję ci. — Odetchnęła ciężko, usiadła na kozetce, oparła głowę o fotel i oczy zmrużyła. W głowie jej szumiał nieustannie gwar tysiąca ludzi, jak daleki odgłos morza, wypełniony przekleństwami. Wśród tego gwaru słyszała jeden głos łagodny a jednak przejmujący. Wszystko dla ludzi — niechaj padają państwa, w proch zetrą się idee, jeżeli upadkiem otrą ży ludziom i wywołają uśmiechy na ich usta.

Służąca przyniosła wieczorową suknię, należało wstać, ubrać się, ułożyć sentymentalno rozpieszczoną minkę i pójść.

W salonie prócz matki zastała hrabiego i Czesława. Na kominku zwyczajnym francuzkim palił się ogień. Lampa ostniona różowem szkłem rzucała światło, łączące się harmonijnie z czerwonym ogniem kominka. Woń hijacyntów wypełniała atmosferę. Cicho—ciepło—doznawała nieznaną jej dotąd rozkoszy. Czuła, że wracała z innego świata do siebie. Zbliżyła się do matki i pocałowała ją serdecznie.

Dobrze jej było, uśmiechała się czarownie, podając rękę Czesławowi i hrabiemu.

Rozmowa swobodna i wesoła zmieniała co chwila przedmiot i charakter, lecz nie zmieniała szlachtetnego tonu, wybitnej cechy ludzi dobrze wychowanych.

Czesław z początku onieśmielony wielkością hrabiego—na widok Zosi, która mu przypominała zachowaniem się swém żywo Zosię drezdeńską, odzyskał równowagę.

W dalszym toku i rozwoju rozmowy uwidoczniła się różnica zapatrywań między dwoma młodymi ludźmi. Jeden z nich naznaczał nieprzeparty pociąg do wielkości i panowania, drugi kładł główny nacisk na użyteczność. Staré nie było, mimo że dwa odrębne światy, dwa widnokregi myśli i przekonań, stawały przeciw sobie. Hrabia traktował Czesława z góry, on zaś uważał hrabiego za człowieka nie ze swój sfery, za obcego.

Zosia zamknięta w sobie, milcząca, słuchała. W jej umyśle powoli dokonywała się zmiana, nowe myśli się rodziły i pochłaniały ją. Nauczyciel jej mówił tylko o wielkich ideach wolności, żył przeważnie wielkością XVIII wieku, ludzie i użyteczność nie zajmowały go zupełnie.

— Dziwne mi się wydaje — mówił Czesław — gdy my w swym własnym kraju nie znajdujemy pola do pracy, rzucając się w wir życia i walk w społeczeństwach nam obcych.

Hrabia się litościwie uśmiechnął.

— Szlachcie — pomyślał — należy do gorących patriotów i zdradza namiętność do moralności.

Zosia milczała. Nie chciała już więcej mówić o smażeniu konfitur i gospodach chrześcijańskich. „Wszystko dla ludzi” powtarzała prawie bezwiednie, państwa i idee... Czesława uważała za człowieka, któremu brak szerokiego poglądu, lecz zaczynała się z nim godzić. Gdy hrabia nie odpowiedział, dziewczyna pod natłokiem świeżych wrażeń mimowolnie odezwała się.

— Miliony wydziedziczonych w obec garstki uprzywilejowanych...

— Taki porządek rzeczy i tak być musi, role są rozdane — odpart przyszyły mąż stanu. — Cała umiejętność leży w tym, aby owładnąć niesformnymi masami i prowadzić je po drodze cywilizacji.

— Do własnych celów — dodała Zosia.

— To na jedno wychodzi, albowiem cele nasze są cywilizacyjne. Miliony pracują dla garstki, lecz garstka ta daje im światło i jej zawdzięczają, że nie są dzikimi, że jedzą gotowaną strawę i chodzą okryci. Czyż my w rozdziale bogactw potrzebujemy więcej nad dwa funty mięsa dziennie przy dobrym apetycie, resztę biorą drudzy.

Logiką i spokojem pokonywał dziewczynę. I tym razem nie znalazła odpowiedzi. Spojrzała na Czesława, lecz i ten milczał. Nie zabierała więcej głosu i rozmowa potoczyła się po utartej drodze bieżących wypadków. Zosia słuchała, oddając się odpoczynkowi ze wrażliwą przyjemnością.

— Czy koniecznie potrzeba wstrząśnień i szamotań nerwów, aby ocenić rozkosz odpoczynku; czy koniecznie potrzeba ocierać się o tłum, słyszeć ich wyuzdane wrzaski i przekleństwa, aby ocenić rozkosz dobrego towarzystwa?

— Koniecznie — szepnął jej tajemniczy głos z głębi mózgu. Ten sam głos powiedział jej — pójdziesz tam raz jeszcze. — Spojrzała na hrabiego, lecz już nie tym wzrokiem ciekawości ognia i utajonego gniewu. Spojrzenia ich skrzyżowały się i zręczny gracz salonowy odgadł zmianę w uczuciach dziewczyny. Spojrzał na Czesława i uśmiechnął się pogardliwie.

— Nasze szlachianki zwykle tak kończą — pomyślał. — Z początku zanoszą się na coś niezwykłego, potem wychodzi za barczystego szlachcica i tonie w sąsiedzkich plotkach. Szkoda jej. — Był obrzyony. Obrażona miłość własna i zazdrość upominały się o swe prawa, popychały go do walki.

Czyż to podobna, aby ta rozumna i dzielna dziewczyna robiła taki wybór? Może to miłość, datująca się jeszcze z czasów krótkiej spódniczki? Nie — nie — ja to raczej strunę mej lodowatości przeciągnąłem zbyt silnie. Baczność jednak, aby nie być narażonym na śmieszność przez upadek w walce z barczystym szlachcicem.

Zabawił jeszcze krótką chwilę i powstał. Podał rękę Zosi, uściśnął ją serdecznie, zatrzymał jej dłoń parę sekund dłużej i mówiąc kilka na pozór zwykłych wyrazów, spojrzawszy jej w oczy.

Niedostrzegalny dreszcz przeszedł dziewczynę. Serce jej uderzyło radośnie, jak gdyby wygrywało tryumfalny marsz. Oczy przysłoniła rzęsami, wyprostowała się i jak królowa przyjęta zrozumiany tylko przez nią hołd.

Wyniosła postawa dziewczyny, oczy dumnie zmruczone podrażniły przyszłego dyplomatę i rozgniewały. Nie zdradził się nawet mrugnięciem oka — wyszedł.

— Nareszcie — zawołała w duchu, głęboko odetchnęła i usiadła z wyrazem twarzy człowieka, który dopiął celu.

Matka i Czesław patrzeli na nią.

— Mówcie państwo o kraju, okolicy, zbiorach i plotkach, ja słuchać będę i odpoczywać, odpoczywać. Ach co to za rozkosz odpoczynek i zwycięstwo — dodała w duchu.

— Cierpiełaś — mówiła matka i zbliżywszy się gładziła pieśzcotliwie włosy na jej czole.

— Cierpiełam — odpowiedziała cicho. — Teraz dopiero zaczyna mi się rozjaśniać w oczach i umyśle. — Pociągnęła matkę ku sobie i pocałowała. Pocałunek dziewczyny i tę parę obojętnych wyrazów, dobrze podziały na młodego człowieka i przykuły go do miejsca.

— Dobrze mi tu — mówiła dalej — doznaję uczucia, jak gdyby burza morską wyrzuciła mnie na brzeg, promienie wschodzącego słońca ogrzewały zziębnięte moje ciało. Rozkoszuję się i odpoczynkiem i ciepłem kominka, i tą atmosferą ciszy i spokoju.

Matka bezwiednie, instynktowo spojrzała na Czesława, który głowę pochylił i zaczął żywo poprawiać ogień na kominku.

O północy zaledwo odszedł — w salonie została Zosia zagłębiona w fotelu, rozkoszująca się ciepłem żarzących się węgli.

Zwycięstwo, jakie przed godziną odniosła nad tym zimnym i dumnym człowiekiem — upajało ją. Ambicya jej została nareszcie nasyconą, próżność zaspokojoną. Tryumfowała.

— A jeżeli jutro przyjdzie i oświadczy się o moją rękę? Nie — nie przyjdzie. W każdym razie spóźnił się o całe dwadzieścia cztery godzin. Wczoraj na balu o tej samej godzinie, gdy tak wielitościwie pruć mi nerwy — gdyby się był ukorzył, prosił o przebaczenie, mówił cicho i długo o swęj miłości, wtedy oszołomiona, rozrzuwiona, prawie nieprzytomna z bólu, a upojona zwycięstwem, wyciągnęłabym do niego rękę i poszłabym przez życie utartymi drogami. Może jak tryumfatorka, jeźelibym się wyparła swych przekonań, a prędzej jak męczennica, gdybym musiała na każdym kroku walczyć z egoizmem i jego pychą.

Więc ja go nie kocham, a wczoraj o tym samym czasie serce pekało mi z żalu nad sobą. Przebudziłam się z męczącego snu. Dziwne jesteście istoty. U nas zdobywać, ma to samo znaczenie, co kochać?... Dziś jeszcze wieczór, gdy go zobaczyła...

Przed oczami jej stanął młodzieniec o długich czarnych włosach i niebieskich oczach.

— Nowe idee i nowi ludzie — szepnęła. Wszystko dla ludzi — zamrużyła oczy i na ciemnym tle nocy zobaczyła robotników w czapkach zsuniętych na tyły głów, patrzących na nią z wyzywającą pogardą. Kobiety ich rzucały jej cyniczne spojrzenia, lub niezrozumiane przez nią wyrazy.

Dla nich, dla ich uśmiechu lub chleba, mają padać państwa i walić się stary porządek rzeczy? Należy objąć myślą i sercem miliony, aby mózgi sobie to wyobrazić. Należy objąć myślą tysiące lat i tysiące nędz ludzkich, aby mózgi to sobie przedstawić. Obejrzała się i zobaczyła matkę, siedzącą na kozetce z opartą na rękę głową.

— Mama tu — zapytała zdziwiona — nie w swoim pokoju.

— Czekalam, aby ci powiedziec dobranoc. Zosiu, ja sie boje o ciebie. Jesteś blada, zamysłona, rozmawiasz z sobą, wpatrujesz się w jeden punkt i wtedy nic i nikogo nie widzisz. Inną byłaś, moje dziecko w Zalesiu.

— Mamo i mnie żal tamtej Zosi, tęsknię za nią, radabym ją mieć tuż przy sobie, nareszcie być nią. Lecz cóż tamta bezpowrotnie uciekła od nas i nie wróci i już nigdy jej nie zobaczymy. Tamta, mamo, szalała na koniu, przepływała rzeki, wybuchała śmiechem serdecznym, tęskniła za ludźmi, których nie znała, marzyła — ciesząc się wyidealizowaną przez siebie przyszłością, wschodzącym słońcem, tężami na niebie, przeczytaną książką — uśmiechami wiejskich dziewcząt...

— A ta dzisiejsza Zosia, moje dziecko. — Mówiąc to matka zbliżyła się ku niej i położyła rękę na jej czole.

— Dzisiejsza, mamo? ja ją tak mało znam. Nie wiem czego chce, dokąd idzie, co nawet naprawdę myśli.

— Zdawało mi się — mówiła cicho — żeś... — zatrzymała się dla nabrania odwagi — pokochała.

— Kogo — spytała rumieniąc się.

— Tego zimnego i dumnego człowieka. Bałam się go i powiem ci prawdę drżałam o ciebie, lecz nie śmiałam głośno mówić.

— I dlaczego milczałaś?

— Jeżeli go kocha, pomyślałam, walczyć już za późno. Nie byłabyś z nim szczęśliwą. To nie jest dla ciebie mąż. Nie kochasz go?

— Nie mamo.

— Dziękujemy za to Bogu. Przez parę tygodni było bardzo prawdopodobne. Byłabyś stracona dla matki i kraju. A nie wiem, czym sobie na taką dolę zastąpiła. Widziałam grę między wami — męczył cię i gnębił... Nie lubię go i bałam się o ciebie.

— Biedne moje matczyisko bało się o swoją jedynaczkę. Prawda gnębił mnie i dręczył, lecz to już przechodzi.

— A zatem było niebezpieczeństwo? Serce matki nigdy nie zawodzi.

— Gdyby miał więcej uczucia, więcej szlachetnych instynktów, więcej ciepła.

— Serca, moje dziecko.

— Niezawodnie, niebezpieczeństwo byłoby prawdziwe.. I ka-
żesz mi dziękować Bogu?

— Ja już podziękuję i za ciebie. Tylko powiedz mi, jeżeli się
upokorzy, przeprosi cię i powie...

— Już powiedział, dziś przed dwoma godzinami.

— I cóż — pochwyliła matka przestraszona.

— Przebudziłam się z ciężkiego snu. Czuję, że byłam przez
niego oczarowana. Jednym uściśnieniem ręki odczarował mnie.

— Na zawsze?

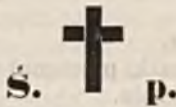
— Jestem tego pewna.

Przed oczami duszy matki przesunął się Czesław. Pochyliła się
ku córce i pocałowała ją w czoło.

— Wielkie zwycięstwo! No chodź, chodź moja jedynaczko, po-
łóż się, odpocznij. Tyle wzruszeń. Pojmuję, że to są ciężkie prze-
jścia, gdy los całego życia w jednej chwili się rozstrzyga.

Ukołysana przez matkę dziewczyna zasnęła.

(C. d. n.)



Mikołaj dr. Zyblíkiewicz.

(Ur. 1823-go † 16-go maja 1887 r.).

W 64-ym roku życia, więc jeszcze w tym okresie, w którym twórczość szczególnie na publicznej arenie w całej pełni się uwydatnia, zmarł dnia 16 maja r. b. w Krakowie, wśród objawów najgłębszego żalu były marszałek krajowy Mikołaj dr. Zyblíkiewicz.

Wszystkie wspomnienia pośmiertne o tym mężu, którego zgon wywołał w całym, ale to literalnie całym kraju—od Krakowa zacząwszy a na zachodnim końcu Galicyi skończywszy—żał tak bolesny, jaki się tylko po stracie osób najbliższych i najdroższych objawia, wszystkie, powtarzam, wspomnienia pośmiertne o Mikołaju Zyblíkiewiczu, pisane dorywczo pod pierwszym wrażeniem katastrofy, mogą stanowić chyba tylko skromną prenotacją do przyszłej biografii. Konkursową premią wartoby uwieńczyć tę przyszłą biografią, bo jeżeli będzie wyczerpującą, jeżeli wiernie odda wszystkie działania i usiłowania Zyblíkiewicza na widowni parlamentarnej, na krześle prezydenta miasta Krakowa, a wreszcie na krześle marszałkowskiem — to będzie to źródłowa historia autonomicznego okresu Galicyi w ostatniem 25-leciu. Ktoby to wyrażenie uważał za floskuł stylistyczny, za konwencyonalną przesadę nekrologową, naraziłby się najpewniej na słuszny zarzut ignorancji spraw publicznych w bieżącym okresie naszego życia publicznego. Na wszystkich zdobyczach i dziełach znaczenia publicznego, wywalczonych lub dokonanych w Galicyi od pierwszego brzasku ery autonomicznej, położyc można napis „Zyblíkiewicz fecit,” albo „Zyblíkiewicz magna pars eorum fuit.”

Biograf Zyblíkiewicza będzie miał przed sobą trudne zadanie i ogromny materiał do opracowania. Nie braknie jednak w tej pra-

cy rozdziałów tak wdzięcznych, że ich biografowi pozazdrościć można. Cały pierwszy okres życia Zyblikiewicza aż się prosi do barwnego opisu. Ten chłopak kilkunastoletni, syn zubożałego mieszczanina z maluczkiej mieściny górskiej, ze Staregomiasa, wyprawiający się z domu z próżnymi rękami na studia gimnazyalne do Sambora i Przemysła i utrzymujący się całkowicie z lekcji prywatnych, a mimo to wspierający już wówczas rodzinę—to już zjawisko niepospolite, zapowiadające przyszłego męża wyższej miary. Ciężkie było to życie studenckie Zyblikiewicza, ale zahartowało jego charakter na wszelkie późniejsze walki i trudy. Najweselszy epizod tego studenckiego życia stanowi—to najlepiej charakteryzuje dolę ówczesną późniejszego pierwszego autonomicznego dygnitarza kraju—zaoszczędzenie w ciągu całego roku sumy 5-ciu, mówię i piszę pięciu złotych austriackich, id est trzech rubli! Z tą sumą w kieszeni bowiem wybrał się młody Zyblikiewicz w drogę do Lwowa, opędził koszta podróży, zaspokoił trawiącą go ciekawość oglądania stolicy i — powetował sobie długie prywacye! To jeden tylko szczegół charakteryzujący stosunki, w jakich wzrastał ten mąż, który potem pchnął Kraków ku nowemu rozkwitowi, przysporzył krajowi na indemnizacyi i funduszach krajowych krociowe oszczędności, i zostawił po sobie w spuściźnie bank krajowy z programem ekonomicznego odrodzenia kraju.

Zyblikiewicz miał zostać profesorem gimnazyalnym, ale ówczesny system rządowy nie dopuścił takiego charakteru do zetknięcia się z młodzieżą. Dobrze nawet wyszedł na tém Zyblikiewicz, bo rzucił się do studyów prawniczych i jako trzydziestokilkuletni adwokat zaraz zasłynął w Krakowie i w kraju. Jeszcze nie rozbudził się prąd politycznych aspiracyi w kraju, jeszcze nikomu nie przyszło na myśl upominać się o ustępstwa na rzecz języka polskiego, a już wtedy młody adwokat krakowski, dr. Zyblikiewicz, rozpoczął jedną ze swoich świetnych obron w sądzie karnym śmiałym i otwartym żądaniem, aby rozprawy karne toczyły się nie w języku niemieckim, lecz polskim! Omal nie odebrano mu za to dyplomu adwokackiego, ale już w kilkanaście lat później daném mu było przodować téj delegacyi sejmu galicyjskiego w Radzie państwa, która wyjednała cesarskie rozporządzenie, zaprowadzające język polski w szkołach i urzędach galicyjskich.

Od r. 1861 do 1874-go Zyblikiewicz jako poseł sejmowy i poseł Rady państwa, był sam w sobie i sam dla siebie potęgą parlamentarną, równą całemu stronnictwu. Ze porywał świetnymi mowami, że zdumiewał przytomnością umysłu, która w wiekańskiej Radzie państwa pozwalała mu na zawołanie pokonać najwymowniejszych przeciwników niemieckich—to stanowi dar niepospolity, ale toby jeszcze nie wystarczało do uzasadnienia téj potęgi moralnej, jaką dysponował Zyblikiewicz. Cały duch obywatelski, jaki wiał z jego wystąpień parlamentarnych, jego niezachwiana konsekwencya w wyzyskiwaniu wszelkich sytuacji na rzecz spraw krajowych, ciągłe a ciągłe wysłenie o kraju i tylko o kraju—oto prawdziwy sekret téj potęgi. „Nie przy-

jechał jeszcze Zyblikiewicz, to znaczy niema jeszcze pół sejmu!" Tak mówiono we Lwowie na każdej sesji sejmowej, jeżeli Zyblikiewicz nie zdołał przybyć zaraz na pierwsze posiedzenia. A była racya w tém powiedzeniu! Mnóstwo jest spraw takich, w których słowo Zyblikiewicza decydowało w ostatniej chwili, a decydowało z pożytkiem dla kraju. Oto jeden tylko przykład. Przed 10-ciu laty chciał rząd poddać naftę galicyjską pod ustawę górnictwą, z pod której wyjętą była osobnym rozporządzeniem cesarskim. Przedstawiono sejmowi, że chodzi o zmianę bardzo korzystną, bo jeżeli będzie można poszukiwać naftę i urządzić kopalnie nafty tak samo jak inne kopalnie górnicze nawet wbrew woli właściciela gruntu, przybędą z zagranicy przedsiębiorcy z kapitałami i rozwinie się ogromnie przemysł naftowy. Zdawało się, że jest w tém wielka racya i projekt rządowy miał wszelkie szanse. W ostatniej chwili powstał Zyblikiewicz z gorąco powiedzianą refleksją, że z kapitałami obcemi ściągną się także obce żywioły, które, mając prawo szukać i wydobywać naftę wbrew woli właściciela gruntu, wywłaszczą wieśniaka z ojcowizny i zapanują nad rodzimym żywiołem społecznym, że zatem nie godzi się dla korzyści materyalnych zapominać o wyższych interesach społecznych. W ostatniej chwili refleksya ta zwyciężyła, wniosek zaliczenia nafty do górniczych regaliów upadł, a dziś wszyscy pewnie błogosławiają temu zwrotowi, bo przemysł naftowy zaczął się rozwijać, wprawdzie mniej szybko, niżby to nastąpić mogło z obcemi kapitałami, ale za to z pożytkiem nie dla obcych przybyszów, lecz dla krajowej ludności.

Fakt powyższy nie stoi bynajmniej w pierwszym rzędzie parlamentarnych sukcesów Zyblikiewicza, ale zasługiwał na przytoczenie jako charakteryzujący niepospolitą przenikliwość, z jaką ten znakomity poseł umiał w sprawach krajowych od razu trafić w rdzeń rzeczy, a zarazem bystrość, z jaką dostrzegał i bronił wyższych interesów społecznych nawet tam, gdzie one zasłonięte ponętnemi zkadinał, ale niższemi co do wartości swój korzyściami, nie każdemu od razu wpadały w oko.

Powołany wyborem współobywateli na prezydenta Krakowa, Zyblikiewicz w r. 1874 opuścił widownią parlamentarną w Wiedniu i zatrzymawszy tylko mandat sejmowy, całą duszą oddał się dziełu podźwignięcia Krakowa z upadku. Czóm był Zyblikiewicz jako prezydent Krakowa, o tém dla samej informacji wiele pisać nie potrzeba, bo o tém monumenta loquuntur! Kraków zapisze imię zmarłego złotemi głoskami w historii swojej. Jako prezydent Krakowa zasłużył się Zyblikiewicz całemu krajowi w r. 1880, gdy urządził dla cesarza Franciszka Józefa przyjęcie, jakiego nie powstydziłaby się żadna inna stolica. W kilka miesięcy później Galicya bez zdziwienia, nawet bez sensacy, owszem jako rzecz wówczas naturalną się wydającą i z wyrazem niekłamanej radości przyjęła fakt, że z woli monarchy insygnium najwyższej w kraju godności autonomicznej, laska marszałkowska dostała się w ręce Zyblikiewicza, jako piątemu z rze-

du marszałkowi po Leonie księciu Sapieże, po Alfredzie hr. Potockim Włodzimierzu hr. Dzieduszyckim i po Ludwiku hr. Wodzickim!

Jako marszałek krajowy otworzył Zyblikiewicz sesją sejmową w r. 1881 mową, w której postawił szeroki program akcji, mającej na celu wszechstronną naprawę stosunków. „Biblioteka Warszawska” kilka lat z rzędu podawała sprawozdania z sesji sejmów galicyjskich, w których szczegółowo przedstawiony był program Zyblikiewicza. Czytelnicy znajdują szczegóły ważniejsze już o początkowych rezultatach akcji. Zawsze jednak i w tym krótkim wspomnieniu zaznaczyć wypada sumaryczny wynik marszałkowskiej akcji Zyblikiewicza. Galicyjcy w ostatnich trzech latach przybyło szkół ludowych o wiele więcej, aniżeli w poprzednim dziesięcioleciu, więc znacznie kraj postąpił naprzód ku ziszczeniu hasła Zyblikiewicza: „W każdej gminie powinna być szkoła, chociażby początkowo tylko skromna szkoła.“ Fundusz krajowy, dzięki oszczędnościom w różnych gałęziach administracyjnych, mógł wydawać corocznie krociowe sumy na inaugurację dwóch wielkich planów inwestycyjnych t. j. na przedsiębiorstwa rolniczo-melioracyjne i na popieranie przemysłu krajowego, którego zawzięcie już dziś widzieć można. Przyszłe pokolenie oglądając owoce tych dwóch inwestycji, przyzna Zyblikiewiczowi tytuł nieustraszonego i niezrażonego pesymizmem, ani obojętnością ogółu pioniera ekonomicznego odrodzenia kraju. I sprawy regulacji rzek galicyjskich nie można odłączyć od imienia Zyblikiewicza. Z zagnieżdżonym u nas pesymizmem walczył Zyblikiewicz do upadłego. Ostatnia mowa w sejmie, wygłoszona przez Zyblikiewicza w styczniu r. b., już tylko w charakterze posta, skierowana była właśnie przeciw temu pesymizmowi, jako zapora w pracy nad podźwignięciem kraju.

Człowiek czynu, jakim był Zyblikiewicz, nie pozostawił imponujących pomników w dziedzinie piśmiennictwa; ale i tu potrafił zapisać imię swoje. W sprawie pomnika Piusa IX-go na Wawelu, ogłoszona w r. 1879-ym w Krakowie „Korespondencya między magistratem m. Krakowa a komitetem budowy pomnika,“ jest o ile się tyczy magistratu pracą Zyblikiewicza (Zyblikiewicz dr. i Tarnowski dr.). W roku 1880-ym ogłosił w Krakowie szerszą rzecz o „Indemnizacyi“ (Kraków, 1880, str. 67).

Że choroba, którą Zyblikiewicz w listopadzie z. r. umotywował swoje ustąpienie z krzesła marszałkowskiego, rzeczywiście kładła kres jego niestrudzonej dotąd akcji, to niestety pokazało się już w kilka miesięcy później. Ale i to ustąpienie z marszałkowstwa było niepospolitem tak jak wszystko było niepospolitem w tym mężu! Wniósł swoje dymisy, nie mówiąc o tém nikomu, niemal kryjąc się z tém, aby nie sprawiać sensacyi i nie dać powodu do ostrzejszego przebiegu przesilenia. Kiedy mimo to dwie trzecie części wszystkich reprezentacyi powiatowych i obie stolicy kraju telegraficznie wniósły do ministra-prezydenta hr. Taaffego prozby, aby nie przyjął dymisy i kiedy hr. Taaffe, licząc się z tą doniosłą manifestacją, próbował skłonić

Zyblikiewicza do cofnięcia dymisy, on krótką odmową przerwał wszelkie dalsze zwlekanie nominacy nowego marszałka.

Zyblikiewicz, który jako adwokat mógł lekko krociową fortunę uzbierać, gdyż miał najgłośniejszą w Krakowie kancelaryą a umiał poprzestawać na małym—pozostawił, jak się pokazało po jego śmierci, tylko 20,000 ztr., więc zaledwie tyle, żeby z procentu opędzić wydatki najskromniejszej egzystencji! Ten fakt lepiej niż wszelkie wyrazy uwydatnia fenomenalną nieskazitelność i bezinteresowność Zyblikiewicza. O tej nieskazitelności i bezinteresowności, o abnegacyi na rzecz kraju i jego dobra możnaby przytoczyć szereg faktów, które i u nas niestety są zjawiskami już coraz rzadszemi. Jeden z najpoważniejszych dzienników wiedeńskich napisał w pośmiertnym wspomnieniu o Zyblikiewiczu: Sein Leben war ein blanker Schild, rein und fleckenlos! (Jego życie było jak lśniąca tarcza, czysta i bez skazy!).

Zyblikiewicza, który zawsze wienił się rusinem i do narodowości ruskiej tak samo jak do obrządku grecko-katolickiego zawsze głośno się przyznawał, dysponował na śmierć grecko-katolicki proboszcz ks. Borsuk. Nad grobem Zyblikiewicza posępne *salve regina* zaintonowane przez rz. kat. biskupa krakowskiego Dunajewskiego, zlewało się ze smętnym „wicznaja pamiat’“, zaintonowanym przez metropolitę kościoła gr. kat., ks. arcybiskupa Sembratowicza. Trumnę Zyblikiewicza otaczały szeregi deputacyi z całego kraju, od stolicy aż do skromnego Starogo miasta a za trumną postępował olbrzymi orszak, w którym wiejskie siermięgi i małomiejskie kapoty mieszały się z lśnjącymi od złota i kamieni strojami. W orszaku tym nie brakło pewnie ani reprezentantów najwyższych rodów w naszym społeczeństwie, ani najgłośniejszych znakomitości Galicyi ze wszystkich zawodów, ani zastępców wszystkich pracujących klas społeczeństwa. Był to imponujący obraz jednomyślnego hołdu dla przeznaczego i zasłużonego obywatela, którego pamięć, droga krajowi, zatarała na chwilę różnice obrządkowe, narodowościowe i partyjne, waśniące nasze społeczeństwo. Cieniom Zyblikiewicza taki właśnie hołd się należał!

Kraków 23 maja 1887 r.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

„Altpolnische Sprachdenkmäler. Systematische Übersicht Würdigung und Texte. Ein Beitrag zur slavischen Philologie von prof. dr. Nehring. Berlin, Weidmannsche Buchhandlung, 1887.

W miarę rozwinięcia się u nas poszukiwań archiwalnych i bibliotecznych, poznajemy coraz więcej mniejszych i większych pomników dawnego języka polskiego, które nie tylko o jego rozwoju odmienne wyrobiły pojęcie, ale i na dzieje literatury czysto polskiej dawniejszych epok nowe rzuciły światło. Ostatnie zwłaszcza dwudziestolecie przyniosło oprócz takich zabytków, jak Biblia królowej Zofii (1872), Modlitwy Wacława (1875) i Psalterz puławski (1880), mnóstwo innych drobnych pieśni, modlitw, formuł obrzędowych, rot przysięg i ortyli magdeburskich, z których niektóre sięgają do w. XIV-go, nawet z pewną bo oznaczoną datą. Wielką część zasługi przypada w tym dziale obok innych d-rowi Wł. Wisłockiemu, kustoszowi biblioteki Jagiellońskiej, który w stu niemal rękopisach dawniejszych i nowszych (własności tej biblioteki), odszukane pomniki w katalogu bądź w całości wydrukował, bądź w urywkach, wskazując tym sposobem badaczom języka drogę i środek do dalszych poszukiwań.

Kiedy nadto w publikacjach Akademii umiejętności i w innych naukowych czasopismach coraz częściej pojawiają się nowo-odkryte pomniki, w miarę ich wzrostu dawała się odczuwać potrzeba skodyfikowania tego, co już wydano, i systematycznego przeglądu bądź to ze względu na wiek, bądź na wartość.

Rok ubiegły i bieżący zaspokoiliy poniekąd tę głęboko odczuwaną potrzebę: rok ubiegły przyniósł nam w „Pracach filologicznych“ t. I, (str. 608—662) inwentarz wydanych zabytków; rok bieżący zaś dzieło prof. Nehringa wymienione w nagłówku, które obok przeglądu

systematycznego, podaje zarazem wartość pomników i wzbogaca je kilku nowymi nader ciekawymi tekstami.

Aby dać wyobrażenie o zawartości i układzie dzieła, zaznaczamy przedewszystkiem, że składa się z trzech głównych części: ze wstępu ogólnego, z przeglądu pomników i nakoniec z tekstów, dodanych w całości lub w urywkach.

Sz. autor obznajmiony z materiałem, który wziął do opracowania, czuł zapewne więcej niż kto inny potrzebę pewnego uporządkowania i krytycznego zbadania dotychczas znanych pomników językowych. Aby to uczynić, musiał zebrać, oprócz osobno wydanych, również i czasopisma i dzieła historyczno-literackie, musiał, poczynawszy od „Dykcyonarza poetów“ ks. Juszyńskiego i „Prawdy Ruskiej“ Rakowieckiego, aż do ostatniego tomu „Sprawozdań Akad. umiej.“ przewertować i porównać wszystko, z czego we wstępie (1—5) sumienny zdaje rachunek. Tak zebranemu materiałowi postanowił autor nadać odpowiedni porządek; oprócz opisanie pomników pod względem bibliograficzno-literackim podać krytykę i sprostowanie tekstu i ocenę pomników ze względu na czas powstania, treść, język i t. p., słowem, postanowił podać aparat krytyczny, historyczno-literacki i filologiczny, jakiego dotychczas nie było.

Rzecz samą podzielił autor na dwie nierówne części: pierwsza obejmuje pomniki epoki najdawniejszej aż do XIV-go stulecia (str. 6—15), druga epokę XIV-go i XV-go wieku (str. 16—210). Podział taki był konieczny ze względu na to, że z przed r. 1300 nie posiadamy żadnego tekstu ciągłego, lecz tylko luźne wyrazy w większej części nazwy osób, miejsc, wyrazy prawne, techniczne i t. p., znajdujące się w dokumentach, kronikach, statutach, na monetach i t. p. Z drugiej strony jednak nie rozumiemy granicy, jaką sobie autor w pracy swej postawił t. j. r. 1500. W podaniu treści (str. V) widzimy tylko „Die Epoche des XIV und XV-en Jahrhunderts,“ a na str. VII wyraźnie zaznaczono „Poetische Sprachdenkmäler vor 1500;“ we wstępie (str. 1) nazywa autor swą pracę „den ersten Versuch einer systematischen Würdigung der altpolnischen Sprachdenkmäler vor der Periode der polnischen Druckwerke,“ a więc wzięwszy przeciętną od najstarszego polskiego druku 1475 (Maciej. Dodatki 47—48 i Prace filol. I, 60 n.), a powszechnie znanymi „Rozmowami Salomona z Marchortem“ r. 1521, otrzymamy znowu mniej więcej rok 1500-ny. A przecież nie jestto granica stanowiąca o wartości i znaczeniu pomnika językowego, bo wiele jeszcze cennych zabytków od téj daty późniejszych, a i sam autor w dziele musiał ją przekroczyć, nie mogąc pominąć (na str. 46) modlitwy z początku wieku XVI-go (wyd. Kałużniacki): Modlitewnika siostry Konstancyi z r. 1527 (str. 55 n.), Wigilię za umarłe ludzkie z r. 1520 (str. 58 i 125), Kazań Paterka z roku 1523 (str. 89 n.), Żywota Ojca Amandusa blisko z połowy w. XVI-go (str. 131), — lub choćby nawet takich drobnych pomników z w. XVI, jak glossy na stronicach 28, 29, 30 omawiane. Tych drobnych nie-

konsekwencji byłby szan. autor uniknął przez proste tylko zaznaczenie granicy do r. 1550, jaką sobie zakresliła np. komisya językowa Akademii umiej. w gromadzeniu materyału do słownika staropolskiego. Druków bowiem z tego okresu mamy nie wiele, a i te bardzo rzadkie, przeto każdy rękopis polski mniejszy czy większy, który niezawodnie do owéj epoki odnieść można, stanowi cenny zabytek języka.

Do XIV stulecia piśmiennictwo polskie posługuje się językiem łacińskim i o polskich zabytkach nie ma zupełnie mowy. Domyślać się tylko możemy, że istniały polskie rotys przysięg, modlitwa Pańska, spowiedź powszechna, psalmy pojedyncze, formułki przy udzielaniu Sakramentów ŚŚ. ale nic z tego nie mamy. Znajdują się tylko luźne wyrazy w łacińskich tekstach, po największej części imiona osób i miejsc, a wszystkie te okruchy zebrał i dla językoznawstwa wyzyskał prof. Baudouin de Courtenay w rozprawie: „O drevne-polskomъ jazykѣ do XIV stulětija“ (wydanéj w Lipsku 1870)—zwłaszcza przez zestawienie leksykalne i umiejętne opracowanie. Prof. Wojciechowski natomiast wyzyskał ten sam materyał, pomnożony zwłaszcza w nazwach miejscowości i rzek, do celów historyczno-etnograficznych w dziele „Chrobacya...“ I, Kraków 1873. Wiele nazw jest tu dobrze objaśnionych, ale niektóre uwagi ostać się nie mogą. To, co obaj wymienieni uczeni zrobili możnaby jeszcze uzupełnić późnien wydanymi dokumentami, które prof. N. dokładnie wylicza. Tyle o czasach przed wiekiem XIV-ym.

Pomniki następnych dwu wieków a zwłaszcza wieku XV-go, stanowią w sporéj liczbie taką rozmaitość, że koniecznie wypadło je podzielić podług formy na prozaiczne i poetyczne. Pierwsze są naturalnie liczniejsze niż drugie. Prof. Nehring, idąc drogą indukcji, roztacza przed nami powoli obraz prozy polskiej rozpoczynając od luźnych wyrazów t. zw. gloss, dosyć licznych w tekstach łacińskich i polskich. Są to albo wyrażenia kościelne, zwłaszcza umieszczone w kazaniach, albo nazwy leczniczych roślin i chorób, albo imiona miesięcy, ogólne zbiory wyrazów, i wyrażenia prawne, mające przedewszystkiem wartość leksykalną.

Przechodząc do modlitw i modlitewników (książek do nabożeństwa) zaznacza sz. autor, że wnioskując ze stanu rzeczy w innych krajach, szczególniej w Niemczech, można na pewno przedstawić używanie języka polskiego w kościele, jako minimum aż do wieku XV; używano go tylko do koniecznych obrzędów i wykładu Ewangelii św. jak również do uczenia pacierza, ale zresztą tylko go znoszono z potrzeby. Ztąd to pochodzi, że z tego czasu mamy tylko liczne przykłady w polskim języku napisanego pacierza i kilku modlitw, zresztą są to prywatne modlitewniki; kazań zaś polskich we właściwym tego słowa znaczeniu prawie wcale nie mamy, bo „Urywek starożytnego kazania o małżeństwie“ wydany przez Z. Glogera (Bibl. Warsz. 1873) nie uważa sz. autor za kazanie, a „Kazania gnieźnieńskie“ tylko najwięcej

się zbliżają do tego gatunku pisarskiego. Formą kazań i ich dyspozycją zajmuje się sz. autor bardzo szczegółowo, rozbiera „Kazania Gnieźnieńskie,” prostując w wielu miejscach tekst i przychodzi do wniosku, że autorem tych kazań był jakiś mnich z zakonu jałmużników, i że ich powstanie można odnieść do końca w. XIV, albo najdalej do początku w. XV-go.

„Kazania Paterka“ (wyd. prof. L. Malinowski Sprawozd. komisyi język. Akad. umiej. I), nie są również właściwymi kazaniem; lecz uczonymi traktatami, pisany może jako ćwiczenia przy sposobieniu się do urzędu kaznodziejskiego.

Czwarty rozdział tworzy rzecz o psalterzach. Najstarszy z nich z w. XIII-go zagał i wieść tylko o nim pozostała w „Żywocie św. Kunegundy;“ po nim posiadamy psalm 50, na karcie luźnej znajdującej się w Bibl. Krasieńskich (dawniej własność K. Świdzińskiego), Psalterz floryański z końca w. XIV, kilka psalmów w „Modlitwach Waclawa“ z połowy w. XV-go i Psalterz puławski z końca w. XV-go. Przy omawianiu karty Świdzińskiego zamieścił sz. autor bardzo interesujący dowód, że t. zw. rękopis medyczny, zawierający ten sam psalm, co karta Świdzińskiego, jest z wyklętem falsyfikatem naszego stulecia.

Jako wydawca części polskiej „Psalterza floryańskiego“ szan. autor z wielką znajomością rzeczy opowiada jego losy, oznacza czas jego napisania mniej więcej około r. 1370 i twierdzi, że tekst polski jest kopią jakiegoś starszego psalterza, w którym już musiały być czechizmy i do tej kopii przeszczepione. Tłumaczenie to w ogólności jest dosyć niezręczne, język w części pierwszej bardziej obfituje w archaizmy niż w częściach dalszych.

„Psalterz puławski“ zgadza się w zupełności z tekstem floryańskiego, tylko, że archaizmy poprzedniego zastąpiono wyrazami nowszymi; mimo to nie jest on kopią floryańskiego tylko oba z jednego wypłynęły źródła. Wielka wartość psalterza Puławskiego głównie w tém spoczywa, że jest on doskonałą wskazówką do ocenienia i sprostowania tekstu Psalterza floryańskiego i pozwala wnioskować o jakości owego prototypu obu psalterzy i wszystkich ułamków. Język jego ma już wiele cech języka w. XVI-go.

Jedyny fragment biblii polskiej, zawierający nie cały stary testament, to „Biblia królowej Zofii,“ wydana przez prof. Małeckiego we Lwowie w r. 1870. Jestto przekład na podstawie Biblii czeskiej dokonany, i ztąd pochodzą błędy i odstępstwa od tekstu Wulgaty.

Następnie omawia sz. autor zabytki, odnoszące się do obrzędów kościelnych, a więc najpierw „Canon missae“ po polsku (Maciej. Dod. 48) z w. XV-go następnie „Książeczkę dla bractwa św. Franciszka“ (Maciej. Dod. 77, w wyjątku) pochodzącą z lat między 1513 a 1523. Zawiera ona przepisy zakonu św. Franciszka w życiu i przy nabożeństwie.

Legend prozą i całkowicie dochowanych mamy tylko dwie i to

obie z w. XVI-go „Historią o papieżu Urbanie“ znalezionej w Agendzie Hallera z r. 1514, wydał prof. A. A. Kryński w Pracach filolog. I, 59 n.; różni się ona w niektórych miejscach od fragmentu wydrukowanego u Maciej. dod. 120, a któremu wydawca dał r. 1468. „Życie ojca Amandusa“ (Henryka Inso) przekład z łacińskiego, wydane przez ks. Polkowskiego (Sprawozd. kom. jęz. Akad. umiej. III) odnosi prof. N. na pewne dopiero do połowy w. XVI i zwraca przytęm uwagę na błędy i wątpliwości, do jakich daje powód wydanie. Za szczególną wadę poczytuje wydaniu brak objaśnień przy nieznanym i niezrozumiałym wyrazach, lub co gorsza błędne objaśnienie. Jako rzecz należąca do tego działu chociaż nie legendę, omawia prof. N. opis postaci Chrystusowej, znaleziony przez d-ra Wiśtockiego w łacińskim rękopisie z r. 1417/18 (nr. 2151); wspomina o historyi Męki Chrystusowej, zachowanej w urywku, którą Maciejowski (w dod. 106) podał i za Lelwelem (Bibl. ks. dwoje) przypisując Mikołajowi z Błonia, odniósł jeszcze do r. 1451; potem o legendzie, podającej „Szczegóły o Najśw. Maryi Pannie“, wydane przez Maciejowskiego, a będące przekładem z łacińskiego utworu jakiegoś franciszkanina; nakoniec o „Fragmentcie żywota św. Błażeja (wydanym przez Augusta Bielowskiego w Czas. Bibl. Oss. 1864) który ze wszystkich legend jest najstarszy, bo z pewnością jeszcze z początku XV-go wieku pochodzi.

Ostatni rodzaj pomników prozy polskiej stanowią zabytki prawa polskiego. Tu należą przekłady statutu Wiślickiego z r. 1449 i 1460, różne od siebie równie co do języka jak i co do wartości, a wreszcie z końca w. XV-go wydany przez K. Wł. Wójcickiego w r. 1847; dalej statut Mazowiecki, przełożony przez Macieja z Rożana r. 1450; następnie liczne rotys przysięg: poznańskie, krakowskie, sieradzkie, nakoniec ortyle magdeburskie i artykuły prawa magdeburskiego.

Na tém kończy szan. profesor przegląd pomników prozy polskiej XIV i XV-go w. czyli, mówiąc dokładniej aż do połowy XVI-go stulecia. Mimo wszelkiej skrupulatności i dokładności nie zaszczycił sz. a utór nawet wzmianką właśnie przy ostatnim rodzaju prozy ani „Dutek ziemskich brzeskich“ (K. Małkowskiego: Przegląd najd. zab. str. 116—120) ani „Księgi ziemi czerskiej 1404—1425“ wydanej w Warszawie w r. 1879 a zawierającej rotys przysięg i zeznania pisane w języku polskim. W obec innych z tego czasu pomników zasługiwała na wzmiankę: „Książka do nabożeństwa króla Zygmunta I“ wydana (niestety tylko) w licznych wyjątkach przez d-ra J. Hanusza w Rozp. i Spraw. wydz. fil. Akad. umiej. t. XI, (1886), podobnież i „Exemplar informatio-nis“ ustępi prozaiczny nie wielki w Długosza Lib. benef. t. III, wydany przez Al. Tyszyńskiego w Bibl. Warsz. 1868, I, 147 „O Epistoli św. Bernarda“ znajdujemy tylko na str. VI i w „Nachträge“ str. 306 ale w tekście we właściwem miejscu o tém nic nie ma.

Podobnie, jak w prozie polskiej, gdzie jęz. użycie z małymi wyjątkami do celów kościelno-religijnych było ograniczone, widzimy

to jeszcze wyraźniej w poezji, którą też szan. autor dzieli na kościelną (duchowną) i świecką.

Przed XV w. śpiewano polskie pieśni w kościołach chyba tylko wyjątkowo i w bardzo ograniczonej mierze, najprawdopodobniej tylko przy procesjach, odpustach i innych większych uroczystościach. To też między sporą liczbą pieśni, w większej części czei Matki Boskiej poświęconych, nie zawsze nawet trzeba upatrywać pieśń w dzisiejszym naszym pojęciu, bo to mogła być modlitwa wierszowana.

W szeregu pieśni o Matce Boskiej pieśń „Bogarodzica“ naczelne zajmuje miejsce i najwięcej budzi interesu. To też szan. autor poświęcił jej najwięcej miejsca, chociaż starał się tylko jak najzwieźlejš strześć to, co badania lat ostatnich (w których sam bardzo czynny brał udział) nowego przyniosły. Rezultat ten możnaby w ten sposób strześć, że tylko pierwsze dwie zwrotki są bardzo stare, pewnie najstarsze ze wszystkich kościelnych pieśni w Polsce i tworzyły pieśń bojową. Ale właśnie dla tego, że są najstarsze rekonstrukcyja tekstu jest bardzo trudna i usiłowania w tym kierunku podjęte, do zadawalniających rezultatów nie doprowadziły. Głównych części wyróżnić trzeba trzy: a) pieśń do M. Boskiej, b) pieśń wielkanocną i c) pieśń postną. Inne części są tylko luźnie doczepionemi pieśniami do różnych świętych. Autorstwo pieśni również niezbadane; tradycyjne przypisywanie go św. Wojciechowi być może tylko wskazówką wielkiego tej pieśni pokrewieństwa z pieśniami kościelnymi czeskiemi, jak w ogóle wpływ czeski na naszą literaturę w. XV a nawet XVI-go jest bardzo silny.

Następnie omawia autor 16 innych krótkich lub fragmentarycznych tylko pieśni do M. Boskiej, głównie w Maciejowskiego „Dodatkach“ przekazanych, starając się wyszukać w nich jakąś budowę rytmiczną i poprawić tekst, o ile to możliwe, na podstawie porównań zwłaszcza z łacińskimi pieśniami.

Drugi rozdział tworzą pieśni na Boże Narodzenie w liczbie czterech; trzeci wielkopostne, następnie wielkanocne, do Ducha Św., na Boże Ciało i nakoniec do ŚŚ. Pańskich. Zaznaczywszy potem tradycyjne głosy o innych jeszcze pieśniach nam nieznanach, przechodzi autor do legend wierszowanych, z których mamy tylko jedną i to niedawno odkrytą. Jestto legenda o św. Aleksym, wydana w roku 1876-ym przez d-ra Wł. Wisłockiego z rękopisu bibl. Jagiellońskiej. Obejmuje ona 240 wierszy, jednak nie ma końca. Nie zgadza się ona ani z Acta SS., ani z ułamkiem znaną czeskiej legendy. Tekst wydany jest bardzo popsuty; szan. autor stara się go w wielu miejscach sprostować. W ostatnim dziale poezji kościelnej omawia autor utwory dydaktyczne, jakimi są dekalog w wierszach, parafraza jego znana p. t. „Pieśń bernardyńska“ [Sprawozd. wyd. filolog. Akad. uniej. X (1884)], nakoniec „Pieśń moralna“ i „Rozmowa grzesznika“ obie u Maciej. dod. 150.

O poezji świeckiej przed wiekiem XVI-ym bardzo szczupłe mamy wiadomości, chociaż wierzyć trzeba, że musiały istnieć pieśni miłosne, weselne, okolicznościowe, towarzyskie, a nawet i historyczne. Nawet w obec wszechwładnego panowania języka łacińskiego zdawałoby się mogło, że powinna się była rozwinąć łacińska poezya, a przecież przed wiekiem humanizmu nie ma o tém u nas śladu. Poezya polska nie tylko nie poszła torem innych poezyi zachodniej Europy, ale sobie nawet tematów, tamtęj właściwych, przyswoić nie próbowała. To też słusznie zauważa prof. Nehring, że były to tylko złudzenia naszych historyków literatury, którzy pisali o wielkich stratach i postępowali się w odszukaniu ich świadectwami nie istniejącemi, bo nie można za nie uważać drobnych wzmianek kronikarzy. Odrzuciwszy to, co na wiarę nie zasługuje, prof. N. tém skrupulatniej śledzi ślady istotne pieśni i pieśniarzy, ale mimo to, oprócz wzmianek lub pierwszych słów, nic więcej odkryć się nie da przed w. XV-ym.

Z przechowanych świeckich poematów wspomina najpierw małe poetyczne próbki, podane przez Maciejowskiego w dod. 43, potem „przestrożę“ z Lelewela „Bibl. ks. dwoje,“ II, 57, następnie Parkosza „Reguły ortograficzne,“ pisane dla szkół. Jedynym poetą w. XV-go, o którym mamy jakie takie wiadomości i pozostałe po nim wiersze, jest Jędrzej Gałka z Dobczyna. Szan. autor streściwszy jego żywot żałuje, że biograf jego, dr. Aug. Sokołowski, nie podaje z rękopisu bibl. Jagiel. w dosłowném brzmieniu owego miejsca z listu Ellgotha, które dotyczy polskich utworów Gałki. Słowa te wypisujemy z Monumenta mediae aevi historica Tomus II; Codex epistolaris saec. XV edit; Dr. Augustus Sokołowski et Josephus Szujski, a. 1876, pars posterior pag. 69. List LXIII-ci z przed 1449-go 16/4. „Reperit (quidam magister artium) signidem inter eos (libros) certos tractatus et libellos manu dicti magistri (Gałka) scriptos, plenos errorum, reperit laudes et carmina vulgaria in laudem Wykleph haeretici dampnati, etiam manu eiusdem annonata, invenit opera eiusdem Wykleph et illius Anglici complicitis eiusdem, quae omnia tandem ad me delata, postquam saltem cursim ea lectitasset inhorruui admodum ad tam execrabiles et venerosos errores. Ad summam omnium loquor, vilificans ad imas statum spiritualium et ecclesiasticorum personarum incipiendo a summo Pontifice usque ad minimos, sollicitant astute admodum saeculi potestates ad diripienda bona Ecclesiarum et quod non cadat dominium rerum temporalium, sed tamen moderatus usus in clerum vafre satis persuadere laborant. Demum circa claves Ecclesiae disputando dogmatisant malos presbiteros nihil in conficiendis et administrandis sacramentis posse, extreme enervant confessionem auricularem et plura horrenda in hunc modum prosequuntur. Recepti itaque libellos illos ad me, et una cum domino inquisitore processum fieri decrevi...“

Rozebrawszy nakoniec ową „Cantilena de Wicleph“ podług tekstu podanego w „Prawdzie Ruskiej“ Rakowieckiego, zwraca autor

uwagę na jej brewilokwencyą co do zasad Wiklefa, i na niezgodne z życiem samego Gałki żądanie ubóstwa księży.

Jedynym śpiewem historycznym, opiewającym współczesne zdarzenie w Krakowie jest „Pieśń o zamordowaniu Jędrzeja Tęczyńskiego (w r. 1461), przechowana w rękopisie pergaminowym w. XIV bibl. Zamoyskich w Warszawie. Pieśń sama napisana została bezpośrednio po wypadku, jednak nie musiała ona być śpiewaną a więc pieśnią, skoro Długosz nic o niej nie wspomina. Szan. autor umieszcza ją w tekstach w całej osnowie podług odpisu udzielonego mu przez prof. Przybarowskiego. Niech nam wolno będzie wyrazić zapytanie, dlaczego wstęp do owego tekstu musiał być dopiero drukowany przed nim, a nie mógł być przedmiotem rzeczy na właściwem miejscu (str. 229). W skutek dwurazowego omawiania tej samej rzeczy, i tu i tam, czyta się to samo w wielu miejscach. Wszak te same uwagi co do błędów tekstu Wójcickiego można było porządkiem przyjętym przez szan. autora umieścić w części właściwej dzieła.

Drugim poematem historycznym jest „Pieśń o pruskiej porażce (pod Grunwaldem) r. 1510 napisana,“ ogłoszona przez E. Rastawieckiego w Bibl. Warsz. 1843, III. Ortografia zabytku wskazuje dopiero na połowę w. XVI, w skutek czego uważać go trzeba za kopią stariej historycznej pieśni, która w setną rocznicę zwycięstwa została zmodernizowana. Język utworu jest właściwy w. XVI, a treść zgadza się zupełnie z odpowiedniami miejscami u Długosza i Kromera.

Obszerniejszym jeszcze między innymi zabytkiem są „pieśni Sandomierzanina,“ jak je nazwał wydawca i znalazca W. A. Maciejowski (Dodat. str. 133 n.). Prof. N., zmieniawszy podany przez wydawcę porządek, zastanawia się nad kilku zwrotkami, prostuje lub poprawia wyrazy niejasne i objaśnia treść wypadkami historycznymi. Chociaż te pieśni mają tło religijne zaliczył je szan. autor do poezji światowej z powodu nazw „cancio,“ „cantilena,“ pieśni o graczach, o panujących, klęskach i innych historycznych wspomnieniach.

Ostatnim z omówionych zabytków jest satyra na leniwych wieśniaków (wydana przez J. Szujskiego w Rozpr. Wydz. filol. tomie I) w objętości 12 wierszy, napisana przez jakiegoś szlachcica.

Na tem się kończy właściwa część dzieła — a następują wyjątki z tekstów, zwłaszcza tych, które wydane w dziełach nie łatwo przystępnych, potrzebne są do ilustracji rzeczy we właściwem miejscu wypowiedzianej. Znajdujemy tu tedy najstarszy datowany pomnik z r. 1375 (spowiedź powszechna), ułamki z rot przysięg sieradzkich, poznańskich, pyzdrowskich, krakowskich — wyjątek z Psalterza floryańskiego, z kazań gnieźnieńskich, z Biblii królowej Zofii, z Statutu wiślickiego, Psalterza puławskiego, z prawa magdeburgskiego. W całości podany fragment Żywotu św. Błażeja, 1 Legenda o św. Aleksym, Ostatnia wola co do ukrytego skarbu (Długosz Lib. ben.) i Pieśń o zamordowaniu Andrzeja Tęczyńskiego. Gdzie tego wymagała potrzeba dodał autor sprostowanie lub objaśnienie tekstu u dołu w przypiskach.

Prawdziwy i wielki interes obudzą pewnie w miłośnikach literatury i języka pierwszy raz przez prof. N. wydrukowane zabytki poetyckie z końca XV i początku XVI stulecia. Największy między nimi „Dyalog między śmiercią a magistrem“ obejmuje 490 wierszy, przeważnie 8 zgłoszkowych żeńskich. Poemat ten znalazł dr. W. Kętrzyński (dyrektor zakładu im. Ossolińskich we Lwowie) w kodeksie biblioteki kapitulnej płockiej, pochodzącym z w. XV i zawierającym „Homiliae in sancta evangelia.“ Prof. N., zachowując sobie na później porównanie tego zabytku z niemieckimi średniowiecznymi poematami o śmierci, twierdzi, że autorem jego był mnich jakiś. Ciekawy jest obraz śmierci, jej opowiadanie o swém początku, o lekarzach i t. p. W wielu miejscach tekst zepsuty, utrudnia zrozumienie.

Z tego samego rękopisu za pośrednictwem dra Kętrzyńskiego podał również prof. N. jeszcze „Skargę umierającego,“ obejmującą 22 zwrotek czterowersowych, zaczynających się od porządkowych głosek alfabetu.

Z nieznanego rękopisu XV w. udzielił dr. Kętrz. profesorowi N. fragmentu modlitwy do M. Boskiej, i zepsuty rodzaj wiersza ku czci M. Boskiej; z ręk. w. XVI piękną parafrazę Pozdrowienia anielskiego (Zdrowaś Maryo) w 12 zwrotekach trzywersowych; z ręk. początku w. XVII pieśń o Męce Pańskiej, ułożoną przez bł. Władysława z Gielniowa w r. 1488.

Otrzymanych zabytków już podczas druku dzieła, nie mógł prof. N. omówić na właściwem miejscu, na czém naturalnie dzieło dosyć ucierpiało.

Po tém sprawozdaniu niech nam wolno będzie zrobić kilka uwag odnoszących się do całości dzieła i jego szczegółów. Co do całości zauważyć musimy, że się nam mniej podoba sposób rozbierania wątpliwości językowych zaraz po podaniu dziejów, wartości i jakości pomnika, czyli mówiąc wyraźniej: łączenie aparatu filologicznego z częścią literacko-historyczną. Byłoby to jeszcze wtedy na miejscu, gdyby się dało część językowo-krytyczną odróżnić drukiem od tamtej, przez co zwróciłoby się uwagę czytelnika na właściwe części; jeżeli tego nie ma, drobiazgowy (choć sam w sobie dla językoznawcy ciekawy) aparat krytyczny rozrywa i nuży uwagę, nie pozwalając utworzyć sobie właściwego obrazu z całości zabytków.

Przeciwko podziałowi na prozę i poezją, i znowu wśród tych części na inne rzeczowe rozdziały nie można mieć nic w zasadzie, a przecież mimowolnie nasuwa się pytanie, czy zestawienie chronologiczne pewnych co do daty zabytków, a umieszczenie wątpliwych w odpowiedniem miejscu nie dałoby lepszego rzeczy przeglądu. Miałyby ten sposób systematycznego ugrupowania jeszcze i tę korzyść, żeby nie był zmuszał autora do mówienia o tym samym zabytku na kilku miejscach (np. o „Wigiliach za umarłe ludzkie“ na str. 58, 113, 125 o Modl. Wacława str. 47 n. 113, 173, o kancyonale Przeworszczyka

172, 181, 186, 187) i to (jak np. o Wigiliach) prawie w tych samych wyrazach.

Jako uzupełnienie chcieliśmy jeszcze dodać następujące szczegóły. Do str. 28, 2 a) dodać wypada, że prof. dr. Rostański podał w XIV t. Rozpraw. i Spraw. wyd. mat. przyr. Akad. Umiej. przedruk owych 59 nazw roślin w łacińskim i polskim języku, dał wiadomość o Janie Welsie lekarzu, autorze owęj zapiski i objaśnił nazwy roślinne, z czego wynika, że nie wszystkie nazwy są ludowe (Nehring „volkstümliche“) ale wiele jest przetłómaczonych lub przyswojonych z nazw średniowiecznych łacińskich. Do str. 31, 3 a) domyśla się autor zamiast nazwy miesiąca *stoa tschen-pai tschen* (pajaczeń). Celem poparcia domysłu badaliśmy ową zapiskę w rękopisie, ale w żaden sposób konjektury prof. N. doczytać się nie mogliśmy; byłaby ona tylko wtedy możliwą, gdyby (co przypuścić wolno) pisarz nazwy polskie przepisywał z innego rękopisu i nie umiając dobrze języka z *ſ* (niem.) zrobił *st* (niem.).

Do str. 202. Jakkolwiek „Prace filologiczne” zesz. 2 i 3 znane były wśród druku szan. autorowi, bo na str. 305 dodaje uzupełnienia co do strony językowej Modlitwy Pańskiej, opracowanęj przez dra Bystronia we wspomnianém czasopiśmie, przecież nie uzupełnia rzeczy o manuskryptach dekalogu manuskrytem Bystronia D,6 przy ich opisywaniu i porównywaniu.

Mimo sumiennęj i skrupulatnęj metody szan. autora przy wielu rękopisach brak odpowiedniego numeru, któryby szukającemu drogę wskazał. I tak na str. 29 c) jestto rękopis nr. 774; str. 31, 3 b) ręk. nr. 562; po którym na str. 32, można dodać, że ręk. nr. 1928 i 1942, zawierają również imiona miesięcy; str. 154 w. 10 od dołu potrzebuje uzupełnienia, że to kod. nr. 1174.

Co do językowych objaśnień miło nam zawiadomić szan. autora, że tekst „Powieści o papieżu Urbanie” z r. 1514 w wyrazie „yaczy” nie zawiera żadnego błędu, jak to na str. 134 zaznaczono. Wyraz „yaczy”—(jacy) żyje dotąd u ludu mazurskiego w Galicyi zachodnięj jako przysłówek i oznacza tyle co jeno (lud. jino), tylko (np. nie mam jacy dwa grajcarry). Jeżeli się tekst Agendy, wydany przez prof. A. A. Kryńskiego, porówna z tekstem Maciejowskiego (Dod. 121) gdzie czytamy *yedno* (jedno, jeno) rzecz zupełnie się wyjaśni. Wyraz *yacz*, *demum* (?). Podobnież do dziś dnia używany u ludu jest wyraz *wspód*, o któregoż życiu szan. autor na str. 137 zdaje się wątpiewać.

Czytelnicy uznają razem z nami, że wytknięte w powyższęj relacyi drobne uchybienia nie obniżają w niczém wielkięj wartości dzieła prof. Nehringa. Jest ono dla zajmujących się dawnym językiem polskim nieocenioném repertoryum, dla literatury wartościowym przyczynkiem a w obec tego żałować nam tylko wypada, że żyjemy wśród takich okoliczności, które zmusiły autora do napisania go po niemiecku,

bo to utrudniło obznajmienie się z niem szerszej publiczności. Natomiast Niemcy zyskali prawdziwie „werthvollen Beitrag zur slavischen Philologie.“

Roman Zawiliński.

Logika przez Ludwika Liarda, rektora akademii w Caen. Warszawa. Nakładem redakeyi „Prawdy.“ 1886 r., str. 224 in 8-vo.

W. Stanley Jevons. Logika, objaśniona figurami i pytaniami. Przełożył z upoważnienia rodziny autora podług najnowszego wydania angielskiego Henryk Wernic. Warszawa, nakładem księgarni Teodora Paprockiego i S-ki. 1886 rok str. 158 in 8-vo.

W dziedzinie nauk filozoficznych zajmuje logika stanowisko najważniejsze. Pomimo, że wieki złożyły się na wytworzenie i rozwój tej podstawy i twórczyni prawideł wszelkiego myślenia naukowego, spotykamy w naszych szczególnież czasach między uczonymi literatami i filozofami nowszego autoramentu zaciętych jej przeciwników. Jednym z najwybitniejszych pomiędzy adwersarzami nauki logiki był August Comte, głośny pozytywista francuzki. Charakterystycznóm jest również wrogie i odporne zachowanie się ogółu względem logiki, którą niemal za zbyteczną uważa. Wszędzie spotkać się łatwo z rozumowaniem, iż tak samo, jak nie można nauczyć człowieka oddychać, trawić lub chodzić, tak samo niepodobnaby było nauczyć go myśleć, gdyby od natury nie posiadał tej właściwości. Ten utarty argument grzeszy ignorancją przedmiotu i zakresu logiki, ze względu jednak na jego popularność, niepodobna pominąć go przy ocenie podręczników tej nauki, zwłaszcza, gdy zamierzamy zwrócić uwagę ogółu na jej ważność, użyteczność i konieczność.

Logika nie uczy „myśleć” w tém znaczeniu, jakoby sztukę myślenia udzielała istotom, pozbawionym rozumu, lecz uczy nas odróżniać rozumne myślenie od błędnego, prawidłowe rozumowanie od mylnego, dając nam poznać prawa myślenia, za pomocą którego dochodzimy do poznania prawdy. Logika ustala w nas jasne pojęcie o kryterium prawdy. Wszak łatwo to zrozumieć, iż pogląd dziecka na dany przedmiot różni się od poglądu człowieka dojrzałego na ten sam przedmiot. Cóż jest tego przyczyną? Wszak i dziecko myśli — pod względem psychicznym, — tylko myślenie jego nie odpowiada warunkom i wymaganiom logicznym. I na tém też polega cała różnica tych dwóch sposobów myślenia. Ażeby myśli nasze wiązały się wzajemnie w logiczną

całość, ażeby wynik ich był ścisłą konsekwencją ich logicznego pochodzenia, muszą zachować porządek logiczny, muszą ulegać ogólnym zasadom, prawom myślenia. Ten tylko może się kusić o jakąkolwiek samodzielną w myślach, kto umie myśli własne poddać ścisłemu badaniu pod względem ich łączności i ścisłości logicznej. Ta weryfikacja własnego umysłu jest koniecznym warunkiem samowiedzy umysłowej i postępu na polu nauki.

To też zadaniem wszelkich podręczników logiki jest przede wszystkim rozbudzić tę samodzielność myślenia, tę umiętność krytyki własnego rozumowania, ten zwrot ku sobie samemu, przy zdawaniu sobie sprawy z własnych sądów. Warunkiem niezbędnym logiki — jest jasność i przejrzystość wykładu, gdyż celem jej — jest jasność rozumowania.

Jeśli samodzielność myślenia z natury rzeczy opierać się musi na umiejętności sprawdzania wyników własnego, a tém samém i cudzego rozumowania, to o znaczeniu tej nauki pod względem pedagogicznym rozwodzić się nie ma potrzeby. Bez logiki nie podobna osiągnąć, nie podobna wyrobić w młodzieńcu podstaw samodzielnej krytyki, bez której człowiek zawsze rzuconym jest na pastwę chwilowo panujących, a nie zawsze korzystnych prądów i teorii stronnicych.

W literaturze naszej pedagogicznej niewiele posiadamy podręczników logiki. Najzupełniejszy rys historii i literatury logiki w Polsce znajdujemy w tomie I dzieła pr. dr. Henryka Struvego pod tytułem: Wykład systematyczny logiki, wydane w roku 1870. — Podręczników oryginalnych logiki, cieszących się popularnością i praktycznością pedagogiczną, nie posiadamy prawie wcale. Oprócz logiki Juliusza Simona w przekładzie Eleonory Ziemięckiej (Przewodnik filozoficzny — 1862 r.) posiadamy jeszcze „Logikę formalną” J. Zagórskiego dla wyższych gimnazyjów — Rzeszów 1873 r. i logikę Stöckla w przekładzie Wład. Miłkowskiego.

Po roku 1870 drukowaną była również „Mała logika” Józefa Kremera. Logika Baina, której przekład również wzbogacił naszą literaturę, ze względu na swą obszerność i poważne, ścisłe naukowe traktowanie kwestyi, za podręcznik logiki uważanym być nie może. Z wielkim żalem zaznaczyć musimy, iż nie mamy przekładu wyborczego podręcznika logiki pr. Struvego, napisanego dla użytku gimnazyjów w języku rosyjskim i przez Ministerium Oświecenia jako podręcznik szkolny zaleconego.

Przy ocenie psychologii Murray'a w poprzednim zeszycie Biblioteki zaznaczyliśmy, jak wymagającym być należy w wyborze przekładów, ze względu na szczególne warunki wychowania u nas. Wyboru logiki Liarda do szczęśliwych nie zaliczamy.

Liard dzieli logikę na trzy działy. Część pierwsza rozpatruje „formy” myślenia w ogólności, część druga „formy” każdej nauki w szczególności; część trzecia — sofizmaty. Przedewszystkiém charakterystycznym jest u Liarda używanie wyrazu „formy” zamiast „pra-

wa." Nie jest to przypadkowém,— jest to z góry obmyślaném. Bez miłosierdzia co chwila nazywając człowieka „zwierzęciem” lub „dwuręcznym ssakiem,” Liard w zwierzęciu tém widzi umysł, mający swój specyficzny sposób myślenia, swoje „formy,” w które ujmując otrzymane wrażenia i układa je w grupy i kombinacje. Praw, jako norm, regulujących materją, stanowiących podstawę bytu, nie ma. Te prawa, które uznaje Liard, tkwią w rzeczach i z nich wynikają, a nie panują po nad niemi, tkwią one w naturze rzeczy, w ich właściwości. Jest to parafraza zasady, iż siła, rządząca światem, tkwi w materji i z niej wynika. Pogląd ten charakterystycznie występuje u autora w tłumaczeniu przyczynowego związku zjawisk.

Przedewszystkiém autor unika wyrazu przyczyna i skutek i wprowadza nową terminologią (str. 101): zjawisko uwarunkowane—następnik (skutek) i zjawisko warunkujące (przyczyna). Przeczuwając niejasność dla czytelnika zmiany utartych terminów na nowo—i nie arcy szczęśliwie wynalezione, tłumacz łaskawie w przypisku wyjaśnia, iż „ponieważ wprowadzone (?) w nowszą filozofii (na miejsce panującego w staréj (?) metafizyce prawa przyczynowości) a tu wyłożone pojęcie o stosunku zjawisk ostatecznie tak streścić się daje: że jedno zjawisko tkwi (?) w drugim, przeto pierwszy ze wspomnianych momentów (zjawisko warunkujące) nazywać możemy poprzednikiem,— drugie zaś (dawniej (!) zwane skutkowém) następnikiem.” Istotnie trudno było bardziej zaciemnić i tak już dość nie jasny pogląd autora, jak to tłumacz uczynił swoim wyjaśnieniem. Zrozumieć „tendencje” autora i tłumacza łatwo zdoła każdy wtajemniczony w dogmata „nowszej” filozofii (?), jak się tłumacz pompatycznie wyraża. Tylko że Liard, stojący pomiędzy szkołą bezwzględnie pozytywizmu francuzkiego a nowoczesnego empiryzmu angielskiego, miesza zasady tych dwóch szkół, tracąc sam grunt pod nogami. Jeśli przyjmiemy za fakt, iż dostępnymi dla nas są tylko zjawiska, a ich istota, ich współzależność jest dla nas ukrytą, odrzucmy zupełnie pojęcie przyczynowości, jak to uczynił pozytywizm Comte’a. Bądź co bądź jednak, każda teoria przyznaje, iż poznajemy zjawiska oddzielnie, same w sobie; w jaki sposób więc można zrozumieć, iż jedno zjawisko tkwi w drugim, czyli, że dane zjawisko jedocześnie jest „z drugim” i „wdrugiem,” tego pojąć nikt nie zdoła. Ta istotnie „nowsza” filozofia dostępną być może tylko dla wybranych, gdyż większość musi dla niej pozostać obojętną. Jeśli zaś wyrażenie „tkwi” ma omawiać tylko wyrażenie „wywołuje,” jeśli ma ono na celu za pomocą innego wyrazu wskazać na ten sam odwieczny przyczynowy związek zjawisk, na ich wzajemną zależność, to po cóż cała ta sztuczna innowacja terminów? To też empiryzm angielski, liczący się z koniecznością, nie unika bynajmniej wyrazu przyczyna i skutek, gdyż pojęć tych żadne inne pojęcia w umyśle człowieka zastąpić nie zdołają. Można je odrzucić zupełnie, można utrzymywać, iż za fakt uznać możemy tylko kolejność zjawisk, a wówczas przynajmniej będziemy mieli z określoną teorią do czynienia;—

w danej chwili nie wchodząc w rozbiór wartości tej teorii; bawić się w pustą, czczą grę wyrazów bez treści, dla ukrycia lub zamaskowania pozytywnego swego stanowiska—nie uważam za rzecz, godną uczonego. Tém bardziej, że chwilami autor wybuchów swoich pozytywistycznych nie powstrzymuje.

Posłuchajmy, jak autor otwarcie wyraża swój pogląd. „Otóż, nie ma sfer różnorodniejszych względem siebie, jak dziedzina pozytywnej nauki i dziedzina religii i metafizyki; pierwsza poszukuje bliższych i drugich (?) przyczyn zjawisk, t. j. wywołujących je warunków zjawiskowych; tamte mają za przedmiot swój pierwszą przyczynę rzeczy i bezwzględne ich zasady.” Autorowi „o bezwzględne zasady” czyli o prawdę, o poznanie istoty rzeczy wcale nie chodzi—z góry zrezygnował z tego. Dla tego téż logikę nazywa tylko nauką o „formach” myślenia „dwuręcznego ssaka,” t. j. o tym specyficznym sposobie, za pomocą którego człowiek ujmuje rzeczy. W gruncie rzeczy logikę radby autor sprowadzić do formuł matematycznych, jak to wypowiada kończąc część pierwszą swjej pracy. Rzecz prosta, iż przy takim poglądzie na pojęcie wzajemnej zależności zjawisk, autor uznaje tylko trzy „formy” logiczne (t. j. prawo), a mianowicie prawo tożsamości, prawo sprzeczności i prawo wyłączonego środka. Prawo wystarczającego dowodu (*rationis sufficientis*), a co za tém idzie, prawo przyczynowości nie istnieje. W ten sposób pozbywamy się w ogóle wszelkiej zasady jakiegokolwiek argumentacji,—co już podkopuje fundamenta nauki w ogólności.

Jakkolwiek chętnie bardzo w rozbiórze tych zasadniczych kwestyi wdalibyśmy się w rozbiór obszerniejszy, to, oceniając wymienione w tytule podręczniki pod względem ich wartości pedagogicznej, musimy poprzestać na owych wskazówkach ogólnych. Ale powiedzmy otwarcie, jaką korzyść odniesie młody umysł w obec tak chaotycznie i ciemno przedstawionych pojęć przyczynowości i kolejności zjawisk? Jakież wyrobi sobie pojęcie o związku przyczynowym, o tej zasadniczej podstawie wszelkiego sądu o rzeczach? Nie widzimy żadnego, gdyż autor zbyt jest ciemnym i zbyt chętnie unika wszelkich szerszych wywodów, aby gruntownie teorią swoję przedstawić,—a kategoryczne dogmata jego poglądów, ujęte w nowo ukute termina nic nikogo nie nauczą. Nie ma wątpliwości, że kto nie zna teorii pozytywizmu społecznego, ten z pewnością wcale tej książki nie zrozumie,—i niepotrzebnie nawet o toby się kusił. Czyż jednak od młodzieńca, przystępującego do sanctuarium wiedzy, można wymagać znajomości kierunków filozoficznych?

Nieszczęśliwym również, zdaniem naszym, jest podział logiki Liarda.

Metody badania znamy w ogóle dwie: indukcyą i dedukcyą, analizę i syntezę. Nie ulega wątpliwości, iż różnorodność przedmiotów badania, a więc różnorodność nauk wymaga różnego zastosowania tych samych w gruncie metod. Dla tego téż słusznie każda nauka rozpatruje swą własną metodę badania. Logika w najszerszém ję

rozwoju może i powinna uwzględniać te różnorodne metody i wykazywać w nich modyfikacje indukcji i dedukcji, lecz podręcznik logiki, mający za zadanie obznajmić ucznia z zasadami nauki, najniepotrzebniej wdawałby się w rozpatrywanie szczególnych metod oddzielnych umiejętności. I pod tym względem szwankuje logika Liarda. Chcieć w części tak małego podręcznika scharakteryzować metody wszystkich nauk,—jest to pragnąć niepodobieństwa. Byłoby bardzo pożądanem, gdyby autor poddał ściśtemu rozbirowi, exempli gratia, metodę jakiegokolwiek nauki i na przykładzie wytlómaczył uczniowi stosowanie metody indukcyjnej i dedukcyjnej, w całej rozciągłości tej nauki; lecz uczynić to odnośnie do wszystkich nauk, niepodobna.

To też wykład autora pod tym względem jest niesłychanie słabym. Wszystko traktuje nadzwyczaj pobieżnie, miesza nauki i zbija je w jedną masę bez żadnej zasady. Klasyfikacja jego również jest bezzasadną i po części opartą wprost na terminologii francuskiej, czego nie obeznany z tym szczególnym podziałem nauk we Francji, zrozumieć nie zdoła. Do nauk moralnych zalicza autor i psychologię, logikę, naukę prawa, ekonomią polityczną, naukę języka, naukę religii, nakoniec właściwą historią. Gdzież tu jakaś wspólna zasada podobnej klasyfikacji. Że francuzom podobało się nazwać te nauki „sciences morales,” nie idzie zatem, aby podobnie paradoksalny pogląd, oparty na utartém użyciu językowym, wprowadzać do innego społeczeństwa lub aplikować wśród nauki kosmopolitycznej, przyjmującej tylko klasyfikację naukową. Co za wspólność między etyką i językoznawstwem? A dla czegoż autor nie dołączył do działu nauk moralnych statystyki, jeśli już ekonomią polityczną tam umieścić? Klasyfikacja ta nie ma najmniejszej podstawy i oprócz chaosu—nic innego w umyśle młodzieńca nie zostawi. O przedmiocie nauk moralnych autor wyraża się bardzo sceptycznie: rękojmię pewności, wychodzące (?—czyż innego odpowiedniejszego wyrazu zbrakło tłumaczowi?) z nauk moralnych, a przynajmniej z tych, które mają do czynienia z postanowieniami woli, są zawsze domysłowemi (?) tylko; nie są to, że tak powiemy, prawa stałe, lecz prawa, ulegające zawsze zastrzeżeniu, wynikającym ze swobody.

W dodatku do tych wad, książka pisaną jest sucho i ciężko. Zdania formułowane nie jasno, najprostsze rzeczy zaciemnia umyślna tendencya przeprowadzenia poglądów własnej szkoły. Ztąd to ciągłe niedopowiadanie, omijanie i brak wyrazistości wykładu. Jako rzecz ściśle naukowa,—dzieło to jest zbyt pobieżnem i nie rozwija należycie znanych nawet dowodzeń pozytywizmu: w tak małej książce nie może się pomieścić teoria, obejmująca zbyt wielki obszar kwestyi. Jako podręcznik naukowy, jest to rzecz wprost chybiona. Może ona tylko zniechęcić, a nie zachęcić do studyów nad logiką, nie zdoła zapalić do jej głębszego poznania. Dla zrozumienia tej książki potrzeba umysłu głębiej wyćwiczonego w abstrakcyjnym myśleniu,—obznajmionego już z kądem nietylko z logiką; ale i z teorią pozytywizmu.

Ze smutkiem zaznaczyć musiny, iż przekład dzieła jest bardzo wadliwy—i rzecz ciemną jeszcze staranniej zaciemia. Tłumacz tworzy dowolnie wyrazy, używa zawsze najwyszukańszego szyku wyrazów i nuży w skutek tego czytelnika niestęchanie. W tłumaczeniu oprócz nieumiejętności znać niedbalstwo zupełne: rzecz tłumaczoną była, jak to mówią, „na kolanie,” dorywczo, bez należytego obrobienia. Exempli gratia przytoczymy tu następujące przykłady:

„Ukrotnit” (?) (str. 60), „myśleć przedmiot” (str. 63); „słabości dowodem jest potrzeba opierania jednych prawd nad drugich (69) (co za szyk wyrazów?); „walny” (?) (wyraz ulubiony przez tłumacza!); „jeżeli.. to zobaczymy” (zwrot obcy językowi polskiemu); „wzgląd (?) uczuć wrażeńbnych (?)” str. 193 i niestety, wiele przykładów nieposzanowania językowego daje nam każda niemal stronica książki. Zdumiewa nas uporczywe i nieustanne używanie terminów subiekt i predykat zamiast utartych i zupełnie ścisłych polskich terminów: podmiot i orzeczenie. W ogóle przekład dzieła przedstawia smutny obraz niezajomości najprostszycch zasad stylu i terminologii naukowej polskiej.

Zupełnie inny charakter posiada logika Jevonsa. Przedewszystkiem podręcznik ten nie grzeszy najmniejszą pretensjonalnością, posiada jasność i przejrzystość każdej myśli. Niewłaściwem byłoby nazywać tę pracę nawet podręcznikiem,— jest to introdukcya,—wstępne przygotowanie umysłu do studyów logiki. Autor nie zachowuje ścisłego i ogólnie przyjętego podziału logiki, unika rozbioru wszelkich trudnych kwestyj z zakresu nauki, nie mówi ani słowa o prawach myślenia, lecz od razu przystępuje do medias res, od razu rozpatruje metody badania, objaśniając najmniejszą zasadę całym szeregiem łatwych i dostępnych przykładów. Z książki tej człowiek zupełnie nieobeznany z logiką nabierze jasnego pojęcia o przedmiocie i zadaniach logiki—o tyle, iż z pożytkiem będzie mógł wziąć się do poważnych studyów nad tą gałęzią wiedzy. Styl łatwy i niewyszukany, wyłączenie z wykładu wszelkiego formalizmu i symboliki, mnóstwo trafnie dobranych przykładów, ilustrujących widocznie zasady i poglądy autora, wreszcie i dostępność książki dla każdego średnio rozwiniętego umysłu—oto bezwątpienia poważne zalety logiki Jevonsa. Jeśli do tego dodamy poprawny przekład p. Wernica, to łatwo zrozumieć przyjemne wrażenie, jakie odnosi czytelnik po przeczytaniu tej książki.

Jevons zajmuje stanowisko empiryczne,—jemu również mniędz idzie o zbadanie istoty rzeczy, z czego, nawiasem mówiąc dawno zrezygnowała cała szkoła angielska. W określeniach unika ścisłości, co w logice miejsca mieć nie powinno. Wyjątkowo daje się tu może to tłumaczyć postronnym celem uczynienia książki dostępną jak najszerzszemu ogółowi,—z punktu widzenia jednak krytyki naukowej—jest zasadniczą wadą dzieła. Prawo określa np. autor w następujący sposób: „ogólnem prawem zowie się to, co się stosuje do wielu rzeczy.”

Nieścistość podobnego określenia bije w oczy—i niewątpliwie, żadna szkoła logiczna na podobne pojęcie prawa zgodzić się nie może. W danym wypadku względ utylitaryzmu, możliwe szerszego rozpowszechnienia dzieła wywołał w autorze tę chęć bezwarunkowej jasności i łatwości wykładu,—z rezygnacją nawet ze ścisłości. Dowodzenie też miejscami zniża się do najmnień rozwiniętych umysłów, autor pragnie być prawie dotykającym w swoim rozumowaniu.

Oryginalny pogląd autora spostrzegamy w znaną teorię jego „podstawianie rzeczy podobnych.“ „Przypatrzwszy się dokładniej, mówi autor (str. 79), sposobowi naszego rozumowania, przekonamy się, iż polega on na podstawieniu jednej rzeczy lub terminu, podobnego pod pewnym względem do pierwszego. Podobieństwo służy tu nam za rodzaj mostu, prowadzącego nas od poznania jednej rzeczy do poznania drugiej; tak więc ten sposób poznawania możemy nazwać sposobem przez podstawianie rzeczy podobnych, lub przejściem od podobnego do podobnego. O cechach jednej rzeczy wnosimy z innej, będącej niejako pośrednikiem, albo trzecim terminem. Kiedy więc jesteśmy pewni, że istnieje zupełne podobieństwo, to otrzymujemy zupełnie nieomylny wniosek; jeśli zaś podobieństwo jest tylko prawdopodobne lub przypuszczalne, to i nasze wnioski będą tylko prawdopodobne, nie zaś zupełnie pewne.“

Teoria ta nie uwzględnia tego prostego faktu, iż pojęcia i wielkości równoważne istotnie podstawiają się w dowodzeniach matematycznych, gdzie idzie tylko o wymiar,—o wielkość. W rozumowaniu sylogistycznym teoria ta dla tego nie da się zastosować, iż tutaj zarazem uwzględnić należy jakość i przymiot pojęcia, a nie wyłącznie wielkość i ilość.

Z prawdziwem i nietajonem zamięrowaniem zatrzymuje się autor nad indukcją, dla której nie ma słów uwielbienia. Zapal ten autora korzystnie oddziaływać powinien na każdego młodego czytelnika i rozbudzić w nim zamięrowanie do logiki. W ogóle—jako przedwstępny podręcznik—książka Jevonsa najzupełniej odpowiada swemu zadaniu. Jednakże należy mieć na uwadze, iż nie jest ona gruntownym podręcznikiem i systematycznego wykładu logiki, jako nauki, zastąpić nie zdoła, choćby ze względu na pominięcie zupełne kilku oddziałów logiki i zbyt pobieżne traktowanie licznych najważniejszych kwestyi. W każdym razie bliższe zapoznanie się z tém dziełkiem może ogółowi prawdziwy przynieść pożytek—i życzymy mu jak najszerszego rozpowszechnienia. Umieszczone na końcu książki pytania ułatwiają zastosowanie pedagogiczne logiki Jevonsa, gdyż mają na celu sprawdzenie, o ile uczeń zrozumiał i zapamiętał dowodzenia autora, będąc zarazem bardzo pożytecznym środkiem do powtórzenia zdobytej już wiedzy. Cały też układ tej pracy odznacza się jasno obmyślauym i szczęśliwie przeprowadzonym planem.

J. K. Dworzaczek.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Rzut oka na stosunki ogólnoeuropejskie.—Nowy środek germanizacji W-go Ks. Poznańskiego i Prus Zachodnich przez zwiększenie liczby landratów czyli naczelników powiatowych.—Testament ś. p. J. I. Kraszewskiego.—Ruch na polu życia umysłowego i artystycznego: Sprawozdanie z prelekcji z nauk przyrodzonych na dochód kasy imienia Mianowskiego (ciąg dalszy), mianych w Muzeum przez pp. Znatowicza, Bujwida.—Akademia umiejętności: Posiedzenie komisji historii sztuki dn. 21 kwietnia i 6 maja 1887 r.;—doroczne walne posiedzenie Akademii umiejętności dnia 21-go maja.—Towarzystwo biblioteki polskiej w Wiedniu.—Zapowiedziany zjazd prawników w Krakowie dnia 9 i 10-go września 1887 r.—Konkurs imienia F. Kochmana.—Projekt ś. p. Tadeusza Roszkowskiego „Nagrody Cnoty.“—Konkurs Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskiem z dziedziny malarstwa, architektury i rzeźby, oraz konkurs sztuki ornamentacyjnej i reprodukcyjnej.—Z ekonomiki: Bank włościański i jego filie w Królestwie Polskiem.—Ogólne zebranie Banku dyskontowego dnia 30 kwietnia;—Ogólne zebranie warszawskiego Towarzystwa ubezpieczeń od ognia dnia 3-go maja;—Ogólne zebranie Towarzystwa oczyszczania i sprzedaży spirytusu dnia 14-go maja;—Groźba pruska, zapowiadająca nowe cło na nasze zboże,—Z Towarzystwa popierania przemysłu i handlu: słabnący interes członków, cło od rur kamionkowych.—Wystawa higieniczna.

Mimo ciągłych zapewnień dyplomacji o pragnieniu pokoju i zgody państw europejskich, mimo niezwykłej gadatliwości prasy półrządowej na temat pokojowych intencji państw pierwszorzędnych, nie może Europa odetchnąć choćby na chwilę ufnością i wiarą w zgodę i harmonią oklaskiwanego tak manifestacyjnie przez interesowanych kapelmistrzów „koncertu” państw europejskich. Nie pomaga już ani zręczne usuwanie wszelkich ostrzejszych szkopułów przez szczęśliwe rozwiązywanie drobniejszych nieporozumień i zatargów, ani lekceważenie odzywających się coraz silniej, bo coraz szerzej elementarnych sił narodowych, ani staranne omijanie kwestyi palących lub drażliwych; ponieważ główny prąd idei politycznych, przeciekających daną

chwile, przejmuje narody europejskie strachem ciągłych niespodzianek, grożących Europie. Sprawcą takiej ogólnej „perturbacji” jest głównie jeden przedsiębiorca polityczny, ciężący krzyżacką pięścią nad swobodą życia międzynarodowego. Pewną otuchę przynosi nam w tém położeniu nauka historii, świadcząca o tém, że panowanie takiej tyranii (Napoleon I) nie bywało wieczne, ponieważ poniewierane w prawach swoich narody cywilizowane i upakarzane zbyt dotkliwie rządy, gdy się niarka z arogancyi politycznej przebierze, występują nareszcie niepostrzeżone z imponującą jedynomysnością przeciwko gwałcicielom szczęścia i dobrobytu publicznego.

Wschód, jakkolwiek nie uporządkowany, nie zatrudniał w zbyt wysokim stopniu uwagi polityków powszednich, interesowane zaś na tém polu mocarstwa unikały, jak gdyby za wspólném porozumieniem, zaostrożania tworzącej się tam samodzielnie sytuacji, pozostawiając jej rozwój naturalnemu rzeczy biegowi. Polemiki jednak historyczno-politycznej, wszczętej przez organ ks. Bismarcka z powodu inicjatywy okupacji Bośni i Hercegowiny przez Austryę, nie można uważać za rozprawy akademickie, podtrzymywane jedynie w celu uniewinnienia polityki niemieckiej w obec coraz energiczniejszych oskarżeń narodowej prasy rosyjskiej, zarzucającej kanclerzowi niemieckiemu intrygę, nieprzyjaźń i złą wiarę względem Rosyi; lecz za symptom różnych poglądów i niezupełnie zaufanego usposobienia gabinetów cesarskich. Rozjemczy głos, objawiony w tej kwestyi przez „Journal de St. Petersburg,” nie zadowolnił ani publicystów wiedeńskich, ani peszteńskich, ani berlińskich, ponieważ nie przyznał nikomu słuszności. Deklaracya prezesa gabinetu węgierskiego, p. Tiszy, w odpowiedzi na interpelacyę posła Iranyi’ego, powinna by zamknąć niedyskretną dyskusyę o inicjatywie okupacji dwóch prowincyi tureckich przez Austryę bez żadnego trudu wojennego. Ze względu na zaznaczoną przez p. Tiszę zmienioną ku lepszemu sytuacji polityczną Austrii na Wschodzie, warto jednak zachować w pamięci choćby najtreściwszą osnowę owego komentarza historyi najnowszej. Tisza oświadczył dnia 22-go maja w sejmie węgierskim, że przed rosyjsko-turecką wojną polityka Austrii dążyła do polepszenia losu chrześcian w Turcyi, z zachowaniem całości państwa Otomańskiego. Kiedy jednak Rosya, podniósłszy swój sztandar oswobodzenia jedнопlemiennych z sobą ludów chrześciańskich, przygotowywała się do wypowiedzenia wojny Turcyi,—Austrya postanowiła zachować się neutralnie; lecz jednocześnie nie mogła nie baczyć na to, że wojna sprowadzić może zmiany, na które nie pozwalają żywotne interesy Austrii. Wskutek tego zawiązały się z Rosyą układy, o których tyle pisano w ostatnich czasach. Austrya kategorycznie oświadczyła wtedy, że do posiadania Bośni i Hercegowiny nie dąży i pragnie, przy przeprowadzeniu reform, zachowania władztwa Turcyi z warunkiem, aby Turcyja była w możności utrzymać stały spokój i porządek: w przeciwnym zaś razie Austryja nikogo do tych

provincyi nie dopuści i zajmie je sama. Rosya zgodziła się na to zapatrywanie i nastąpiła ugoda w tym duchu, która po jój zawarciu zakomunikowaną została Niemcom. O podziale Turcyi pomiędzy Austryą i Rosyą mowy nie było, i ugoda wskazana nie mogła służyć za podstawę ogólnych działań żadnego z tych dwóch mocarstw. Gdy następnie zawarty został traktat w San-Stefano i warunki jego nie odpowiadały orzeczeniom wspomnianej ugody, Austrya energicznie przeciwko tym stypulacjom zaprotestowała i wywiązała się pod wpływem ówczesnych okoliczności potrzeba kongresu berlińskiego, który upoważnił Austryą do zajęcia Bośni i Hercegowiny. Okupacja zatem tych prowincyi nie nastąpiła z mocy ugody powyższej powołanej, lecz z decyzji kongresu. Ostateczny sąd zresztą o różnych przejściach tej sprawy, możnaby wydać dopiero po ogłoszeniu odnośnych dokumentów, co na teraz jest niemożliwe. Pomimo to widocznym jest dziś jaki jest rezultat polityki austriackiej, stanowisko bowiem Austrii na Wschodzie i w Europie zmieniło się na lepsze.

Gdy w odpowiedzi na tę deklaracyą prezesa gabinetu, Iranii zarzucał rządowi, iż przez politykę swoją zgubił Turcyą i pozbawił się dobrowolnie wynagrodzenia na południu, odrzekł na to Tisza, że Austrya wypełniła swój obowiązek względem całości Turcyi, o ile to można było uczynić bez naruszenia interesów i wolności ludów chrześcijańskich na półwyspie bałkańskim. Rząd nie mógł przewidzieć, co się dalej stanie z Bułgaryą, że jednak pewnym jest, iż wszystkie ludy bałkańskie przyjełyby względem Austrii nieprzyjazną postawę, gdyby była interweniowała na korzyść Turcyi, gdy tymczasem dziś przyjaźnie względem niej są usposobione. Austrya więc czuwała nad całością Turcyi, o ile to pogodzić się dało z interesami ludów chrześcijańskich. Okupacyi Bośni i Hercegowiny nie można uważać za szkodliwą dla interesów monarchii, a polityka, która się niepodoba prasie panslawistycznej, nie może być złą ani dla monarchii ani dla Węgier. Po tej ostatniej przemowie, przyjęła Izba deputowanych oświadczenie ministra znaczną większością do wiadomości, uznała zatem dane jój wyjaśnienie jako zadowalniające. Z powyższego przedstawienia kwestyi wynika, że w głównym punkcie (porozumienie Austrii i Rosyi przed wojną 1877 i 1878) potwierdził Tisza twierdzenia organu ks. Bismarcka. Spór o to czy Niemcy były o tém zawiadomione lub nie, jest w danej chwili kwestyą zupełnie jałową.

Na Zachodzie załatwiono wprawdzie sprawę pogwałcenia linii granicznej i prawa Rzeczypospolitej francuzkiej w sposób usuwający na razie powód do starcia; ale mimo to pozostał po tym wybryku buty pruskiej pewien niesmak, pewne rozgoryczenie, pewien ferment gorętszych umysłów. Do uspokojenia wzburzonych w sposób tak brutalny uczuć godności narodowej nie przyczynia się arogancya, z jaką Niemcy pragną krępować swobodę doskonalenia się armii francuzkiej i pró-

bowania jej gotowości wojennej, bo nie długo musiałyby państwa sąsiadujące z Niemcami prosić ks. Bismarcka o pozwolenie zarządzenia u siebie większych manewrów. Upadek gabinetu Goblet'a we Francyi, nie mniej wielka trudność w złożeniu nowego rządu, któryby wśród rosnącego radykalizmu mógł obiecywać większą trwałość, utrudnia także politykę zewnętrzną Rzpłtej, bo utrzymuje ją w niebezpiecznym odosobnieniu.

Bezrobocia w belgijskich okręgach górniczych przybierają coraz niebezpieczniejszy charakter. Podburzane przez agenta socjalistycznego, Defuisseaux, gromady przeciągają przez okręgi górnicze, próbując groźb i gwałtów najpotworniejszych, tak że starcie z siłą wojskową jest nieuniknione.

Nie ustające od dość dawnego czasu rokowania między Anglią i Turcyą w przedmiocie Egiptu doprowadziły do pewnego porozumienia na zasadzie uznania zwierzchnictwa W. Porty w Egipcie i zobowiązania się Anglii do wycofania wojsk swoich z Egiptu w przeciągu lat trzech.

Rząd pruski przeprowadził w obydwóch Izbach sejmu swego jeszcze jeden środek germanizacji Księstwa Poznańskiego i Prus Zachodnich — mający być, jak zapewnia dobrotliwy w swoich reminiscencyach minister Puttkamer, ostatniem już ogniwem łańcucha krępującego zbyt butny w ostatnich czasach polonizm, rozwielmożniony w obec kultury niemieckiej i niebezpieczny dla cywilizacji i stanowiska politycznego monarchii pruskiej. Środkiem tym jest nowy podział okręgów administracyjnych czyli tak zwanych powiatów na mniejsze koła administracyjne. Minister nie wahał się bynajmniej wyznać otwarcie, że nie dla ulepszenia zarządu powzięto zaniar powiększenia liczby powiatów a z niemi i liczby nieoszacowanych landratów; ale że przewodniczyła tu głównie myśl polityczna, myśl pilnego i wszechstronnego dozoru ludności, myśl czuwania nad jej poglądami i powszedniemi nawet czynnościami—nie mniej myśl pobudzania opieszających germanizatorów do wzmocnienia ich patriotycznej energii. Landraci mają tedy, prócz urzędników administracyjnych, być misyonarzami politycznymi, którzy nie tyle z zasad konstytucyi, ile raczej z inspiracji fanatyzmu pruskiego czerpać będą poczucie miary i kierunku swych służbowych, publicznych obowiązków. Przy tej sposobności prawil minister, jak gdyby dla nauki naszych apostołów kultury chłopskiej i najgorliwszych opiekunów interesów chłopskich, że mylą się liberaliści niemieccy, gdy sądzą, że tylko szlachta i duchowieństwo marzy o wskrzeszeniu Polski, bo i całe massy ludowe są przez gorliwych działaczy tą ideą opanowane—i myślą zgodnie z inteligencyą kraju. Nie tak dawno zapatrywał się p. Puttkamer inaczej na te rzeczy, gdy mu potrzebne były argumenty w innym kierunku, dla tego je wykrzywił i fałszował. Przedstawienie posłów polskich, opierające się na względach ekonomicznych oraz prawno-administracyj-

nych nie potrafiły przekonać sejmu pruskiego o szkodliwości tych nowych gwałtownych zamierzeń pruskich. Wnioski rządu zostały przez obydwie Izby przyjęte.

Testament Kraszewskiego. W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

Ja niżej na podpisie wyrażony Józef Ignacy, syn Jana, Kraszewski, urodzony w Warszawie dnia 26-go lipca 1812 roku, obecnie osiadły w Dreźnie, osłabiony na ciele, ale zdrów na umyśle; dla ułatwienia dzieciom moim rozporządzenia spadkiem po mnie, czynię następujący testament, którego ściśle wykonanie najmocniej im polecam. Majątek mój obecnie składa się: 1) Z placu i willi w Dreźnie (przy ulicy Nordstrasse nr. 30—31), na których oparte są dwie sumy hipoteczne, nie dochodzące jednak połowy wartości tej własności. 2) Z papierów wartościowych różnych, jakie po mnie się znajdują, a których wysokości wykazać nie mogę, gdyż ona się zmienia, zwiększyć lub zmniejszyć może, oraz z pieniędzy w gotówce. 3) Z własności pism moich dzieł drukowanych lub w rękopiśmie mogących pozostać, z których niewielka ilość, i to tylko wyraźnemi kontraktami określona, sprzedana została na wyłączną własność księgarzy, znaczniejsza zaś część należy do moich dzieci. 4) Na ostatek z ruchomości, biblioteki, obrazów, starożytności, sprzętów, pamiątek jubileuszowych i tego, co tu w domu moim w chwili zgonu znajdować się będzie na parterze i na pierwszym piętrze. Przedewszystkiēm żądam i proszę, aby wszystkim moim zobowiązaniom, kwitom, obligom, rewersom, rachunkom, należnościom jakiej będą natury, najprzód zadośćuczyniono, takowe opłacając bez sporu i trudności. Ponieważ ciągle prawie się to zdarza, iż mię wam u siebie deponowane sumy dla różnych instytucji przeznaczone, a do mię nie należące, wszystkie depozyta, komu właściwe, natychmiast zwrócone być mają, między innemi wymieniam tu tylko 20 tysięcy marek w biletach Towarzystwa kredytowego miasta Warszawy, przezemnie złożoną w Banku saskim (Sächsische Bank), która jest własnością publiczną na stypendya dla uczniów niezamożnych przeznaczoną. Kupony od tych biletów znajdują się w Warszawie w ręku komitetu do rozdawania stypendyów ustanowionego. Oprócz tego depozytu mogą być i inne, publiczne i prywatne, na które kwity moje się ukaza. Te więc wszystkie wprzód zwrócone być powinny. Wszelkie wydane przezemnie obligi, zobowiązania, rachunki przedewszystkiēm z pozostałości w gotówce i papierach zapłacić proszę bez zwłoki.

NB. Tu następuje dział między rodzinę i żonę, który pomijamy. Zbiór pamiątek jubileuszowych synowie moi zachowają w całości, nie rozpraszając go i mogą złożyć jako depozyt, nie wyrzekając się własności, w jakim publicznem muzeum. Zostawiam to do ich narady i rozporządzenia. Bibliotekę, rękopisma i t. p. zapewne sprzedać byłoby najwłaściwiēj, gdyż znaczniejsze nasze biblioteki i muzea książek tych nie potrzebują, a one pomnożyłyby tylko liczbę ich duplika-

tów, wartość zaś biblioteki jest dosyć znaczna. Zbiór listów i cała korespondencya, tak oprawna i uporządkowana jak inna, z wyjątkiem listów familijnych, oddane być mają bibliotece uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Co się tyczy pism moich drukowanych, objaśnić muszę, że panowie wydawcy, z wyjątkiem tych, którzy mają wyrażone na piśmie zapewnienia i kontrakty, do nowych wydań nie posiadają żadnego prawa, i to należy do familii, która zaraz po zejściu mojem ogłosić powinna, że nieprawnych wydań i przedruków poszukiwać będzie; firma Gracyan Unger w Warszawie ma na składzie kilkadziesiąt tysięcy tomów, pozostałych z wydania jubileuszowego, z których obowiązana jest zdać rachunek przed komitetem i sukcesorami moimi. Oprócz tego byli ze mną i są w stosunkach, co rachunki okazać mogą, głównie następujący wydawcy: pp. Gebethner i Wolff, Spółka księgarzy warszawskich, Michał Glücksberg tamże, S. Lewental tamże; we Lwowie: pp. Gubrynowicz i Schmidt; w Poznaniu: p. J. K. Żupański. Co się tyczy p. J. K. Żupańskiego, wydane u niego tak pisma Bolesławity, jak wszystkie inne, przechodzą na własność moich spadkobierców, gdyż prawa żadnego innego nad jednej edycyi nie ma do nich p. Żupański. Inni nakładcy tu nie wymienieni, jeśliby na nowo wydawać chcieli pisma moje, wykazać się powinni prawem do nich, wyrażnie kontraktem zastrzeżonem, gdyż w ogóle jedno tylko wydanie zaw sze ustępowałem przy umowie, własność zastrzegając sobie.

Spełnienie tej mojej woli ostatniej, o ile możności bez interwencji sądów i urzędów, bez sporów, zgodnie, polecam kochanemu bratu mojemu Lucyanowi razem z młodszym synem moim Franciszkiem, których egzekutorami naznaczam, zaklinając i prosząc, ażeby starali się bez wszelkich zatargów i sporów załatwić wszystko. Synowi memu starszemu Janowi Albinowi dla tego nie zlecam egzekucyi, iż zatrudnienia jego zająłby się nią nie dozwoliły. Życzeniem jest mojem, aby serce z ciała wyjęte, osobno złożone zostało w Warszawie w kościele Ś-go Krzyża, gdzie byłem chrzczone, ciało zaś, gdzie okoliczności dozwolą, pogrzebione. Pogrzeb ma być jak najskromniejszy, jak najmniej kosztowny. Do tego testamentu urzędownie sporządzonego, jeśliby się później okazała potrzeba uczynienia jakich zmian i dodatków, choćby nieurzędowych, proszę usilnie egzekutorów, aby takowe jako wola moja poszanowane i spełnione zostały równie z urzędowym aktem.

Dan w Dreźnie dnia 24-go marca w Wielką Sobotę 1883-go roku, co własną ręką podpisuję.

Józef Ignacy Kraszewski.

Tworzenie się materyi żywej z nieożywionych części składowych, wykład d-ra Bronisława Znatowicza.

Po trzech wyżej wzmiankowanych odczytach ¹⁾, zajął katedrę p.

¹⁾ Ciąg dalszy odczytów.—Patrz Kronikę miesięczną w zeszycie za m. maj r. b.

Bronisław Znatowicz i wyłożył warunki, przy jakich z pierwiastków, lub związków nieorganicznych może powstać materya, zdolna przyjąć formy życiowe. Tytuł przeto wykładu uległ pewnej zmianie, o czém prelegent na wstępie zastrzegł się przed słuchaczami, dodając nadto, że materya, z której składają się istoty żyjące, nie może być przedmiotem bezpośredniego badania chemicznego: jest bowiem organizowana, a powtórę — niejednorodna. Pierwszą nazywa się wtedy, gdy przyjmuje postać komórek i różnych ich przemian, drugą — wówczas, gdy pod wpływem fizycznych działań, jak: ciepło, elektryczność, powinowactwo chemiczne, pozwala się rozdzielić na dwa lub więcej ciał, zachowujących stale jednakowe własności organoleptyczne, fizyczne i chemiczne. Krochmal jest materyą organizowaną, sok buraczany jest materyą niejednorodną; wydzielony z niego cukier krystaliczny to już materya jednorodna.

Organoleptycznie i fizycznie jednorodne materye nie są jednak takimi z chemicznego punktu widzenia, poddane bowiem pod wpływ większego ciepła, silniejszego prądu, lub energicznie działających związków mineralnych, rozpadają się na ciała prostsze, a jeśli to rozpadanie doprowadzimy do możliwych granic, otrzymujemy to, co chemicy zowią pierwiastkami.

Rozkład związków organicznych czyli ich analiza doprowadza do wniosku, że wszystkie one składają się z węgla i wodoru (zawsze), z tlenu bardzo często, z azotu w wielu razach, a wreszcie w rzadkich wypadkach z fosforu i siarki. Pierwiastki tylko co wymienione zowią organogenami t. j. rodzajami, a raczej tworzącymi związki organiczne. Uderzającą jest rzeczą rozmieszczenie pierwiastków w martwej i ożywionej przyrodzie. Na 70 z górą znanych ciał prostych, tylko cztery, a najwyżej sześć, składa się na ową nieskończoną, rzecz możną, ilość związków organicznych, obdarzonych najprzeróżnaitszą postacią, barwą, zapachem i działalnością na żywe ustroje!

Skoro chemicy doszli na drodze badań do powyższej prawdy, zapragnęli z kolei tworzyć związki organiczne sztucznie, t. j. bez udziału istot organizowanych. W badaniach tych natrafili na wielkie trudności, tak, że dotąd i na długie zapewne jeszcze czasy otwartymi są szranki dla przyszłych pokoleń. Organogeny nie łączą się z sobą bezpośrednio, nie wytwarzają ciepła, gdy są z sobą wprost zetknięte, a jeżeli w niektórych razach połączenie następuje, to wynikiem jego jest związek, posiadający wszystkie cechy mineralnego, nie zaś organicznego.

Związek między ciepłem a chemizmem od niedawnych czasów został dostrzeżonym, termochemia jest dotąd poczynającym artykułowac głoś dzieckiem. Dziś wiadomo już, że tylko takie pierwiastki mogą się łączyć bezpośrednio, których związki mają w sobie mniej ciepła niż suma ciepła pierwiastków. Nie mogąc przeto otrzymać żądanych połączeń przypuszczali dawniejsi chemicy, że one tylko w organizmach powstawać mogą, a to pod wpływem osobnej siły, którą ży-

ciową nazwano. Dopiero od 1860 r., gdy Berthelot odkrył, że węgiel łączy się bezpośrednio z wodorem pod wpływem wysokiej temperatury łuku Volty i wydaje związek C_2H_2 acetylenem zwany, twierdzenie o niemożliwości bezpośredniego łączenia się organogenów zachwianem zostało. Równocześnie upadło określenie chemii organicznej, jako nauki o związkach wytwarzających się w organizmach żyjących pod wpływem siły organicznej. Acetylen nie jest wprawdzie związkiem organicznym w ścisłym znaczeniu tego słowa, bo w organizmach nigdy się nie znajduje, lecz można z niego otrzymać cały szereg związków organicznych za pomocą stosownych działań. Zebrani na wykładzie ujrzeni bezpośrednio powstawanie acetyleny, o którego obecności przekonali się w ten sposób, że związek wytwarzający się przy rozżarzeniu węgla w wodorze, przepuszczony przez amoniakalny roztwór chlorku miedzi, wydał w tym ostatnim czerwony osad acetylenku miedzi. Niektóre węglowodory okazują szczególną własność zwaną polimeryzacją, która polega na tém, że kilka cząstek węglowodoru łączy się z sobą, tworząc jedną cząsteczkę. W tym przypadku jest i acetylen; trzy jego cząsteczki polimeryzują się na jedną i dają benzol $3 C_2H_2 = C_6H_6$ ¹⁾. Z benzolu drogą kondensacyi, przy pomocy działania kwasu azotnego, otrzymuje się nitrobenzol według wzorowania $C_6H_6 + HNO_3 = C_6H_5NO_2 + H_2O$ ²⁾. Wreszcie przez zastąpienie wodorem otrzymuje z poprzedniego związku anilinę, gdyż $C_6H_5NO_2 + 3 H_2 = 2 H_2O + C_6H_5NH_2$ ³⁾. Uciekając się z kolei do różnych działań chemicznych, sprowadzających utlenienie, uwodornienie, hydratacją, odwodnienia, nauka dzisiejsza otrzymuje całe szeregi związków ściśle identycznych z temi, jakie wytwarza przyroda zapomocą żyjących organizmów. To téż w obecnej chwili synteza związków organicznych jest na stopniu, o którym francuzi wyrażają się: savoir=pouvoir, to jest, że każdy teoretycznie dobrze poznany związek można otrzymać drogą syntezy i to niekiedy łatwiej lub taniej, niżli drogą zwykłą z odpowiedniego roślinnego lub zwierzęcego materiału.

Pomimo jednak największych usiłowań, chemicy nie doszli dotąd do syntezy niektórych grup związków organicznych i to właśnie takich, które w sprawach życiowych pierwszą odgrywają rolę. Mowa

1) Benzol zwany w powszedniem użyciu benzyną, jest płynem bezbarwnym, lżejszym od wody, właściwego sobie zapachu. Otrzymuje się zwykle ze smoly węgla kamiennego.

2) Nitrobenzol jest płynem bezbarwnym, lub lekko żółtawym z silnym zapachem gorzkich migdałów. Używa się w perfumeryi, a mianowicie przy wyrobie mydeł migdałowych.

3) Anilina czyli amidobenzol jest płynem oleistym bezbarwnym, lecz przy działaniu środków utleniających, wydaje wielką liczbę związków o żywym i trwałym zabarwieniu. Związki te znane są pod ogólną nazwą barwników anilinowych i od kilkunastu lat mają w farbiarstwie pierwszorzędne znaczenie.

tu o wodanach węgla i ciałach białkowatych. Zdaje się wszakże, że i na tej drodze chemicy bliżcy są celu przynajmniej co do wodanów węgla (cukry, gumy, mączki, drzewnik). Prace Bayer'a doprowadziły do wniosku w 1870 r., że ciała powyżej wymienione są produktami polimeryzacji i kondensacji aldehydu mrówkowego C_2H_2O , którego obecność w sokach roślin, a więc w żyjącej protoplazmie została dowiedziona przez Loew'a i Bokorny'ego. W zeszłym roku Oskar Loew otrzymał drogą syntetyczną nieznaną dotąd gatunek cukru, któremu nadał nazwę formozy. Posiada ona smak słodki, nader podobny do smaku cukru trzcinowego; fermentacji alkoholowej nie podlega. Jeżeli dodamy, że aldehyd mrówkowy może być otrzymany przez stopniową syntezę pierwiastków, to wyznać należy, że chemia dokonała wielkiego dzieła, które prawdopodobnie okaże się płodnym w następstwa. Snując nie marzeń o przyszłych fazach rozwoju chemii i znaczeniu jej w dziejach ludzkości, stoimy dziś na pozytywnym gruncie; marzenia mogą być bardzo odległymi od ujęcia ich w realne formy, tém niemniej mają dziś realną podstawę, jedna genialna myśl lub cudowny traf, a mogą być sprowadzone z krainy rojeń na glob niezaspokojonych potrzeb. Odsunąwszy nietylko chimery alchemików stworzenia sztucznego człowieka (homunculus), lecz nawet chęć tworzenia ciał organizowanych, nauka chemii kroczy wolno lecz niezmordowanie po obranym kierunku, zdobywa coraz nowe tryumfy, które oddaje na użytek przemysłowi, a być może, że w niedługim czasie zdobędzie możność polepszenia dobrobytu i tych licznych mas, które wiecznie żądne „panem et circenses!“, nie mogą często zaspokoić pierwszego z okrzyków.

Na wykład p. Znatowicza, urozmaicony stosownie dobranymi i doskonale wykonanymi doświadczeniami, przybyło wiele osób pragnących posłyszć popularny wykład z poważnego źródła. Wielu z pośród słuchaczy należało do adeptów nauki, zrodzonej w czarnej ziemi (Cham albo Chemi), dla wielu też nie były obcymi nowe postępy nauki, której prawdziwe podstawy dał Lavoisier, a jednak wszyscy opuścili salę z oznakami żywego zadowolenia i nader sympatycznego uznania. Dowodzi to, że p. Znatowicz dobrze wywiązał się z podjętego trudu, my zaś dodamy, że w wykładzie znać było znaczny postęp w porównaniu z dawniejszemi; niepotrzebne skrupuły ustąpiły miejsca uznaniu, dawne zakłopotanie pokonało obycie się z publicznością, która, choć często instynktownie, umie jednak odróżnić niepozorne lecz pełne ziarna wiedzy od chudych acz ozdobnych nasion popisu.

Bakterye, odczyt d-ra Odo Bujwida

Do szczęśliwych pomysłów w wyborze przedmiotu do publicznego odczytu zaliczyć wypada zaproszenie specjalisty obcującego z drobnym, lecz groźnym światem mikroskopijnych istot, jakimi są bakterye, mikroby, baccylle i t. p. Pomysł nazwaliśmy szczęśliwym, gdyż badanie tych wrogów ludzkości znajduje się na porządku dziennym,

publiczność przeto powinna być zaznajomiona ze sprawą równie ciekawą jak ważną. Zaproszenie przyjął d-r Odo Bujwid, a wywiązał się z niego należycie wykładem w dniu 26 marca w sali Muzeum przemysłu. Dopóki nie znano mikroskopu, nie domyślano się uawet o istnieniu owego świata mikrobów; zbrojni w ten przyrząd badacze, rozpoczęli od XVII wieku dzieło zmuodne, acz ciekawe poznania nowych dla siebie obywateli globu, a w miarę udoskonalenia samego narzędzia, rozwijały się i ulepszały metody badań i oto obecnie posiadamy już pewien zapas wiedzy o istotach mikroskopijnych, a nadto zdobyliśmy w wielu razach środki niszczenia ich, ochraniańia się od ich zgubnego na nas wpływu.

Bakteryami nazywamy z greckiego, maleńkie laseczki, jakie dają się spostrzeżać w ciałach organicznego pochodzenia, pozostawionych w przystępie powietrza; zowią je też mikrobami, co znaczy drobnymi ustrojami.

Jeżeli istoty te odznaczają się kształtem kulistym, nadajemy im nazwę mikrokoków. Istoty te w nieskończenie wielkich ilościach roją się na naszym globie; prócz bowiem rozkładających się ciał organicznych, w których je zawsze napotykamy, zamieszkują zarówno zwierzczenie warstwy ornęj ziemi, wody jezior i rzek niemniej warstwy atmosfery, aż do znacznej wysokości. Pływając w tak ruchomym żywiole, jak powietrze, przenoszą się z łatwością z jednego punktu globu na drugi, a opadając zwolna trafiają często na właściwe dla siebie warunki szybkiego rozwoju i sprowadzają tak zwane epidemie. Przyczyny wielu chorób zaraźliwych zostały dziś stanowczo dowiedzione, a są niemi właśnie owe mikroby i bakterye. Z łatwością można się przekonać o istnieniu tych istot w atmosferze, doś jest na dni parę pozostawić na spodeczku trochę żelatynowej galarety, lub bulionu, a ujrzymy gołem okiem jak powierzchnia ich pokrywa się drobnymi kuleczkami, tworzącemi skupienia, z których każde z bardzo licznych indywiduów się składa. Prelegent pokazał płytki szklane, pokryte żelatyną, na której podobne kolonie już się usadowiły, nadto powiększony obraz podobnych kolonij, ukazał za pomocą latarni magicznej. Opowiedział przytem, jakim sposobem z tych rozmaitych bakteryi można wybierać te, które badać zamierzamy, w jaki sposób i na jakich ciałach możemy je chodować.

Wracając do przedstawionego okazu, dr. Bujwid zwrócił uwagę na kilka wydatniejszych typów, które z łatwością odróżnić można. Zielonawe, lub szarawe kęпки do pajęczyny podobne, to w ogóle pleśnie. Badacz uzbrojony mikroskopem odróżnia wśród nich i niteczki podobne do ździebeł słomy, bo opatrzone podobnemi jak w ostatnich kolankami—to aspergillus; woreczki pełne zarodników—to mucor, podobneż woreczki, lecz z zarodnikami ułożonemi w sznurki—to penicillum. Gdy zarodniki jakiegokolwiek pleśni osiadną na chlebie, owocach, konfiturach, to sprowadzą szereg przemian, zwanych pleśnieniem; przedmioty nabierają właściwej téj sprawie woni i zwolna stają się niezdatnemi

do użycia, a niekiedy wprost szkodliwemi. Obok pleśni można za- uważać inne komórkowate organizmy owalnej formy, zwane drożdżami, charakterystyczne swem zachowaniem się w płynach cukrowych. Wrzucone do roztworu cukru, rozkładają go z wolna na alkohol i bezwodnik węglany; proces ten nazywamy fermentacją alkoholową i korzystamy z jego objawów przy wyrabianiu piwa, wódki, wina, a także przy sporządzaniu chleba. Znamy też inne gatunki fermentacji jak: mleczną, octową, gnilną, lecz te wywołane są w odpowiednich ciążach nie przez drożdże, lecz przez laseczniki.

Prelegent oparty na własnych obserwacjach obwieścił, że powietrze w Warszawie zawiera w litrze od 2 do 200 bakterii; woda wiślana niefiltrowana 70 do 100 tysięcy w jednym centymetrze sześciennym (przybliżenie w 20 kroplach), woda zaś filtrowana w nowych zakładach wodociągowych zawiera w teje ilości od 500 do 800 bakterii. Ilość bakterii musi tu być zależną od pory roku, stanu pogody, a może i od godziny dnia.

Następnie prelegent ukazał obraz w przezroczu, na którym pomieszczono włos owczy oraz pleśnie, drożdże i bakterie a to, aby widzowie ocenić mogli względną wielkość mikroskopijnych tworów, po czém przeszedł do opisu własności bakterii. Niektóre odznaczają się wybitnymi barwami, jak *micrococcus prodigiosus*, ciemno różową ¹⁾; występujący dość często w mleku—silnie błękitną; zdarzający się często w wodzie wiślanej—fluoryzującą zieloną. D-r Bujwid obserwował w roku zeszłym, podczas silnej burzy w Warszawie, bakterie, które przeniesione na kartofel w celu sztucznej hodowli, przedstawiły się w kolorze czarnym. Lecz nierównie ważniejszą dla nas jest inna własność bakterij a mianowicie zatruwanie przez niektóre z nich żyjących organizmów i wywołanie chorób groźnych, często śmiertelnych. Do takich zjadliwych bakterii należą: karbunkułowa, gruźliczna, chole- ryczna. Pierwsza żyje we krwi bydła ²⁾ pod postacią laseczek; odkryta przez Davanie'go i Rayer'a, zbadana dokładnie przez Pasteur'a. Zarodniki tej bakterii odznaczają się wielką odpornością; przez dziesiątki lat zachowują swą żywotną zdolność, znoszą temperaturę 100° C. przez czas dość długi. Publiczność ujrzała na ekranie tego straszego wroga a zarazem dowiedziała się o metodzie Pasteur'a uczynienia go nieszkodliwym. Ochronne szczepienie karbunkułu nie wszędzie wpraw- dzie wydało pożądane skutki, wynikło to, zdaje się z błędów same- go szczepienia, nie zaś z fałszywości Pasterowskiej metody. W kraju naszym kilku obywateli stosuje szczepienie ochronne z pomyślnym skutkiem.

Bakterię gruźliczną poznał i zbadał słynny d-r Koch; daje się ona sztucznie chodować tylko w surowicy krwi, a odznacza się tём, że

¹⁾ Pojawiający się niekiedy na mącznych pokarmach.

²⁾ Jaką tam dostaje się drogą, mamy tylko domniemania, o których prelegent wspominał.

zabarwiona fuksyną przyjmuje trwały kolor czerwony, niezmiennający się pod wpływem silnych nawet kwasów. Bakteryja gruźlicza sprowadza chorobę, suchotami zwaną; nie jest ona tak odporna jak karbunkulowa, żyje nie więcej nad 4 tygodnie, rozmnaża się zwolna, a więc łatwiej w ogóle pokonana być może. D-r Bujwid zwrócił uwagę, aby płwociny suchotników były oddzielnie zbierane i niszczone kwasem karbolowym, sublimatem, lub też palone, a równocześnie z naciskiem wypowiedział, że bakteryje gruźliczne dla osób zdrowych bardzo rzadko okazują się szkodliwymi. Stałem siedliskiem bakteryi cholerycznych jest nizina Gangesu, z kąd twory te roznoszone są przez ludzi po całym świecie i rozwijają się od czasu do czasu do pewnych miejscowościach z przerażającą gwałtownością, siejąc postrach i śmierć. Jakie są warunki tego gwałtownego rozwoju, dotąd nie wiemy; przekonanie że cholera od specjalnej bakteryi zależy, zawdzięczamy pracom Kocha. Bakteryje choleryczne przedstawiają się pod postacią zgiętych laseczek, przypominających niekiedy kształt przecinka, są nadzwyczaj małe i nader mnożne. Rozwijają się one w kanale pokarmowym i prawdopodobnie dostają się tam tylko z pokarmami i wodą. Gotowanie, a nawet suszenie zabija te twory dość prędko; giną one też w żołądku normalnie funkcjonującym, to też używanie tylko gotowanych pokarmów i baczne zwracanie uwagi na stan żołądka, są do dziś jedynymi sposobami zabezpieczenia się przeciw cholercze w razie epidemii.

Trzy wyżej opisane bakteryje są powodem tyluż typowych chorób, lecz znamy dziś i inne specjalne bakteryje, jak tyfusową, wrzodziankową, różaną; każda wywołuje inną chorobę, a domyślamy się możności istnienia innych, aczkolwiek jeszcze nieznanych. Najważniejsze korzyści z badań bakteriologicznych odnieśliśmy w chirurgii, przy zachowaniu bowiem ostrożności jakie badania te wskazały, nie potrzebujemy się obawiać zakażenia krwi po odbytej operacji, lub złośliwego i wyniszczającego organizmu ropienia się ran. Młodą jest sama bakteriologia, lecz wydała już wiele praktycznych rezultatów, niedaleką może jest przyszłość święcenia wielkich jej tryumfów.

Wykład p. Odo Bujwida trzymany był w tonie czysto popularnym, prelegent może wydawał się niedość swobodnym, powiedzielibyśmy nieśmiałym, mimo to, a może właśnie dla tego wywołał szczerze i zasłużone zadowolenie słuchaczy. Nawiązana nić między prelegentem i słuchaczami stała się zaczątkiem pasma jakie wytworzy się w koleji czasu.

B. P.

W Akademii umiejętności w Krakowie odbyło się dnia 21 kwietnia r. b. pod przewodnictwem prof. Łuszczkiewicza posiedzenie komisji historyi sztuki, na którym odczytano list p. Matiasa Bersona z Warszawy, z zapowiedzią nadesłania do użytku komisji wiadomości nowych, w Tyrolu zebranych, o życiu i pracach Marcina Teofila Pollaka, o którym, jako o malarzu polskim, wspomina Rastawiecki, oraz o posągu brązowym księżniczki Cymbarki, córki Ziemowita IV, a zo-

ny arcyksięcia Ernesta Żelaznego. Przy tém wywiązała się dyskusya, w której prof. Maryan Sokołowski zwracał uwagę na to, że pochodzenie Pollaka z Polski najnowsze badania niemieckich uczonych mocno zachwiały. Za przedstawione sztychy Falcka, Hondiusa, portret L. Blanda, współpracownika Falcka, portret Kościuszki, rytowany przez Martina podczas pobytu w Sztokholmie, które w darze dla komisji historii sztuki, nadesłał członek tejże p. Henryk Bukowski ze Sztokholmu, uchwalili obecni wyrazić urzędownie podziękowanie. Piękny zaś zbiór ten postanowiono wcielić do zbioru rycin Akademii umiejętności i uproszono pp. Ludwika Michałowskiego, ks. Skrochowskiego, Ziemięckiego i Kallenbacha, aby przejrawszy zbiór rycin Akademii, zdali o nim sprawę na następném posiedzeniu komisji. Profesor Maryan Sokołowski przedstawił następnie znalezioną w tomie XIII Aktów Tomickiego w bibliotece Czartoryskich umowę o budowę katedry płockiej, zawartą w roku 1531 między Andrzejem Krzyckim, biskupem płockim, a mistrzem zw. Bernardinus de Gianotis Romanus, architektem. W dyskusji nad tém, stwierdził profesor Łuszczkiewicz, iż część tylko umowy została wykonana i do dziś dnia zostały widoczne ślady romanizmu i gotycyzmu. Kopuła w ówczas zbudowana, później niszczała. Profesor M. Sokołowski zdawał obszerną sprawę z dzieła Koniakowa „L'art Byzantin,” którego pierwszy tom rozszerzony wyszedł obecnie w tłumaczeniu francuzkiem naszego rodaka a członka kom. hist. szt. p. Trawińskiego w Paryżu. Wreszcie profesor Odrzywolski przedstawił zdjęcia, dokonane z bardzo bogato dekorowanego apartamentu na pierwszym piętrze domu narożnego w ulicy Sławkowskiej i Szczepańskiej i wykazał, że twórcą tych robót nie może być nikt inny, jak dekoratorowie, którzy w końcu XVII wieku wezwani byli do Krakowa dla wykończenia wnętrza kościoła św. Anny, to jest Franciszek i Baltazar bracia Fontanowie.

W Akademii umiejętności odbyło się dnia 6 maja pod przewodnictwem prof. Łuszczkiewicza posiedzenie komisji historii sztuki, na którem prof. M. Sokołowski zawiadomił o nadeszłej na jego ręce od Instytutu archeologicznego w Petersburgu propozycji zamiany z Akademią wydawnictw artystycznych od r. 1878 ogłoszonych i dalszych, jak równie o zrobionej nadziei otrzymywania drogą podobną zamiany z „Biblioteką sztuk pięknych w Paryżu,” znakomitej publikacji dotychczas 7-tomowej: „Inventaire des richesses d'Art de la France.” Następnie streścił odkryty w rękopisach biblioteki ks. Czartoryskich oryginalny inwentarz skarba kolegiaty sandomirskiej z roku 1552, nader bogatego pod ówczas w tkaniny, hafty, wyroby złotnicze i t. d. Wśród wielu ważnych szczegółów wymienione tam są ornaty, będące darem królowej Zofii, króla Jana Olbrachta, Kazimierza Jagiellończyka, Zygmunta Starego. P. Ziemięcki okazał i objaśniał zebrany wystawiony na sprzedaż, a od dawna w rękach polskiej rodziny na Podolu znajdujący się obrazek z datą 1526 i monogramem Hansa Dürera

(brata Alberta Dürera). Obrazek, w skutek późniejszych przemalowań pozbawiony wartości artystycznej, nabiera wartości z powodu nader szczupłej liczby znanych dzieł Hansa Dürera, oraz z powodu, iż zdaje się stanowić dokument bytności tego malarza w Polsce już w r. 1526, podczas gdy mniemano, iż pobyt jego trwał od 1529—1538 r. P. Sokołowski następnie mówi o dzisiejszym stanie wiadomości o malarzu, znanym jako twórcy wielu obrazów w Tyrolu pod nazwiskiem „Teophilus Pollack“ i mianym dotychczas istotnie za polaka. Najnowsze badania p. A. Ilga i innych wykazują, iż jest on prawdopodobnie jedną osobą z malarzem Teofilem Turri albo Torre z Arezzo, którego obrazy znajdują się w północnych Włoszech. Wszystko za tém przemawia, że przebywał on jakiś czas w Polsce, a potem może w świącie arcyksięcia Maksymiliana, po bitwie pod Bieczyną, dostał się do Austrii i pozostał w służbie jego, albo też, co pewniejsze, u następcy jego w sprawowaniu namiestnictwa Tyrolu, arcyksięcia Leopolda V. Żył on tam i działał jeszcze 1628 r., a z kościelnych obrazów jego jeden w Brixen pomiędzy trzema królami przedstawia jednego w stroju polskim. Znanym jest jeszcze inny Włoch, Sparza, dekorator Sternschlossu koło Pragi w XVI wieku, któremu też dano przydomek Polaka. Powtarzające się tego przykłady są jedném świadectwem więcej, jak Polska wówczas pod względem kultury bliską była Włochom, i że niejednokrotnie droga artystów z Włoch do Niemiec prowadziła przez Polskę. Sekretarz Tomkowicz odczytał kilka komunikatów hr. Konstantego Przezdzieckiego, z których najważniejszy odnosi się do obrazu, będącego w skarbcu katedr. krak., a przedstawiającego opłakiwanie zmarłego Chrystusa. Z powodu niefortunnéj restauracji zainteresowano się nim przed kilku laty i niektórzy przypisywali go Quentinowi Metsistowi. Powaga w tych rzeczach, prof. Hymans w Antwerpii, na podstawie udzielonej sobie fotografii, przynajmniej obecnie stanowczo Bernardowi van Orley, a podnosząc wysoką wartość dzieła artystycznego, stwierdza, iż na dalszym planie okazuje się widok Brukseli, a mianowicie wieża kościoła św. Guduli. Następnie ks. Skrochowski, w imieniu wybranego podkomitetu, przedstawił program zamierzonej inwentaryzacji zabytków sztuki miasta Krakowa. Przy czém, po dyskusyi, w której brali udział pp. Łuszczkiewicz, Sokołowski, Piekosiński, Wdowiszewski i Lepszy, uchwalono obrąć za wzór inwentaryzacji dzieło Lutscha: „Die Kunstdenkmäler der Stadt Breslau,“ oraz uchwalono rozpocząć staranie o uzyskanie współpracowników, zwłaszcza między architektami i zastanawiano się nad uzyskaniem potrzebnych do takiej pracy funduszków. Wybrano komisją, złożoną z pp. Łuszczkiewicza, Gebauera, ks. Skrochowskiego, Sokołowskiego i Tomkowicza, do przygotowania kosztorysu; oraz wspomniano o potrzebie ogłoszenia dla użytku świata naukowego wyników badań p. Prylińskiego nad budową zamku królewskiego na Wawelu, kosztem kraju podjętych.

Dnia 21-go maja odbyło się w Krakowie doroczne walne posie-

dzenie Akademii umiejętności, które w imieniu protektora Akad., arcyksięcia Karola Ludwika, zagaił wice-protektor hr. Alfred Potocki. Oddawszy cześć zmarłym członkom Akademii, a mianowicie ks. Waleryanowi Kalince i J. I. Kraszewskiemu, hr. Potocki zwrócił uwagę swoją na tę okoliczność, że jakkolwiek takie instytucye, jak akademie nie umniejszają żalu, nie umniejszają straty, to przecie umniejszają, a nawet usuwają najgroźniejsze takich strat niebezpieczeństwo, które leży w grożącej przerwie wysokich naukowych tradycyi, w zmarnowaniu ziarna, rzuconego dłonią tych, co sami niestety plonu dopilnować nie mogli. W spełnieniu tego obowiązku upatruje hr. Potocki najpiękniejsze zadanie Akademii i najzacieśnią jej ztąd zasługę. Piastując najlepsze tradycye pracy naukowej, organizując ją i skupiając w silne ognisko, aby je rozstrzelić szerokim płomieniem światła na społeczeństwo, wskazując kierunki i potrzeby, dostarczając środków, powołując do trudu coraz to nowych pracowników, wieńcząc już zasłużonych, spełnia ona godnie swoją misję i chlubnie usprawiedliwia zaufanie, jakim otacza ją kraj cały." Po odpowiedzi prezesa dr. Majera, charakteryzującej usilność ściśle naukowej pracy Akademii przez minione lat 14 istnienia Akademii, przedstawił Stanisław hr. Tarnowski, generalny sekretarz Akademii, w szczegółowym sprawozdaniu tę część ogólnego plonu, której dostarczyła praca Akademii w ciągu roku ubiegłego, poświęciwszy na wstępie rzewne wspomnienie zmarłym w tym czasie członkom Akademii: prof. Althowi, ks. Kalince, Żebrowskiemu, Kraszewskiemu, Kirkorowi i Zyblikiewiczowi. Sprawozdanie poświadcza, że leży bardzo wiele materiału gotowego; lecz z powodu ograniczonych środków do druku iść nie może i przypomina z czasów równie groźnych jak dzisiejsze to, co powtarzał Niemcewicz: „drukujmy, wydawajmy wszystko, co mamy pod ręką, bo dziś możemy, a jutro Bóg wie, co będzie," i nie kryje pewnego niepokoju, zwłaszcza, że materiały, odnoszące się do historii polskiej i służące do pokazania jej we właściwem świetle, najwięcej podlegają nienawistnym uczuciom i losom. Składane na ręce Akademii różne fundusze na specjalne cele dowodzą, że kraj ma zaufanie do Akademii; ale celów jej wydawniczych albo nie pojmuje wcale, albo je z krzywdą ogółu lekceważy. — Następnie miał prof. J. dr. Rostański odczyt p. t. „Polska z czasów przedhistorycznych pod względem fizyograficznym i gospodarskim." — W końcu sekretarz Akademii odczytał propozycye na członków Akademii, oraz sprawozdania z konkursów. — Na témże posiedzeniu przyznała Akademia poraz pierwszy nagrody z pięknej fundacji ś. p. Piusa Barczewskiego za rok ubiegły. Za najlepsze dzieło malarskie przyznano nagrodę Janowi Matejce za „Dziewicę orleańską;" za najlepsze dzieło w zakresie historii polskiej uznano pracę senatora Romualda Hubego: „Prawo polskie w wieku XIV-ym."

„Namiestnictwo Dolno-austryackie" zatwierdziło statut zawiązanego „Towarzystwa biblioteki polskiej w Wiedniu." Towarzystwo odbyło już 6-go maja r. b. walne zgromadzenie członków przystępu-

jących do swojego grona. „Statut Towarzystwa biblioteki polskiej w Wiedniu“ wskazuje w § 1, jako zadanie Towarzystwa: zjednoczenie polaków w celu pielegnowania mowy ojczystej, tudzież wspieranie literatury i sztuki polskiej, a to (§ 2) przez zakupno dzieł literatury polskiej i sztuki, utrzymywanie biblioteki, odczyty i dyskusye nad przedmiotami z zakresu literatury, historii i innych umiejętności, urządzenie zebrań towarzyskich, przedstawień amatorskich i t. p. Towarzystwo składa się z członków i uczestników (§ 4). Członkami Towarzystwa mogą być polacy i polki, najmniej 20 lat wieku liczący, na wniosek innego członka, przez wydział jednogłośnie do Towarzystwa przyjęci (§ 5). Osoba przyjęta wnosi do majątku Towarzystwa wkładkę bezzwrotną w kwocie 5 złr. w. a. lub książki, których wartość, podług uznania wydziału, dorównywa powyższej kwocie. Prócz tego składają członkowie z góry, jednorazowo lub w ratach kwartalnych, opłatę roczną w kwocie, jaką walne zgromadzenie ustanowi. Tymczasowo aż do odmiennj uchwały walnego zgromadzenia ustanowiono 10 złr. w. a., jako opłatę roczną (§ 6). Członek może w każdym czasie wystąpić z Towarzystwa, skoro zawiadomi o tém piśmieinnie wydział i złoży opłatę, jakieby na niego do końca roku administracyjnego przypadają. Wykluczenie członka może nastąpić za decyzją wydziału powziętą większością $\frac{2}{3}$ głosów, z prawem apelacyi do zgromadzenia walnego (§ 7). Członkowi służy prawo braunia udziału w walnym zgromadzeniu, prawo wyboru i wybieralności, wolność korzystania z biblioteki i uczęszczania na zebrania towarzyskie, koncerty, odczyty, wystawy i t. p. przez Towarzystwo urządzone (§ 8). Uczestnikiem Towarzystwa może być każdy polak lub polka, przypuszczony przez wydział do korzystania z biblioteki, odczytów, koncertów i t. p., skoro opłaci należność przez wydział ustanowioną (§ 9). Uczestnik, nie korzystający z praw głosowania na zebraniu ani z prawa wyboru i wybieralności do wydziału, może także w każdym czasie wystąpić z Towarzystwa (§ 10). Sprawami Towarzystwa zarządza walne zgromadzenie i wydział wybrany na zgromadzeniu walnym (§ 11). W razie rozwiązania Towarzystwa cały majątek jego przechodzi na Akademię umiejętności w Krakowie, jeśli walne zgromadzenie nie wyda w tym względzie odmiennj uchwały. Prócz urzędników, artystów, literatów i t. p. polaków, mieszkających w Wiedniu, przystąpili do „Towarzystwa biblioteki polskiej w Wiedniu“ kks. Czartoryscy, Potoccy, Wodziczcy i i. Do komitetu założycieli należą Jerzy ks. Czartoryski, August hr. Łoś, Stanisław Nowiński i Wilhelm dr. Binder.

W dniu 9 i 10-go września 1887 r. odbędzie się podczas wystawy rolniczo-przemysłowej oraz artystycznej w Krakowie „Pierwszy zjazd prawników i ekonomistów polskich.“ Celem zjazdu jest poruszenie i rozbiór tych przedmiotów z dziedziny umiejętności prawnych i politycznych, które wymagają zbiorowego omowienia, aby podnieść poziom umiętne go wykształcenia, usunąć trudności praktyczne, obmy-

ślić środki zaradcze w granicach możności, wreszcie ułatwić zawiązanie osobistej znajomości przez zbliżenie się i swobodną wymianę myśli między prawnikami polskimi. Komitet, wybrany (12-cie osób) z grona prawników, zamieszkałych w Krakowie, postanowił rozbiierać na posiedzeniach tego zjazdu: kwestye ogólne i odnoszące się do historii prawa polskiego; dalej: pytania z dziedziny prawa pozytywnego, oraz sprawy ekonomiczne. Zgłoszenia się uczestników zjazdu przyjmuje tylko do dnia 15-go lipca r. b. komitet na ręce prof. Franciszka dr. Kasparka, w Krakowie, Rynek główny nr. 36, do czego załączyć należy 2 złr. na koszt zjazdu. Kto pragnie zapowiedzieć temat na zjazd, winien to uczynić najdalej do d. 15 lipca r. b. Tematy mają zawierać ściśle sformułowanie uchwał proponowanych i treściwe ich uzasadnienie. Z pomiędzy zapowiedzianych referatów przez członków zjazdu, może tylko jeden na pojedynczego członka przedstawionym być zjawdowi. Referaty drukowane zawczasu uczestnikom zjazdu będą rozdane. Dotychczas zapowiedziano następujące tematy: dr. Kasperek, „O potrzebie troskliwej uprawy prawa międzynarodowego prywatnego i o środkach do tego celu zmierzających;“ dr. Dembiński: „Wpływ literatury włoskiej na polskie piśmiennictwo polityczne XVI-go wieku;“ dr. Kleczyński: „O zasadach organizacyi samorządu;“ dr. Krzymuski: „O jawności w procesie karnym;“ dr. Fierich Maurycy: „O granicach swobodnej teoryi dowodowej w procesie cywilnym;“ dr. Milewski Józef: „Reforma prawa spadkowego dla własności ziemskiej.“

Konkurs imienia F. Kochmana. Wydział krajowy królestwa Galicyi i Lodomeryi z Wielkiem Księstwem Krakowskióm podaje do wiadomości publicznej co następuje: Franciszek Kochman, urzędnik rządowej izby obrachunkowej we Lwowie, zmarły dnia 8-go marca 1866 r., przeznaczył rozporządzeniem ostatniej woli z dnia 1-go stycznia 1864 r. i 23-go grudnia 1865 r., część swego ruchomego i nieruchomego mienia na utworzenie fundacyi, mającej po wieczne czasy nosić nazwę: „Fundacya Franciszka Kochmana dla premiowania literatów polskich.“ Majątek tej fundacyi wynosi 24,000 złr., złożony jest w kasie wydziału krajowego. Celem wprowadzenia w życie fundacyi wydział rozpisuje niniejszém konkurs z prekluzją w dniu 31-m marca 1888 roku, a to na ten raz na dwa premia, jedno w kwocie 1,000 złr., drugie 500 złr., dla dwóch dzieł za najlepsze uznanych, i wzywa wszystkich literatów polskich bez różnicy, w którym kraju i pod jakim rządem żyją, ażeby w ciągu tego terminu dzieła swoje przesyłali do Lwowa pod adresem wydziału krajowego. Na moce listu fundacyjnego mogą być dopuszczone do konkursu wszelkiego rodzaju pody autorów polskich w języku polskim, z wyjątkiem jedynie dzieł treści religijnej i teologicznej. Mogą to być utwory tak autorów żyjących, jak i zmarłych, w drugim razie jednak z zastrzeżeniem, że jeżeli to są dzieła już drukowane za życia autora, to im tylko w ciągu trzech pierwszych lat od jego zgonu prawo do konkursu służy; jeże-

li przeciwnie są to prace jeszcze nieogłoszone drukiem, to przyznana im nagroda przedewszystkiem na wydrukowanie dzieła użyta być powinna. Z prac autorów żyjących jedynie książki drukiem ogłoszone mają prawo do konkursu. Dawniejsze jednak publikacje niż z roku 1878 nie będą przyjmowane. Własność dzieła wynagrodzonego służy autorowi i nadal. Nagroda przyznana dziełu autora już zgasłego, przypada na rzecz jego spadkobierców; gdyby zaś takich nie było, wtedy komisya konkursowa orzecze, na jaki cel ma być obrócone to premium. Do załatwiania czynności, połączonych z ocenianiem dzieł i przyznawaniem nagród, utworzona jest konkursowa komisya fundacyjna, którą w myśl listu fundacyjnego powołuje wydział krajowy.

Ś. p. Tadeusz Roszkowski naśladować głośnego filantropa francuzkiego, barona de Monthyon zaprojektował w testamencie, którego treść podał dokładnie „Kuryer Warszawski” z d. 8 Maja r. b., fundacją „Nagrody Cnoty.” Projekt składa się z 60 paragrafów, nadzwyczaj szczegółowych. Początek ten brzmi:

„Im dłużej żyję na świecie, tém coraz dowodniej się przekonywam, że ludzie cnotliwych ze świecą dziś szukać należy! Mojem zdaniem, będącém wynikiem dłuższych obserwacyj, cnotliwych ludzi dla tego jest tak mało, iż nie widzą dla siebie i n t e r e s u prowadzić życie moralne, bogobojne, a podstawy wiary nie znają i przyszłej nagrody cnoty w wieczności nie pożądata. Z uwagi na to wszystko i mając niepłonną nadzieję, iż interes obudzi do pewnego stopnia potrzebę cnoty, naśladowuję pomysł Monthyona chociaż z pewnemi zmianami, ufny iż cegiełka, jaką przykładam moją fundacją, zachęci innych do budowania z takich cegiełek całego gmachu i mam niepłonną nadzieję, że filantropja, zwrócona w kierunku wynagradzania cnoty, więcej umoralni społeczeństwo, aniżeli zapisy wspierające skutki występów (?) i dlatego tuszę sobie osiągnąć pomyślny rezultat z zamierzonego projektu.“

Pozostawiając tymczasem ów wstęp bez żadnych komentarzy, streścimy za „Kuryerem Warszawskim“ warunki zapisu. Testator żąda, aby suma 55,000 rs., zawarta w listach likwidacyjnych i walutach pożyczki wschodniej, procentowała się aż dotąd, dopóki kapitał nie dosięgnie 100,000 rs. Wówczas dopiero co trzy lata należy urządzać konkursy cnoty, z dopuszczeniem kandydatów wszelkich stanów. Obliczając procent od kapitału na 5%, testator żąda, aby suma 15,000 rs., otrzymana z trzech lat, posłużyła na konkurs trojakiiego rodzaju cnot: 1) publicznych, 2) miłości bliźniego i 3) domowych. Na pierwszym planie cnot publicznych stawiają się te, które dotyczą wszelkich poświęceń dla społeczeństwa na rozmaitych polach pracy, nauki i t. p. Do powyższej kategorii testator pozwala zaliczyć wpływ dauęj książki na całe społeczeństwo i ztąd możność nagrodzenia jej autora. Co do cnot miłości bliźniego, to rzecz ta nie potrzebuje bliższego objaśnienia. Co się zaś tyczy cnot domowych, to zapisodawca miał przedewszystkiem na myśli rodzinę i wzajemny do siebie stosunek rozmaitych

jéj członków, a więc obowiązki dzieci względem rodziców, harmonją i miłość małżeństwa, objawy poświęcenia miłości braterskiej lub siost-rzanéj i t. p. Na każdą kategorią cnót testator przeznaczą 5,000 rs., z których komisya, wydelegowana przez daną instytucyą, najzupełniéj dowolnie wydziela nagrody, z tem nadmienieniem, aby najwyższa jednorazowa nie przewyższała 2,000 rs., a najniższa 100 rs., Jedne i te same osoby nagrodzone za pewną cnotę, za tę samą późniéj już o nagrodę ubiegać się nie mogą, lecz w innéj kategorii wolno im stanąć do konkursu. We wszystkich konkursach winny zasiadać dwie komisye, jedna dającą opinią, druga sądzącą, w każdéj zaś ma zasiadać niemniéj pięciu członków. Ś. p. Roszkowski, przeczuwając, iż jego zapis przy zatwierdzeniu może natrafić na rozmaite przeszkody, udzielił trzem wykonawcom ostatniéj swéj woli, pp. Antoniemu Dolanowskiemu, Karolowi Roszkowskiemu i Janowi Melertowi, prawo dopełniania modyfikacyj, jakie uznają za stosowne, byleby tylko zapis doszedł do skutku. W nadziei, iż powyżéj wymienionym wykonawcom uda się wyjednać tyle požądane zatwierdzenie, oczekujemy z niecierpliwością pierwszego konkursu cnoty, kapitalizowanie bowiem odsetków do 100,000 rs. do skutku nie przyjdzie.

Komitet Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskiem, podaje do wiadomości pp. artystów malarzy, rzeźbiarzy i budowniczych, iż w m. styczniu 1888 r. urządzo-ną będzie przez Towarzystwo doroczna czasowa Wystawa konkursowa, na którą kwalifikować się będą do przyjęcia: z malarstwa: obrazy olejne, akwarelle, pastele, kartony, i rysunki; z Rzeźby: wszelkiego rodzaju dzieła rzeźby, bez względu na materyał, tudzież wyroby medaljerskie; z architektóry: wszelkiego rodzaju kompozycye w zakres jéj wchodzące, w planach lub modelach. Nie kwalifikują się do przyjęcia: a) wszelkie kopie; b) dzieła artystów zmarłych ua rok przed otwarciem Wystawy. Każdy z pp. wystawców ma prawo wystawić jednocześnie dwa swoje dzieła. Za jedno dzieło uważane będą rysunki, ujęte w jedną ramę. Dzieła dla oddziału malarstwa mają być w ramach. Na wystawę przyjmują się dzieła wykonane w ciągu lat trzech ostatnich, które poprzednio nie znajdowały się na Wystawie Towarzystwa, ani na innéj w Warszawie. Przyjmowanie dzieł na wystawę konkursową trwać będzie od d. 15 do 31 grudnia r. b. włącz-nie, do godz. 6-éj wieczorem; deklaracye zaś z wypisaniem treści dzie-ła, ceny, adresu autora i krótkiéj biografii (kiedy i gdzie się urodził i gdzie kształcił się w sztuce), winny być nadesłane do komitetu To-warzystwa przed 15 grudnia. Wystawa trwać będzie od 15 stycznia do końca lutego, i przed upływem tego czasu dzieło przyjęte, nie mo-że być z niéj wycofane. Nagrody za dzieła bezwarunkowo odznaczają-ce się: w oddziałach malarstwa i rzeźby—większe po rs. 150, mniejsze po rs. 50 w złocie; w oddziale architektury większa rub.

300, inniejsza rub. 150 w złocie. Bliższe objaśnienia w kancelaryi Towarzystwa.

Komitet Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskiem, podaje do wiadomości pp. artystów, iż w m. Październiku, r. b. urządzoną będzie przez Towarzystwo, doroczna Wystawa czasowa konkursowa sztuki Ornamentaryjnej i Reprodukcyjnej a mianowicie: miniatur, emalii, malowania na szkle, porcelanie i fajansie, sztychów, akwafort, drzeworytów, litografii i wszelkich reprodukcji ręcznych, niemniej wszelkiego rodzaju ornamentacyi. Deklaracye przyjmują się w kancelaryi Towarzystwa do 1-go Października; nadsyłania przedmiotów od d. 1-go 10-go października, otwarcie Wystawy 15-go października. Czas trwania Wystawy ustanawia komitet Towarzystwa. Przedmioty przyjęte na Wystawę, nie mogą być wycofane przed zamknięciem Wystawy. Przyjmowanie i kwalifikowanie przedmiotów, oraz przyznawanie nagród należy do komitetu Towarzystwa. Wystawa składać się będzie z trzech oddziałów: Oddział 1-szy: miniatury, emalie, malowanie na szkle, porcelanie i fajansie; oddział 2-gi: sztychy, akwaforty, drzeworyty, litografie i wszelkiego rodzaju ręczne reprodukcye; 3-ci wszelkiego rodzaju ornamentacye.

W każdym z powyższych oddziałów może być przyznana jedna nagroda rubli pięćdziesiąt w złocie za dzieło bezwarunkowo odznaczające się. Oprócz tego będą wydawane listy pochwalne. Bliższe objaśnienia udzielają się w kancelaryi Towarzystwa.

Gazety petersburskie przyniosły nam wiadomość o postanowieniu Rządu, które, skoro zostanie prawidłowo wykonane, może przynieść nie małe korzyści ekonomiczno-społeczne dla kraju naszego. Zapewniają bowiem dosyć stanowczo, że rząd postanowił rozciągnąć działalność „Banku włościańskiego,” ustanowionego dla Cesarstwa w maju 1882-go roku—także na Królestwo Polskie. Z rozszerzeniem działalności Banku włościańskiego łączą się atoli niektóre zmiany w pierwotnej ustawie, wywołane nie tylko przez nasze warunki miejscowe, ale i przez charakter, jaki władze pragną nadać tej nowej instytucji w Królestwie Polskiem. Pięć lub sześć filii Banku ma być wkrótce otwartych w guberniach Królestwa Polskiego w taki sposób, że będą stanowić albo odrębne instytucye, albo też łączyć się z filiami Banku Państwa lub Izbami skarbowemi. Zarząd tych filii ma spoczywać w ręku członków (prezesi i urzędnicy Izb skarbowych lub Banku Państwa), mianowanych przez ministra skarbu z dodaniem stałych członków komisji włościańskiej oraz delegatów, mianowanych przez gubernatorów. Celem banku ma być: wzmocnienie drobniej własności ziemskiej włościańskiej i w ogóle udzielanie pomocy włościanom najbardziej tego potrzebującym. Środkiem zaś skupywanie parceli z gruntów folwarcznych, nieobciążonych donioślejszemi służebnościami—i to za pomocą pożyczki bankowej, udzielanej na to kupno włościanom pochodzenia

polskiego, litewskiego i rosyjskiego z wyjątkiem Niemców i Żydów. Pożyczkę mogą uzyskać włościanie z gospodarstwem obcy na pokrycie całego (?) szacunku przez delegacją wyrachowanego i to w ten sposób, że 75% płynąć będzie z funduszu Banku Państwa, jak w Cesarstwie, a 25% z uzbieranego przez Towarzystwo kred. ziem. w czasie od roku 1857 do 9-go października 1866-go roku (wynosił w tym terminie rubli 1,730,149 kop. 35¹/₂), tak osławionego funduszu użyteczności ogólnej, który usunięty we wskazanym terminie z pod zarządu Towarzystwa, przez samo procentowanie się wzrósł dotychczas do cyfry daleko poważniejszej. Sprawa Banku włościańskiego nie jest jeszcze znaną do kładnie w swęj ostatecznej redakcyi, tak, że gazety petersburskie coraz nowe dorzucają do niej szczegóły; dla tego poprzestajemy w tę chwilę na treściwej wzmiance, bo zamierzamy wrócić do rozbioru całego tak ważnego przedmiotu, skoro tylko ostatecznie ustalonym zostanie.

Dnia 30-go kwietnia odbyło się ogólne zebranie roczne akcyonaryuszów Banku dyskontowego, na którym przewodniczący p. M. Epsztein zaznaczył w przemówieniu swoim, że rok ubiegły należał pod względem finansowym do mniej pomyślnych, chociaż nie zrzucił bankowi strat poważniejszych. Zaprotestowano w ogóle weksli na rs. 10,000, a w przewidywaniu strat większych, postanowił zarząd zarezerwować na ich pokrycie jeszcze 40,000 rubli. Obrót kapitału na wszystkich operacyach bankowych uczynił w roku z. 214,267,502 rubli. Rachunek przekazowy w tutejszym kantorze Banku Państwa wynosił 152,054 rubli, skup weksli z dwoma co najmniej podpisami 1,903,728, skup sola weksli zabezpieczonych hypoteką miejską lub papierami 531,260 rubli. Pożyczek dano na zastaw papierów państwowych i przez rząd gwarantowanych na 253,096 rubli, na listy zastawne 33,276 rubli, na udziały, akcye, obligacye instytucyi krajowych i Cesarstwa na 125,699 rubli, na zastaw towarów, a także konosamentów i warrantów na towary 345,760 rubli, na drogie metale i assygnacye zarządów górniczych 144,250 rubli. Kapitał zapłacony banku wynosi 2,000,000 rubli w 8,000 akcyach, kapitał rezerwowy 292,153 rubli. Ogólne zebranie przyjęło sprawozdanie i zatwierdziwszy bilans za rok ubiegły, przyjęło proponowaną przez radę zarządzającą dywidendę w wysokości 6¹/₂% od akcyi.

Dnia 3-go maja r. b. odbyło się ogólne roczne zebranie akcyonaryuszów warszawskiego Towarzystwa ubezpieczeń od ognia. Posiedzenie zagał prezes Towarzystwa, Stefan ks. Lubomirski, który w dłuższem przemówieniu, przedstawiającem stan interesów instytucyi i działalność jej za rok 1886, zaznaczył że rok ubiegły korzystniej się przedstawia pod względem rachunkowym od lat poprzednich, a to dzięki mniejszej liczbie pogorzeli. Ogólny obrót Towarzystwa wynosił rubli 2,096,000, czysty zysk 155,430 rs., dywidenda zaś 10% czyli rs. 12 kop. 50 od akcyi. Po zatwierdzeniu etatu wydatków administracyj-

nych na rok 1887 w sumie rs. 139,000, zebranie przystąpiło do wyboru dwóch członków dyrekcyi i pięciu członków komisji rewizyjnej w miejsce ustępujących.

Towarzystwo oczyszczania i sprzedaży spirytusu zawiązane zaledwie przed paroma miesiącami, rozwija się dosyć pomyślnie. Sprawozdanie o działalności dotychczasowej zarządu Towarzystwa, przedstawione przez wiceprezesa, p. Przyłubskiego na Zebraniu ogólném, odbytém w Warszawie dnia 14-go maja r. b. zaznacza, że rozpoczęcie czynności Towarzystwa nastąpiło w połowie kampanii gorzelniczej, to jest wtedy, kiedy znaczna część produkcji została już spożytkowaną i że w skutek ograniczonego kapitału zakładowego, wynoszącego zaledwie 150,000 rs., zadanie zarządu było bardzo utrudnioném. Postanowiono więc czasowo ograniczyć się do komisowego wywozu okowity za granicę i w tym celu Towarzystwo przyjęło na swój rachunek interes ekspedycyjny p. Radziszewskiego i kapitał kaucyjny nieodłączny od niego, w sumie 163,000 rs. Zgromadzenie potrzebnych kapitałów przy zwiększającej się ilości okowity przeznaczonéj do wywozu, przedstawiłoby trudności nadzwyczajne, gdyby nie szczerza, obywatelska życzliwość dla instytucyi prezesa banku handlowego, dra Stanisława Kronenberga, który otworzył jej znaczny kredyt, oraz banku dyskontowego i Towarzystwa wzajemnego kredytu. Wybór rynku hamburskiego jako jedyne dotychczasowego odbiorcy okowity naszej, uznano na razie za główny punkt operacyjny i podjęto starania o zawiązanie stosunków handlowych z Karlshamem w Szwecyi oraz z Odessą, gdzie produkt nasz w przyszłości może znaleźć duże powodzenie.

Odniesiono się także do departamentu dochodów niestałych o zastosowanie u nas § 133-go ustawy akcyzowój, obowiązującej w Cesarstwie, a mianowicie do składania kaucyi przy przewozie spirytusu, do połowy ustanowionéj sumy.

Kapitał, złożony przez akcyonaryuszów, dosięga w téj chwili 150,000 rs. i jest kapitałem obrotowym, kapitał zaś kaucyjny wynosi już obecnie rs. 720,000.

W pierwszym miesiącu wywóz okowity ograniczył się do ilości 736,952^o, czyli 71,710 wiader 80^o, dostarczonéj przez 48 gorzelni. W miesiącu drugim z 92 gorzelni wywieziono 76,788 wiader, w trzecim z 96 gorzelni 108,131 wiader i w miesiącu czwartym ze 105 gorzelni 61,281 wiader, czyli w ciągu czterech miesięcy 318,110 wiader, równających się 25,448,844^o tralesa.

Ze wszystkich transportów uregulowano dotąd 220 i rachunki odońno przestano ich właścicielom.

Rachunki te wykazują, że za 4-y tylko transporty osiągnięta cena, przeniosła za każde 80^o wiadro, loco gorzelnia, 70 kop., 90 transportów 70 do 80 kop., 120 transportów od 80 do 90 kop. i 6 wy-

żej nad 90 kop. Rezultat więc tych pierwszych obrotów jest względnie bardzo pomyślny i każe wróżyć dalsze powodzenie spółki.

Projekt założenia składu własnego okowity przyjęto bez dyskusji i upoważniono zarząd:

1) Do urządzenia w Warszawie składu wódki zwyczajnej lub oczyszczonej.

2) Do składu tego postanowiono nabywać potrzebny towar i sprzedawać go następnie na ryzyko Towarzystwa. Na powyższe cele z fundusów Tow. ma być użytych: na urządzenie składu do wysokości rs. 15,000, sposób amortyzacji tego kapitału odbywać się ma podług zasad podanych w ustawie Tow.; na kapitał obrotowy użyć potrzebną sumę do wysokości 37,500 rs. rocznie; na administracją rs. 86,000 i wystarać się o kaucyje do wysokości rs. 75,000 od zakupić się mającego towaru.

3) Na pomieszczenie składu nabyć lub wynająć w dzierżawę odpowiednią miejscowość, podług uznania zarządu, w granicach cyfr, wyżej wymienionych.

W kronice z miesiąca maja (str. 322 i dalsze) zaznaczyliśmy rozwielenie się spóczesne idei protekcyonizmu w handlu międzynarodowym. Obecnie przybywa w tym kierunku dowód nowy, a jest nim zapowiedziane już w Niemczech podwyższenie cła wchodowego od zboża. W mowie wypowiedzianej z tego powodu, minister rolnictwa zaznaczył z naciskiem, iż rząd nie ma tu bynajmniej na widoku podniesienia dochodów skarbowych, lecz jedynie pragnie podtrzymać rolnictwo krajowe, upadające pod brzemieniem konkurencji zagranicznej; przytém rząd chce, by ludność wiejska wiedziała, iż państwo ma zawsze interesy jej i potrzeby na oku. Ceny produktów rolniczych, mimo wprowadzenia cła przed ósmioma laty w Niemczech, nietylko nie podniosły się, lecz przeciwnie spadły w ostatnich czasach do takiego poziomu, na jakim od stu lat się nie znajdowały. Na dowód tego p. minister, podał niektóre dane cyfrowe, które mi nie chcąc nużyć czytelnika, zaznaczmy jedynie ogólnikowo, że ceny zarówno pszenicy, jak żyta, oraz mąki pszennej i żytniej, po okresie podnoszenia się stopniowego, zaczynając od roku 1883 spadają gwałtownie, a w roku 1886 i w bieżącym 1887 dochodzą do dawno niewidzianego minimum. W skutek tego, jakkolwiek cena maszyn rolniczych, nawozów i t. p. uległa w ostatnich czasach pewnej obniżce, to jednak w obec zmniejszenia się dochodu, otrzymywanego od przedsiębiorstwa rolnego, mniej więcej o 25 % położenie ludności, oddanej rolnictwu, stało się rzeczywiście opłakane. Stan ten rzeczy dowodzi najlepiej zdaniem p. ministra, że istniejące cła zbożowe, są jeszcze zbyt niskie, że w dotychczasowej wysokości swój, nie zdołały one powstrzymać napływu zboża zagranicznego do Niemiec, w skutek czego, przy silnej podaży, a słabem zapotrzebowaniu, ceny produktów rolnych utrzymują się na poziomie niebywale niskim. Sądźmy, że w wywodach swych p. minister za mało zwrócił uwagi na ostatni ze wspomnianych wyżej czynni-

ków, mianowicie na zapotrzebowanie, które — zdaniem naszym — gra w razie danym najważniejszą rolę. Rzeczywiście uważamy, że podług danych, przytoczonych w mowie ministeryalnej, zniżka cen zboża i artykułów żywnościowych datuje od r. 1883, t. j. od czasu rozpoczęcia się przesilenia, ciężącego dotychczas nad przemysłem. W tym właśnie fakcie, w stagnacji przemysłowej i idącym w ślad zatem, zmniejszeniu konsumpcji, szukać należy — zdaniem naszym — istotnego powodu upadku ceny zboża. Podwyżka zatem cła, będzie tu tylko paliatywem tém zgubniejszym, iż niewiele pomagając jednej warstwie ludności, przyniesie natomiast ujmę dotkliwą dla tych, których byt przez tak długo przewlekający się kryzys przemysłowy najbardziej został zachwiany.

W początkach miesiąca maja odbyły się wybory do zarządu Sekcji III-jej Warszawskiego Oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, zajmującej się kwestyami technicznymi, mającemi związek z przemysłem. Obojętność ogółu naszego na sprawy publiczne odzwierciedliła się przy tej sposobności w całej pełni. Pierwsze bowiem posiedzenie wyborcze, z powodu nieprzybycia członków w ilości, przez Ustawę Towarzystwa wymaganą dla dopełnienia wyborów, spełzło na niczém; jeżeli zaś ten sam los nie spotkał zebrania powtórnego, to nie dla tego, iżby podążyła na nie większa ilość członków, — przeciwnie bowiem przybyło ich mniej nawet, niż za pierwszym razem, lecz dla tego, że zgodnie z ustawą, zebranie powtórne jest już mocne przystąpić do wyborów bez względu na liczbę obecnych. Do zarządu sekcyi na kadencją następną powołane zostały te same osoby, które urzędy te sprawowały poprzednio, mianowicie p. Paszkowski na przewodniczącego, p. Wojciechowski na wice-przewodniczącego i p. Leppert na sekretarza. Ze sprawozdania z czynności Sekcyi za czas ubiegły widzimy, iż dotychczas Sekcyja III obracała się w dość ciasnych granicach, nie działając bowiem samodzielnie, lecz jedynie na skutek żądań lub kwestyj, postawionych bądź przez którą z innych Sekcyj Towarzystwa, bądź przez osoby i instytucje postronne, nie miała sposobności do rozwinięcia swój działalności. Obecnie jednak zakres jej funkcyonowania rozszerza się, z jednej strony bowiem przybývają jej wszelkie kwestye techniczne, odnoszące się do dróg żelaznych, które dotychczas należały do kompetencji Sekcyi V-jej (handlu i komunikacji), z drugiej zaś Sekcyja sama, jakśmy to słyszeli z ust przewodniczącego, zamýśla występować z inicjatywą w sprawach techniczno-naukowych.

Ze spraw bieżących przyszła, na posiedzeniu obecném, pod obrady Sekcyi kwestya podwyższenia cła od rur kamionkowych, niewłaściwie w handlu i przemyśle nazywanych z cudzoziemską sztajngutowemi. Kwestyą tę podniosła Sekcyja V-ta, która przed sformułowaniem ostatecznym wniosku swego w téj materji, uważała za właściwe zasięgnąć zdania Sekcyi III: czy fabrykacya rur rzeczonych stoi już

w kraju naszym na tym szczeblu, iż może wystarczyć na potrzebę miejscową? czy rury kamionkowe, wyrabiane u nas, dorównują zagranicznym pod względem jakościowym? czy wreszcie podwyżka cła nie wpłynie na nadmierne wygórowanie ceny fabrykatu miejscowego, a t \acute{e} m sam \acute{e} m: czy nie stanie na przeszkodzie szerszemu jego zastosowaniu w przemyśle? P. Wojciechowski, któremu w swoim czasie sprawę tę oddano do rozpatrzenia, zwiedziwszy kilka zakładów miejscowych, dał o fabrykacji t \acute{e} j u nas pochlebne świadectwo, zaznaczając jednak zarazem, iż celem wyrobienia sobie dokładniejszego w tym przedmiocie pojęcia, należy kwestyą zbadać gruntowniej, niż mógł to uczynić dotychczas. Kwestya więc do czasu pozostała w zawieszeniu.

Wreszcie Sekcja zajmowała się poruszoną przez p. Paszkowskiego kwestyą wielkiej doniosłości. Idzie o ścisłe zbadanie własności miejscowego węgla kamiennego i warunków najwłaściwszego użycia go w przemyśle. Wiadomo, iż węgiel nasz w Królestwie sam \acute{e} m walczyć musi ze współzawodnictwem węgla szlązkiego, którego produkcya, mimo przesilenia, jakie zaciężyło obecnie nad przemysłem w ogóle, nie tylko nie zmniejszyła się w latach ostatnich, lecz przeciwnie w roku na przykład 1885-ym wzrosła w porównaniu z rokiem poprzednim o 3,6% i dorównała w tym czasie olbrzymiej ilości przeszło 12,700,000 tonn; dalej w guberniach litewskich węgiel nasz, dochodzący już, o ile wiemy, do Wilna, spotyka konkurencyą ze strony węgla angielskiego, wprowadzanego do państwa przez porty morza Bałtyckiego,—wreszcie ten sam węgiel angielski, importowany przez Odesę, walczy o lepsze z produktem Królestwa Polskiego w guberniach południowo-zachodnich. W tym stanie rzeczy zorientowanie się w położeniu, poznanie dokładne produktu naszego na podstawie analizy naukowej w zestawieniu z wymaganiami praktycznymi, stanowi kwestyą pierwszorzędną wagi nie tylko dla producentów węgla i przemysłowców fabrycznych, lecz nadto dla kraju całego, w którego r \acute{e} dzie bogactw przyrodzonych węgiel kamienny zajmuje jedno z miejsc wydatniejszych. Powiedzmy nawiasem, że na podstawie najświeższych badań krytycznych, produkcya węgla w kraju naszym dosięgła w roku 1884-ym cyfry 108,591,817 pudów. Celem zbadania kwestyi wszechstronnie i wyczerpująco, Sekcja postanowiła zaprosić do delegacyi, której trud przeprowadzenia ankiety ma być powierzonym, przedstawicieli górnictwa, przemysłu fabrycznego, dróg żelaznych i specjalistów chemików. Rezultat prac delegacyi ma być przedstawiony w oddzielnej burzurze.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

Nakładem „Biblioteki Kórnickiej“ wyszło w Krakowie dzieło pod tyt.: „Dodatki do bibliografii piśmiennictwa polskiego z działu matematyki i fizyki oraz ich zastosowań, wydanej w r. 1873 nakładem Biblioteki kórnickiej.“ Zebrał i wydał dr. Teofil Żebrawski, czł. Akad. krakowskiéj. Krak. 1886, str. 155. W końcu czytamy dokładny spis autorów, tłumaczy, wydawców, drukarzy, rysowników, rytowników, osób, którym pismo dedykowano, oraz początkowe wyrazy tytułów pism bezimiennych i wyrazy dawne mniej znane. Od czasu wydania bibliografii matematyczno-fizycznej w 400 rocznicę urodzin Kopernika otworzyły się dwa wielkie źródła do jej uzupełnienia, mianowicie: 1) napływające ze wszech stron dary do biblioteki Akademii, otworzonej niedawno; 2) połączone biblioteki ks. Czartoryskich (Sieniawskiej i paryżkiej) w Krakowie. Oprócz tego opisała także i recenzja dzieła Żebrawskiego z r. 1873, napisana przez Cypryana Walewskiego (Biblioteka Warszawska, 1873, t. 2-gi, str. 587—596) wiele książek, pominiętych w pierwszej pracy, które w niniejszych dodatkach powtórzyć należało. W ten sposób zinwentaryzowano dykładnie cały materyał bibliograficzny dla badaczy dziejów nauk matematyczno-fizycznych w Polsce, poczynając od wieku XIII-go.

Nakładem księgarni Teodora Paprockiego wyszło w polskiem tłumaczeniu ważne nader dzieło angielskie prof. z Edynburga Alfreda Daniella pod tyt.: „Podręcznik zasad fizyki.“ Przetłóżył z angielskiego J. J. Boguski. Warsz. 1887, 8-o m. XXXII, str. 872. Wartość naukowa dzieła równie co do zbadanych szczegółów jak i co do samego wykładu jest powszechnie uznana, o czém znajdujemy dokładne wiadomości w przedmowie tłumacza (str. XI—XVI), tak że przyswojenie téj pracy piśmiennictwu naszemu, z widoczną starannością i znajomością rzeczy dokonane, uważamy za prawdziwe z bogacenie naszej literatury, ubogiej jeszcze w dziedzinie nauk ścisłych.

W drukarni J. Bergera w Warszawie wyszedł 4-ty tom „Kodeksu dyplomatycznego Polski,“ obejmujący rzeczy szląskie, zebrane

przez ś. p. Michała Bonieckiego, († we wsi Tomczycach d. 3-go września 1877 r.), wydane nakładem pozostałej rodziny Bonieckich przez dr. Mikołaja Bobowskiego p. tyt. „Codex diplomaticus Poloniae, quo continentur privilegia Regum Poloniae, Magnor. Ducum Lithuaniae, bullae pontificum nec non privilegia ducum Silesiae et iura a privatis data, illustrandis domesticis rebus gestis inservitura. Tomus quartus, Res Silesiacae a Michaele Boniecki olim congestae, sumptibus ejus successorum edidit.” Nicol. Bobowski dr. phil. Vars. 1887 fol. XIII i 237. Indeksu str. XI. Historyczne Towarzystwo szląckie, mające swoje ognisko we Wrocławiu, położyło niezaprzeczenie wielkie zasługi na polu badań historycznych przez ogłoszenie drukiem nie tylko kronikarzy szląckich („Scriptores rerum Silesiacorum ed. Sommersberga, Stenzel i. i.) ale i dyplomatów („Codex diplomaticus Silesiae,“ „Regesten zur schlesischen Geschichte“ Gruenhagena i. i.). Obfity ów materiał źródłowy zbogaca jeszcze znakomicie skarbiec dyplomatów (około 140) zebrany przez ś. p. Michała Bonieckiego z Archiwum głównego w Warszawie, z „Wzorów pism dawnych“ Stronczyńskiego i „Aktów Tomickiego,“ pominiętych przez badaczy szląckich. Wydanie jest bardzo staranne i umiejętne, świadczące bardzo korzystnie o intencjach naukowych i obywatelskich rodziny ś. p. Michała Bonieckiego. Na karcie pierwszej objaśnia uczony wydawca w języku łacińskim metodę, którą się przy tej pracy rzucił, a w obszerniejszej przedmowie daje ściśle naukowy, chociaż nader treściwy rzut oka na historią Szlązka i na stosunek dziejów tej dzielnicy Piastowskiej do historii polskiej. Dokładny indeks powiększa użytek z książki przy badaniach szczegółowych, dla których posiada wartość znakomitą. Rozbiór szczegółowy dokumentów tu zebranych rzuciłby nie jeden promień światła na dzieje kultury polskiej od r. 1290—1562.

W Paryżu ukazały się „Pamiętniki ks. Adama Czartoryskiego,“ które nie tylko wśród naszego społeczeństwa obudzają żywe zajęcie jako jedno z ważniejszych świadectw historycznych rozwoju najnowszych dziejów Europy. Dzienniki paryżskie drukują obszernie wyjątki z tego dzieła.

W Krakowie wyszedł tom czwarty wydania zbiorowego „Dzieł ś. p. Józefa Szujskiego,“ zawierający dramata oryginalne; w następującym będą same tłumaczone. Czytamy w t. 4-ym następujące utwory: „Ossoliński,“ którego dwie części napisał Szujski w odstępie dziesięciu lat czasu, ogłoszony razem z fragmentem nieznanym dotychczas, odnalezionym w papierach Szujskiego. Część pierwsza: „Dwór królewicza Władysława,“ część druga: „Śmierć Władysława IV-go.“ Plan trzeciej części jest w kilku scenach tylko zanotowany: „Śmierć Ossolińskiego.“ Sceny te należą do pierwszego aktu. „Kopernik,“ „Długosz,“ „Radziejowski,“ (tylko fragment) „Jerzy Lubomirski,“ „Z upadku i śmierci Jana III,“ scena tylko jedna. Ostatnim fragmentem jest „Książka.“ Szujski w przedmowie do dramatów swoich jeszcze z r. 1867

określa swoje stanowisko do współczesnego dramatu polskiego słowami, wskazującymi jako cel działalności swojej na tém polu: „Szukanie drogi ku dramatowi, torowanie drogi nowemu stylowi w poezyi.“

Dr. Tadeusz Rutowski, kierownik oddziału statystyki przemysłu i handlu w biurze statystyczném Wydz. krajowego we Lwowie, ogłosił nader cenną publikacją p. t. „Rocznik statystyki Galicyi za rok 1886“ (zeszyt I), z którego podajemy najważniejsze dane.

Obszar Galicyi wynosi 78,497 kilóm. kw. (1,416½ mil kw.), t. j. 26% całego obszaru Przedlitawii. Ludność z końcem 1885 r. wynosiła 6,253,311 osób, t. j. 27% całej ludności Przedlitawii. Na jeden kilometr przypada więc 76 mieszkańców, na jedną gminę 918, na jeden obszar dworski 50 mieszkańców. Ostatnie obliczenie ludności w Austrii 31-go grudnia 1880 roku, wykazywało w Galicyi tylko 5,958,907 osób, z tego katolików obrząd. łac. 2,714,978 czyli 45,5%, gr.-katol. 2,510,408 czyli 42%, żydów 686,596 czyli 11,5%, ewangelików 40,190 czyli 0,7%.

Najwyższy stan oświaty wykazuje Kraków (58% umiejących czytać i pisać), potem Lwów (53% takich); wreszcie kraju z małemi wyjątkami ilość „uczonych“ spada niżej 25%, a w górskich powiatach niżej 5% ogólnej liczby ludności.

Od roku 1880, w którym wykazano 2,853 publicznych szkół ludowych niższych, do roku 1885/6, w którym szkół tych było już 3,302, był roczny ich przybytek w następującym postępie: 7, 22, 57, 59, 144, 160. Według języka wykładowego było z końcem ubiegłego roku szkolnego 1,734 szkół rusińskich, a tylko 1,433 polskich, niemieckich 36, polsko-rusińskich 93, polsko-niemieckich 5, rusińsko-niemiecka 1. Szkoły te służą 3,855 gminom, a uczęszcza do nich 414,000 dzieci. Nie posiada dotąd szkół 2,376 gmin z 1,349,692 mieszkańcami.

W samym Lwowie jest obecnie 25 szkół ludowych, niższych i wydziałowych; z tego 14 męzkich, 11 żeńskich. Nadto istnieją 4 szkoły ludowe prywatne, 4 wyznaniowe dla chłopców i 14 wyznaniowych dla dziewcząt, w których uczy 91 nauczycieli, 159 nauczycielek, 24 nauczycieli religii i 12 nauczycielek robót kobiecych i innych przedmiotów nadobowiązkowych. Ze 12,607 dzieci obowiązanych do nauki codziennéj i z 3,159 dzieci, obowiązanych do nauki dopełniającej, uczęszczało 7,380 dzieci na naukę codzienną, 232 dzieci na naukę dopełniającą; 2,836 dzieci, do szkół prywatnych, 1,583 dzieci w wieku szkolnym do zakładów wyższych i fachowych, 34 dzieci jest fizycznie lub umysłowo ułomnych, niepobierających nauki wcale, tak, iż 3,701 dzieci stolicy (2,039 chłopców i 1,662 dziewcząt) nie pobiera żadnej nauki. W roku 1885/6 było rusinów między uczącymi się publicznie w szkołach ludowych 650 (!), polaków 3,003, a żydów 2,191 (!). Szkoły ludowe w Galicyi kosztują rocznie tylko 1,696,998 złr.

Szkół średnich posiada Galicya 33; w téj liczbie 27 gimna-

zyów, 6 szkół realnych. Jedno gimnazyum przypada więc na 3,000 kilm. kw. i na 220,000 mieszkańców, a jedna szkoła realna na 13,000 kilm. kw. i prawie na 1,000,000 mieszkańców. Gimnazya liczą około 12,000, szkoły realne niespełna 1,000 uczniów. Z tych było w 1884 roku 7,180 (63%) polaków; 1,939 (17% tylko) rusinów; a 2,141 (aż 18%) żydów. Od roku 1875 do 1884 przyrost żydów w gimnazyach jest 81%. Chederów urzędownie znanych i uznanych wykazano 1,000 przeszło.

Szkoły specjalne są następujące (w 1884 r.): 9 seminaryów nauczycielskich z 149 nauczycielami a 1,155 uczniami; 13 szkół gospodarczych, rolniczych i leśnych z 86 nauczycielami i 317 uczniami; Akademia Sztuk Pięknych w Krakowie z 12 nauczycielami, 105 uczniami; szkół przemysłowych 47 z 236 nauczycielami a 4,666 uczniami; 7 szkół muzycznych z 31 nauczycielami a 662 uczniami; szkoła weterynaryi i kucia koni z 9 nauczycielami a 64 słuchaczami, i 41 innych specjalnych szkół z 482 nauczycielami i 2,748 uczniami.

Uniwersytety są dwa: krakowski, zupełny, z 4-ma wydziałami: prawnym, filozoficznym, medycznym i teologicznym, i we Lwowie z 3-ma wydziałami (bez medycznego). Wszechnica Jagiellońska liczyła w 1885/6 roku 109 nauczycieli, a między tymi 57 profesorów zwyczajnych i nadzwyczajnych, a w półroczu zimowym 1,066 słuchaczy. Kosztowała w tym roku 367,670 złr. Wszechnica lwowska miała w tymże roku 61 nauczycieli, między tymi 35 profesorów zwyczajnych i nadzwyczajnych; w półroczu zimowym 1,030 słuchaczy; kosztowała 177,200 złr. W Krakowie najliczniejszy jest wydział medyczny (400), we Lwowie prawa (500 — 600 słuchaczy). Szkoła politechniczna we Lwowie z 4-ma wydziałami: inżynierii, budownictwa, mechaniki i technologii chemicznej, liczyła w ubiegłym roku szkolnym 42 nauczycieli (15 profesorów), słuchaczy około 200. Budżet zakładu wynosił 96,250 złr. 65% słuchaczy poświęca się inżynierii, 7% (najmniej) mechanice.

Cyfry ogólnej liczby szkół realnych i słuchaczy akademii techn., wreszcie najmniejsza ilość słuchaczy mechaniki, charakteryzują zbyt wymownie Galicyą jako kraj w przemysł ubogi. Na uniwersytecie lwowskim jest 64,6% polaków, 35,0% rusinów, 0,1% Niemców (żydów); w Krakowie 97,3% polaków; 2,0% rusinów; 0,5% Niemców (żydów). W szkole politechnicznej jest 95,9% polaków; 2,9% rusinów, a 0,6% żydów. Na innych uniwersytetach Austrii jest około 600 słuchaczy z Galicyi; w akademiach technicznych 180; w Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu 13; w Akademii Handlowej 23.

Stosunki dziennikarskie i prasowe są w Galicyi następujące:

W r. 1884 polskich pism wychodziło w całym kraju 104; rusińskich 21; niemieckich (żydowskich) 2; hebrajskich 12. Suma egzemplarzy wynosiła 5,922,000 czyli po numerze na głowę rocznie. W r. 1885 wydrukowano czasopism polskich 4,645,944 egzemplarzy (85%); rusińskich 573,000 (10,6%), niemieckich 22,690 (0,39%), hebrajskich 495,954 (8,32%).

Według zajęć licząc, wynosi ludność rolnicza 4,419,636 czyli 74^o/_o; przemysłowców 456,502 (7,7^o/_o), kupców 216,864 (3,6^o/_o), urzędników (wszelakich) 192,814 (3^o/_o), właścicieli domów i kapitalistów 99,302 (1,7^o/_o), robotników i zarobników (wszelkiej kategorii pracy zależnej) 495,954 (8,32^o/_o).

Z ogólnego obszaru 7,849,699 hektarów gruntów, przypada na własność państwa 3^o/_o, na ordynacye 0,43, na wielką własność ziemską 37,45^o/_o, na własność gmin 4,76^o/_o, na drobną własność ziemską 54,36^o/_o.

Na podstawie szacunku kadastralnego, czysta wartość gruntów w Galicyi wynosi 490,402,813 złr., a budynków 315,234,805 złr., z czego na własność wiejską przypada 642,621,898 złr., a miejską 162,015,720 złr. Od r. 1857, odkąd włościanom przyznano wolność dzielenia gruntów, do r. 1883 zwiększyła się liczba samoistnych gospodarzy gruntowych z 584,675 na 1,569,844, ale za to, gdy dawniej przypadało na jedną posiadłość przeciętnie 13,4 hekt., teraz na jedną rodzinę włościańską wypada 3,9 hekt. Czysty dochód gruntowy oszacowany był w r. 1857 na 29 złr. 59 cent., zaś w r. 1883 tylko na 15 złr. 60 cent. Od roku 1868 do r. 1884 zaszło 4,561 zmian w stanie posiadania własności tabularnej (większej). Najwięcej między r. 1880—1884, mianowicie po 317 rocznie. Najwięcej majątków (398) sprzedano w r. 1875, a największą przestrzeń w r. 1873 (po krachu) za 29 milionów. W posiadłości miejskiej w roku 1868 zaszło 814 zmian w posiadaniu. Od r. 1876 sprzedaże domów podnoszą się, a r. 1884 dochodzą cyfry 1,109 za kwotę 10,312,000 złr. Rezultat tych zmian jest mniej więcej taki, że gdy w roku 1872 było w Galicyi 370 miasteczek, wsi i przysiołków w rękach żydowskich (154 właścicieli lub wspólników), w obszarze około 275,000 morgów (mniej więcej 4^o/_o całego obszaru większej posiadłości), to w roku 1886, miast, miasteczek, wsi i przysiołków jest 716 w ręku 413 żydów, w obszarze przeszło 5,000,000 t. j. 8^o/_o większej posiadłości. Nie znaleźliśmy nigdzie danych, któreby wskazywały, w jakim stosunku mniejsza posiadłość przechodzi w ręce żydowskie. Dla przykładu podam fakt zaczerpnięty z urzędowych źródeł, że między r. 1875 a 1879 żydzi wystawili na licytacye 4,443 gospodarstw wiejskich.

Towarzystwo przyjaciół nauk w Poznaniu rozpoczęło wydawać, niezależnie od zapowiadanych „Roczników,” osobne czasopismo kwartalne z dziedziny archeologii. Pierwszy zeszyt 1887-go roku wyszedł właśnie z druku pod tyt. „Zapiski archeologiczne poznańskie, wydawane przez komisją archeologiczną Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego pod redakcją Wł. Jażdżewskiego i dr. B. Erzepkiego. Poznań, 1887, fol. str. 20, tabl. V. Poszyt pierwszy wydany ozdobnie pod względem typograficznym, z rycinami przedmiotów archeologicznych i planami, zawiera 5 artykułów ważnej naukowej treści, opierających się na wykopaliskach, dokonanych w ostatnich czasach na prze-

strzeni W. Ks. Poznańskiego, mianowicie: 1) Ignacy Zakrzewski: O grodach wielkopolskich; 2) dr. B. Erzepki: Wykopalisko Granowskie; 3) dr. Koehler: Kilka uwag nad wykopaliskiem z Czacza (powiat kościański); 4) Wł. Jażdżewski: Kluczewo (powiat szamotulski); 5) tenże: Szeląg pod Poznaniem.

Wydawanych nakładem i drukiem S. Lewentala „Dziejów literatury powszechniej z ilustracyami“ wyszedł t. II-gi, zawierający „Dzieje literatury średniowiecznej.“ Tom ten, składający się z 2-ch części, obejmuje 74 arkusze druku (str. 1,177) i zawiera studia następujące. W ks. I-jej czytamy studjum p. Ignacego Radlińskiego, zawierające rzut oka na „Początki nowej ery.“ W ks. II-jej znajdziemy gruntowną pracę p. Edwarda Grabowskiego: „Literatura kościelno-chrześcijańska i germańsko-pogańska do wojen krzyżowych,“ gdzie krytyka znajdzie wiele kwestyi spornych. Następujące trzy księgi wypełnił p. J. A. Świącicki szacownemi nader studjami, opartemi nie tylko na najlepszych i najkrytyczniejszych dziełach specjalistów naukowych, ale i na własnych pracach samodzielnych: ks. III-cia zawiera literaturę arabską, IV-ta literaturę perską, V-ta literaturę japońską. Prócz niektórych najlepszych przekładów obcych, czytamy tu wiele bardzo ustępów w nadobnym oryginalnym przekładzie samego autora. Ks. V-ta obejmuje „Literaturę świata rycerskiego,“ ks. VII-ma „Czasy przewagi mieszczniańskiej,“ przez Edwarda Grabowskiego; wreszcie ks. VIII-ma „Literatury słowiańskie“ przez Bronisława Grabowskiego. Literaturze polskiej poświęcone będzie dzieło osobne. Z powołanej co tylko treści tego tomu „Dziejów literatury powszechniej“ widzimy, że dzieło to otwiera w literaturze naszej zupełnie nowy widnokrąg, który tylko przez szkła obce nie wyraźnie dotąd widzieć mogliśmy. Krytyk specjalista znalazłby zapewne wiele kwestyi spornych lub jednostronnie przedstawionych (ks. I); ale w każdym razie uważamy dzieło to za bardzo pożądany, nowy zupełnie nabytek literatury naszej.

P. Władysław Habdank Korzybski wydał pracę swoją, odznaczoną r. 1885-go na konkursie „Gazety rolniczej“ w osobnej książce pod tyt.: „Melioracye rolne.“ Warsz. 1887, 8^o m. XVI+183. Dzieło pomienione znalazło już szczegółowe sprawozdanie w książce wydanej przez „Gazetę rolną“ p. tyt. „Jak prowadzić gospodarstwo?“ (str. 271 sq.). W 6-ciu rozdziałach swęj książki rozbiera autor kwestye jaknajdonioślejszego znaczenia, mianowicie: 1) W jaki sposób rośliny czerpią potrzebne im pokarmy z roli i powietrza; 2) O fizycznych własnościach gruntów ornych i od czego zależy większa lub mniejsza ich urodzajność; 3) O osuszeniu gruntów za pomocą prawidłowej uprawy mechanicznej; 4) O wykonaniu robót melioracyjnych; 5) Jak należy uprawiać i obchodzić się z rolą; 6) W jaki sposób należy prowadzić gospodarstwa rolne, aby podnieść czysty z nich dochód. Nie możemy przy

wzmiance bibliograficznej zapuszczać się w rozbiór ciekawych nader szczegółów; ale, rozpatrzywszy całość, godzimy się chętnie na zdanie prof. dr. Blomajera, rektora Akad. roln. w Lipsku, że autor opracował zakres olbrzymi (ungeheuer, a nie jak mylnie wydrukowano str. IV-a „ungecheier“) i że w rozprawie jego widzimy wiedzę nader poważną. Rozbiór szczegółowy wskazać powinien dodatnie i ujemne strony w każdym razie samodzielnych poszukiwań.

Redakcja „Hodowcy“ wydała I-szy zeszyt zapowiadanej „Encyklopedyi rolniczej“ (str. 209), kończący się na rozpoczętym artykule „Cegielnia.“ Znanie w literaturze rolniczej nazwiska pp. A. Strzeleckiego i H. Kottubaja, polecają korzystnie rozpoczęte wydawnictwo, które różni się przez to od znaniej wielkiej „Encyklopedyi rolniczej“, że jest raczej słownikowem, leksykalném, objaśniającém dane wyrazy, a mniej zapuszcza się w szczegółowy wyrozumowany rozbiór danych przedmiotów. Widać także zbyteczny pośpiech, który tłumaczyć tylko może takie omyłki jak np. m o n s a c r a zamiast mons sacer (s. verb. agrarne prawo). Kładzenie często przymiotnika przed rzeczownikiem na wzór języka ruskiego utrudnia niekiedy zrozumienie rzeczy. Dokładniejszą opinią można będzie wypowiedzieć dopiero po wyjściu następnych zeszytów.

N e k r o l o g i a .

— † Dnia 17-go maja 1887-go roku zmarł we Włocławku po długich cierpieniach ks. **Zenon Chodyński**, prałat katedry włocławskiej, świątobliwy i wzorowy kapłan, zacny człowiek i uczony pisarz. Ks. Zenon urodził się w Kaliszu d. 4-go listopada 1836-go r., zkąd po ukończeniu szkół udał się do Włocławka i wstąpił do seminarjum w r. 1855-ym, następnie do akademii w Warszawie, gdzie w 1863-im roku stopień kandydata św. teologii otrzymał i jako wikaryusz w Sieradzu zaczął pracować, zkąd niebawem powołano go na nauczyciela seminarjum duchownego w Włocławku. Ordynowany kanonikiem r. 1872-go, następnie prałatem w r. 1884-ym, pełnił w końcu z wielkim pożytkiem obowiązki dyrektora seminarjum w Włocławku. Był współpracownikiem „Encyklopedyi kościelnej“ oraz „Przeglądu katolickiego“, nadto wydał z archiwów kapituły włocławskiej akta synodu gnieźnieńskiego, w r. 1583-im odbytego za Stanisława Karnkowskiego. Zebrał ustawy drugiego synodu za Uchańskiego, dotąd nieznanne, i wydał w Warszawie r. 1872-go p. t. „Synodus archidiocesis gnesnensis, praesidente Stanislao Karnkowski, archiepiscopo gnesnensi et primato regni Poloniae, Lovitii anno D-ni 1583 celebrata, nec non articuli alterius Synodi i t. d.“ Przy współpracownictwie ks. biskupa Likowskiego i brata Stanisława zajmował się wydawnictwem bardzo ważnych dla dziejów i prawa naszego kościoła uchwał synodalnych polskich: „Decretales Summorum Pontificum pro regno Poloniae et constitutiones synodorum provincialium“ i t. d. Tom I in quarto ukazał się w Poznaniu 1869-go roku. Cześć pamięci wzorowego kapłana i obywatela!

OGŁOSZENIA.

OD REDAKCYI „BIBLIOTEKI WARSZAWSKIÉJ.”

Przy kończącym się półroczu I-szém, przypominamy Szanownym Prenumeratorom „Biblioteki” potrzebę odnowienia prenumeraty na II-gie półrocze r. b.

ENCYKLOPEDIA WYCHOWAWCZA.

Pod redakcją J. T. Lubomirskiego, E. Stawiskiego, S. Przysańskiego i J. K. Plebańskiego, wychodzi w zeszytach 5-arkuszowych. Prenumerata wynosi kop. 40, z przesyłką kop. 50 za zeszyt. Można także wnosić przedpłatę po rs. 3 kop. 20 za tom, złożony z ośmiu zeszytów z przesyłką rs. 4.

Skład główny i ekspedycja „Encyklopedyi Wychowawczej” znajduje się w Warszawie w księgarni Gebethnera i Wolffa, Krakowskie-Przedmieście, Nr. 415.

„KRAJ.”

Nr. 20-ty z dnia 14 (26) maja 1887 r. zawiera treść następującą: **I. Dział polityczny:** Artykuł wstępny: Komentarz do artykułu 38-go ustawy czynszowej. — List otwarty do redaktora Kraju. — Korespondencye Kraju: z Tyłży, p. Szernasa. — Z sądów. Sprawy bieżące: „Polen-Debatte.” — Pogrzeb Mikołaja Zyblikiewicza. — Dział polityczny. — Z politycznego świata. — Tydzień polityczny. — Ostatnie telegramy. — Z tygodnia. — Słowo wstępne. — Ziemie i kolonie słowiańskie. — Dział urzędowy. — Wiadomości bieżące. — Kronika petersburska. — Z Warszawy. — Z prowincyi. — Kronika powszechna. — Doniesienia. **Dział ekonomiczny:** Przyszłe widoki przemysłu górniczego. — Sprawozdania giełdowe i rynki towarowe. — Tydzień ekonomiczny (rolnictwo, gorzelnictwo i piwowarstwo; przemysł i handel; komunikacye; finansowość). — Ogłoszenia.

II. *Dział literacki*: Adam Asnyk (El...y) Sylwetka krakowska, p. Jana Zdoreg.—Polka z XVIII-go wieku, „Histoire d'une grande dame au XVIII-me siècle, la princesse Helène de Ligne,” p. P.—Towarzystwo czytelników ludowych w Poznaniu, p. Stanisława Bełzę.—Listy o literaturach słowiańskich XVII. Konkursowe nowelle i poezye chorwackie p. Bronisława Grabowskiego.—Dusza w powłoce powietrznej, fantazyja naukowa Kamila Flammariona.—O Windhorście. Sprawozdania literackie: Wentworth-Zubieński Tomasz „Henryk Zubieński i jego bracia,” p. Mich. Trzaskę.—Kronika naukowa, literacka i artystyczna.—Nowe książki otrzymane w redakcyi Kraju.—Treść pism.—Bibliografia. *Odcinek*: „Bracia Lerche,” komedya w trzech aktach Adama Asnyka.

„PRZEGLĄD KATOLICKI.”

Nr. 21-y z dnia 26-go maja 1887 r. zawiera następujące artykuły: Ś. p. ksiądz Zenon Chodyński.—Kardynał Franzelin.—*Notatki z prasy peryodycznej*: Wilcze ubolewania.—Propaganda niewiary.—Ś. p. Gabryela z Wańkowiczów Horwattowa.—Fałszywa wiadomość.—*Kronika kościelna krajowa*: Korespondencyja z dekanatu Olkuskiego.—Ś. p. ks. Rafał Jaszkiwicz.—Ś. p. ks. Józef Dynakowski.—*Kronika kościelna zagraniczna*: Anglija. Propaganda protestancka.—*Bibliografia*: Commentarius in Epistolam B. Pauli Apostoli ad Romanos, przez F. A. Symona.—Ogłoszenia.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca J. K. Plebański.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

z roku 1887.

stron.

† Ś. p. J. I. Kraszewski (ur. 26 lipca 1812 roku † 19-go marca 1887 r.).	I.
---	----

Historya.

„Recepta na to, abyśmy się długo w oyczystej ziemi osiedzie- li. A. 1682.“ (Dokument historyczny do dziejów polskich w wie- ku XVII-ym). Do druku podał J. K. Plebański.	1
O działaniach wojska koronnego Rzeczypospolitej polskiej w wojnie z Kozakami. (Okres od dnia 19-go lutego do 10-go lipca 1651 roku. Bitwa pod Beresteczkiem, z 3-ma mapami). Przez Konstantogo Górskiego.	215

Archeologia.

Ruś Czerwona. Pogląd na jej zabytki przedhistoryczne i po- mniki sztuki. Przez A. Czolowskiego.	23
Wystawa starożytności i obrazów, urządzona w salonach ho- teli Europejskiego w Warszawie, w marcu i kwietniu 1887 roku. (Na dochód Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności). Opisał W. Gerson.	255

Sprawy społeczne.

Z dziejów dobroczynności publicznej Warszawy 1870—1885 r. (C. d.). Skreślił W. A. Sułkowski.	39
---	----

Biografia.

- Ś. p. Aleksander hr. Przędziecki. (Ur. d. 29 lipca 1814 r. † d. 26 grudnia 1871 r.). Przez Karola Łepkowskiego. 167, 387
 Ś. p. Mikołaj dr. Zyblikiewicz. (Ur. 1823 r. † 16-go maja 1887 r.). Wspomnienie pośmiertne. 454

Powieść.

- Na szerokim świecie. (C. d.). Napisał Sewer. 59, 235, 435
 Chata nad rzeką. Sielanka. Przez Romana Zawilińskiego. 80

Historia literatury i krytyka.

- Z dziejów teatru hiszpańskiego. Studium literackie. Przez Juliana Adolfa Święcickiego. 192, 404
 Z literatury nadobnej. I. 1) Deotyma: Polska w pieśni. Wanda. Warsz. 1887, str. 286. 2) J. Gądomski: Larik. Tragedya z motywów dziejowych. Warsz. 1886. 3) J. Łabuński: Agrypina, Neron, dramat historyczny w 5-iu aktach z prologiem. Warsz. 1886. 4) Zenobiusz Drakuli (pseudonym): Domna Rozanda. Dramat historyczny w 5-iu aktach. Kraków 1886. Przez St. M. Rzętkowskiego. 91

Podróże.

- Wrażenia z wycieczki na wschód. Listy do p. Alicji ze Spasowiczów Hasfortowej. II. U Złotego Rogu.—Z pokładu do hotelu.—Nasza niańka.—Na ulicy i na moście sułtanki Walidy.—Mężczyźni, kobiety i dzieci.—Nasze towarzystwo przy obiedzie. Zebrał Józef Rogosz. 343

Hygiena.

- Choroby naszego wieku. Opisał Władysław dr. Chodecki. 369

*Kronika zagraniczna.***KRONIKA PARYZKA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.**

Uroczystość w Akademii francuzkiej.—Mowa nowego członka Leconte de Lisle o Wiktorze Hugo. — Odpowiedź Aleksandra Dumasa.—Przyjęcie Fryderyka Mistrala przez Akademią marsylską.—Zmar-

ły poeta Teodor Aubanel.—Napoleon I, studjum historyczne p. Tai-
ne'a.—Życie i utwory Gustawa Doré przez amerykańkę pannę Boos-
welt.—Listy Rossiniego. 260

Przegląd i krytyka piśmiennictwa krajowego i zagranicznego.

Towarzystwo kredytowe ziemskie w Królestwie Polskiem
i Kredyt rolny. Napisał J. Kirszrot-Prawnicki. Warsz. 1887.
Nakładem S. Lewentala. Str. 340. Przez J. K. Plebańskiego. . . 102

Frederic Seebom, Die englische Dorfgemeinde in ihren Be-
ziehungen zur Gutsberrlichkeit, zu der ursprünglichen Stammesverfas-
sung, zur Flureintheilung und Feldgemeinschaft. Ein Beitrag zur
Volkswirtschaft. Nach der 3-ten Auflage aus dem Englischen
uebertragen von Theodor Bunsen, Mit 14 Taf. Heidelberg 1885.
(str. XII, 320, 8-a m.). 117

„Zasady psychologii,“ podręcznik p. Clark Murray'a, profes.
filozofii w Montreal—przełożyli z upoważnienia autora Henryk Wer-
nic i J. W. Dawid. Warszawa, 1887 r., t. I, str. 450. Przez J. K.
Dworzaczka. 293

„Stefan Batory. Przegląd historii jego panowania i program
dalszych nad nią badań. Z powodu 300-letniej rocznicy śmierci
króla Stefana.“ Napisał Wincenty Zakrzewski. Wydanie poprawne
i uzupełnione dodatkami. W Krakowie, nakł. G. Gebethnera i Sp.,
1887, str. IV, 160. Przez J. K. Plebańskiego. 299

„Altpolnische Sprachdenkmäler. Systematische Uebersicht
Würdigung und Texte. Ein Beitrag zur slavischen Philologie von
prof. dr. Nehring. Berlin, Weidmanusche Buchhandlung. 1887.
Przez Romana Zuwiłłńskiego. 454

Logika przez Ludwika Liarda, rektora akademii w Caen. War-
szawa. Nakładem redakcyi „Prawdy,“ 1886 r., str. 224 in 8-vo.
Przez J. K. Dworzaczka. 469

W. Stanley Jevons. Logika, objaśniona figurami i pytaniami.
Przełożył z najnowszego wydania angielskiego Henryk Wernic. War-
szawa, nakładem księgarni Teodora Paprockiego i S-ki, 1886 r., str.
158 in 8-vo. Przez J. K. Dworzaczka. 474

Kronika miesięczna.

Kwiecień. — Rzut oka na stosunki polityczne w Europie. —
Pokój zbrojny: goniłwa za równowagą sił militarnych i politycz-
nych. — Ruch umysłowy: I. Odczyty w sali ratuszowej na dochód
Osad rolnych: a) K. dr. Zagórski: „Okno i malarstwo;“ b) Winc. Ra-
packi: „Trzy doby naszej sceny;“ c) Jul. Adolf Świącicki: „O teatrze

hiszpańskim;" *d*) Kucharzewski: „Słynni garnarze.“ — II. Odczyty w sali Muzeum rolnictwa i przemysłu na dochód kasy imienia Mianowskiego (dok. seryi 1-szej): *a*) P. Dziewulski: „O ciepłe i świetle elektrycznym;" *b*) Stanisław Kramsztyk: „Magnetyzm, elektromagnetyzm i telegrafia;" *c*) J. dr. Jędrzejewicz: „Elektryczność atmosferyczna;" *d*) P. Dziewulski: „O indukcji i elektromotorach;" *e*) H. dr. Dobrzycki: „Elektryczność zwierzęca.“ — Pomyślny rozwój Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskiem.—Wystawa zabytków starożytności i sztuki w hotelu europejskim na dochód Towarzystwa dobroczynności. — Ruch na polu naukowym: *a*) Konkurs uniwersytetu warszawskiego o medal na temat z filologii słowiańskiej: „Szkoła ukraińska w poezji polskiej XIX wieku;" *b*) Czynności Akademii w Krakowie: 1) Posiedzenie nadzwyczajne komisji historii sztuki dnia 10 lutego; 2) Komisji archeologicznej d. 24 lutego; 3) Komisji fizyograficznej d. 25 lutego; 4) Komisji historii sztuki d. 3 marca. — Z ruchu muzycznego. — Z ekonomiki: W sprawie handlu cukrem; Ogólne zebranie członków warszawskiego oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu; Kwestya udziału żydów w cechach; Towarzystwo chrześcijańskie pomocy wzajemnej subjektów handlowych i przemysłowych.

124

Maj.—Rzut oka na stosunki ogólnoeuropejskie. — Pogrzb ś. p. Józefa Ignacego Kraszewskiego w Krakowie dnia 18-go kwietnia r. b. — Lustracya Towarzystw polskich w W. Ks. Poznańskim: Towarzystwo pomocy naukowej imienia Marcinkowskiego; Sprawozdanie Banku włościańskiego za rok 1886; Tow. Kółek rolniczych; Towarzystwa centralnego rolniczego.—Sprawozdania Macierzy szkolnej dla księstwa Cieszyńskiego. — Wniosek prof. M. Bobrzyńskiego co do uporządkowania akt grodzkich, znajdujących się w Krakowie. — Posiedzenie wydziału filologicznego Akademii umiej. w Krakowie dnia 1-go marca; komisji antropologicznej dnia 11-go marca. — Prelekoye z nauk przyrodzonych w „Muzeum rolnictwa“ na dochód kasy imienia Mianowskiego: Ciemniwski: „O meteorologii;" Siemiradzki: „O wulkanizmie.“ — Z ekonomiki: Cła zbożowe; wybory w Towarzystwie popierania przemysłu i handlu; kwestya markowania wyrobów rzemieślniczych; monopol tabaczny; podwyższenie opłaty paszportowej

308

Czerwiec. — Rzut oka na stosunki ogólnoeuropejskie. — Nowy środek germanizacyi W-go Ks. Poznańskiego i Prus Zachodnich przez zwiększenie liczby naczelników powiatowych. — Testament ś. p. J. I. Kraszewskiego. — Ruch na polu życia umysłowego i artystycznego: Sprawozdanie z prelekcyi z nauk przyrodzonych na dochód kasy imienia Mianowskiego (ciąg dalszy), mianych w Muzeum, prel. pp. Znatowicza, Bujwida.—Akademia umiętności: Posiedzenie komisji historii sztuki 21-go kwietnia i 6-go maja 1887 r.;—dorożne walne posiedzenie Akademii umiętności dnia 21-go maja.—Towarzystwo biblioteki polskiej w Wiedniu. — Zapowiadziany zjazd

prawników w Krakowie dnia 9 i 10 września 1887 r.—Konkurs imienia F. Kochmana.—Projekt ś. p. Tadeusza Roszkowskiego „Nagrody Cnoty.“—Konkurs Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskiem z dziedziny malarstwa, architektury i rzeźby, oraz konkurs sztuki ornamentacyjnej i reprodukcyjnej.—Z ekonomiki: Bank włościański i jego filie w Królestwie Polskiem.—Ogólne zebranie Banku dyskontowego dnia 30 kwietnia; —Ogólne zebranie warszawskiego Towarzystwa ubezpieczeń od ognia dnia 3-go maja; —Ogólne zebranie Towarzystwa oczyszczania i sprzedaży spirytusu dnia 14-go maja;—Groźba pruska, zapowiadająca nowe cło na nasze zboże;—Z Towarzystwa popierania przemysłu i handlu: słabnący interes członków, cło od rur kamionkowych.

476

Wiadomości bibliograficzne.

Kwiecień.—Katalog rękopisów biblioteki ks. Czartoryskich w Krakowie. Zeszyt I-szy (156). — Ad. Boniecki: Poczet rodów litewskich w w. XV i XVI (157). — Ks. Zygmunt Szczepny: Wiara i niewiara (158).—T. Merunowicz: Sprawy włościańskie w sejmie.—Pisma Leopardiego w tłumaczeniu E. Porębowicza.—Ant. Zaleski: Z wycieczki na wschód.—Sicard: Les études classiques avant la Révolution (159).—Ed. Scherer: Melchior Grimm.—Figuier: L'année scientifique. — G. Krek: Einleitung in d. slavische Litteraturgeschichte

161

Maj.—Opis biblioteki watykańskiej.—Dzieł J. Długosza tom I-szy. — Ad. Pawiński: Sprawozdanie z literatury historycznej polskiej za rok 1886-y. — Ks. Pierling (Bathory et Possevino). — Ks. Polkowski: Sprawy wojenne Stefana Batorego. Dyaryusze, relacje od 1576 — 1586-go (344). — Miesięcznika „Wisła“ zeszyt I-szy. — Spuścizna po ś. p. J. I. Kraszewskim (345). — Biblioteka Tow. lekarskiego w Łodzi.—J. Kleczyński: Statystyka miasta Krakowa (346).—Nik. Krakowski: „Wykład podwójnego księgowania.“ —Wład. Smoleński: Szkoły historyczne w Polsce (347). — Kwartalnik histor. zesz. 2-gi.—M. E. Engel: Grundsätze d. Erziehung nach Herbart-Ziller u. Diesterweg.

332

Czerwiec.—T. Żebrawski: „Dodatki do bibliografii matematyczno-fizycznej.“—Zasady fizyki p. Alfreda Daniella tłóm. J. J. Boguski. —M. Boniecki: „Kodeks dyplomatycznyszląski“ (501).—Pamiętniki ks. Adama Czartoryskiego. — Dzieła J. Szujskiego t. IV-ty (502). — T. Rutowski: Statystyka Galicyi (503). — Wł. Jażdżewski i Erzepki: Zapiski archeologiczne poznańskie, r. 1887, zesz. I (505). —„Dzieje literatury powszechnej“ t. II, wyd. S. Lewentala. — Kozłowski: „Melioracye rolne“ (506). — „Encyklopedia rolnicza.“

507

Nekrologia.

Ś. p. Antoni Kościakiewicz. — Ś. p. Chalupożyński. — Ś. p. Emanuel Kania. — Ś. p. Jan Heurich.	162
Ś. p. Kazimierz Szulc (349).—Ks. Józef Hołubowicz.	337
Ś. p. Zenon Chodyński.	508

Ogłoszenia.

Od Redakcyi.—Encyklopedyi wychowawczej.—Kraju.—Prze-
glądu katolickiego.